

Jack Getner



Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem w roli głównej



JAK CIĘ
ZABIĆ,
DRANIU?



Przypadek
chodzi
po ludziach...

Jacek
Getner

JAK CIĘ
ZABIĆ,
DRANIU?

LIRA
WYDAWNICTWO

Niniejsza powieść jest zmienioną i uzupełnioną wersją książki
Jacka Getnera „Pan Przypadek i cyklisi” (Warszawa, 2019)
© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2023
© Copyright by Jacek Getner, 2023

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Sylwia Chojecka

Korekta: Małgorzata Wieczorek, Magdalena Białek

Skład: Klara Perepłyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Zdjęcia na okładce: © abrakadabra, © yupiramos, © dashadima/123rf

Zdjęcie Jacka Getnera: © Maciej Zienkiewicz Photography

Redakcja techniczna: Kaja Mikoszevska

Producenci wydawniczy:

Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: ISBN: 978-83-67654-11-1 (EPUB); 978-83-67654-64-7 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.

tel:691962519

al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa


WYDAWNICTWO

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

 **publio**

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

ROZDZIAŁ I Mistrz kierownicy już nie ucieka

ROZDZIAŁ II Jak cię zabić, draniu?

ROZDZIAŁ III O jedno kółko za daleko...

O Autorze

ROZDZIAŁ I

Mistrz kierownicy już nie ucieka

Filip Hirek, znany w całej Polsce aktywista rowerowy, czuł się w tej chwili na swoim pojeździe jak połączenie torreadora i linoskoczka. Miał bowiem na sobie wściekle czerwoną koszulę, wywołującą furie jadących za nim kierowców, którzy gdyby tylko mogli, najchętniej nadziałiby go na swój zderzak. Cyklista pędził środkiem drogi dwujezdniowej, ściśle trzymając się środkowej linii. Chwiał się przy tym na obie strony, jakby z trudem mógł utrzymać równowagę, i nikt nie śmiał się do niego nawet zbliżyć, nie mówiąc o wyminięciu go z którejkolwiek strony. Czasem tylko ktoś odważył się zatępić, ale był to daremny trud. Oczy Hirka, wystające sponad drogiej maski antysmogowej, wyrażały wobec tego kogoś wyjątkowo mieszaną pogardą i poczuciem wyższości.

Tak było do chwili, gdy nagle tuż za jego tylnym kołem znalazł się wielki, terenowy, czarny samochód. Filip, usłyszawszy wyjątkowo głośno pracujący silnik, obejrzał się przez ramię, ale nie mógł rozpoznać ani marki, ani twarzy kierowcy, bo auto miało przyciemniane szyby. Również numer rejestracyjny, świeżo ochlapany błotem, był nieczytelny.

„Że też na takiego policji nie ma — pomyślał zdenerwowany Hirek. — Przecież tak nie wolno jeździć!”

Jakby w odpowiedzi na własne myśli Filip usłyszał zza pleców groźne warknięcie silnika terenówki. Odruchowo mocniej nacisnął na pedały, choć nie zwykł tego robić. Coś mu jednak mówiło, że jadący za nim kierowca nie ma dobrych zamiarów. Wkrótce przekonał się o tym bardziej bezpośrednio, gdy poczuł delikatne stuknięcie od tyłu. Zachwiał się na swym jednoślądzie. Kiedyś zdarzyła mu się już podobna rzecz, ale wtedy stanął na środku drogi i zagroził przejazd swoim rowerem, a następnie wyprowadził kilka silnych ciosów w maskę samochodu. Teraz jednak coś kazało mu uciekać. Przyspieszył, a gdy usłyszał trąbienie, zjechał na prawy pas.

Czarna terenówka go nie wyprzedziła, choć ochoczo zrobiły to inne auta. Ona jednak jechała tuż za Filipem, zmuszając go ciągle do zwiększania prędkości. W końcu zmęczony rowerzysta skierował się w boczną uliczkę, mając nadzieję, że znajdzie tam bezpieczną przystań. Czarna terenówka ruszyła za nim.

Hirek zjechał z jezdni i stanął na chodniku prowadzącym przez środek niewielkiego skweru. Prześladowające go auto również zatrzymało się jakieś sto metrów od niego. Filip patrzył na ogromny stalowy przód oraz wielkie reflektory i był gotów przysiąc, że terenówka szyderczo uśmiecha się grillem chłodnicy. W końcu ruszyła z piskiem opon w jego stronę. Przerażony mężczyzna wskoczył na siodelko i popedałował przez środek parku. Siła jego

mięśni była jednak bez szans w starciu z mocą dwustukonnego silnika ukrytego pod maską auta.

— Ludzie, ratunku! To wariat, chce mnie zabić! — próbował krzyczeć, ale z przerażeniem stwierdził, że jego głos grzęźnie gdzieś w gardle i na zewnątrz wydobywa się prawdopodobnie niezrozumiały bełkot.

Nikt mu też nie przyszedł z pomocą. Zamiast tego wszyscy uskakiwali na boki, jak to zwykle się działo, gdy mknął alejkami parków i skwerów. Wtedy był jednak zadowolony, teraz zaś marzył o tym, żeby jakiś emeryt z laską, który zwykle mu wygrażał, albo przynajmniej matka z dzieckiem w wózku zagrodzili mu drogę. A on mógłby się za tą barykadą bezpiecznie zatrzymać. Nie miał wątpliwości, że jego prześladowca, mimo całej wściekłości, nie zdecydowałby się zabić nikogo poza nim samym.

Skwer, którym uciekał Hirek, nie był zbyt duży, dlatego mężczyźnie udało się mimo wszystko umknąć terenówce i pojechać chodnikiem między ścianą kamienic a parkującymi wzdłuż drogi samochodami. Ta trasa była zbyt wąska dla jego prześladowcy, a mimo to rowerzysta niemal wciąż czuł na plecach jego oddech. Zobaczył prowadzące na podwórko kamienicy uchylone drzwi, będące częścią bramy. Znał te miejsca, nieraz zdarzało mu się tędy przejeżdżać i wiedział, że tak może minąć kilka kolejnych ulic.

Zatrzymał się dopiero po dziesięciu minutach, gdy minął już podwórka kilkunastu kamienic. Teraz wypadł z bramy jednej z nich niemal wprost na piaszczystą parkową alejkę. Odetchnął z ulgą, sięgając po bidon z napojem.

— Cholera, co za świr?! — burknął, z trudem łapiąc oddech. — A może to nie wariat, tylko ktoś wynajęty?! Wszyscy mi zazdroszczą, że moja fundacja dostaje najwięcej pieniędzy. Ten drań Brągiel byłby do tego zdolny. A może Rossa-Rostafiński? Dobrze, że chociaż jego mogę kontrolować przez Krzysia Makuszewskiego i jego żonę, która robi u tego arystokraty z bożej łaski. Chociaż na Adelkę też trzeba uważać, nie wiadomo, czy nie donosi do swojego szefa.

Kiedy się napił, sięgnął po komórkę, żeby zawiadomić policję o niebezpiecznym wariacie, który go ścigał. Wprawdzie uciekał przed nim poza zasięgiem miejskiego monitoringu, ale na pewno ktoś go zauważył.

Zanim jednak zdążył wybrać numer, usłyszał za sobą znajome warknięcie silnika. Zamarł w bezruchu, bojąc się odwrócić. Strach tak go sparaliżował, że nie uciekał już, kiedy samochód zbliżał się do niego coraz bardziej i bardziej. Zdołał tylko wymamrotać:

— Tylko nie teraz, proszę. Nie przed Wielkim Grantem! Ja go muszę zdobyć. Muszę! Ten Wielki Grant musi być mój i tylko mój!

Pani Irmina Bamber nie była osobą z natury mściwą. Uważała nawet, że mszczenie się bardziej upokarza autora zemsty niż jej ofiarę. Ponadto taki czyn był wyrazem złych emocji, których należało unikać. I tak ogólnie, jak każdy cywilizowany człowiek, brzydziła się zemstą.

Tyle teorii, teraz zaś przyszedł czas na praktykę. Pani Bamber, patrząc na lekko przerażoną minę swego sąsiada, słynnego detektywa Przypadka, nie potrafiła ukryć satysfakcji. W końcu przecież jakaś kara za to, co jej zrobił, mu się należała. I nieważne były szlachetne pobudki, jakimi się kierował. Nie powinien tak bardzo wtrącać się w jej prywatne życie.

— Naprawdę chce mi to pani zrobić? — zapytał zrezygnowany Jacek.

— No wiesz, ktoś się musi zająć moim mieszkaniem. W końcu ten rejs dookoła świata, na który wybieram się z Antonim, trwa dziesięć miesięcy. Nie mogę prosić Wojtka — tak miał na imię wnuczek pani Irminy — żeby cały ten czas tu przychodził czy nawet tu zamieszkał. Ma własne życie. Dlatego Zygryda i Teodora wydają się do tego idealne.

— Oczywiście to, że ja bym się mógł zająć pani mieszkaniem, pani nie przekonuje?

— Ty też masz własne życie. Zwłaszcza od chwili, od kiedy wprowadziła się do ciebie ta sympatyczna Malwina. Nawet Małgosia, świec Panie nad jej duszą, nie mieszkała z tobą aż tak długo. No i zdaje się, że ta nowa nie traktuje cię przejściowo, ale tak bardziej na stałe, prawda?

— To skomplikowane — odpowiedział wymijająco Jacek.

— Jak zwykłe u ciebie, jeśli chodzi o kobiety — zauważyła z gryźliwie pani Irmina. — Czy ty choć raz mógłbyś się z kimś związać tak po prostu i bez komplikacji?!

— Pewnie mógłbym. Tylko po co? — odpowiedział niefrasobliwie Jacek, a jego słowa zirytowały dodatkowo panią Irminę, dlatego detektyw od razu sprostował: — Bardzo chciałbym się z kimś tak po prostu związać. — A po chwili dodał dużo ciszej: — Ale teraz to nie jest już możliwe.

Pani Irmina chciała zapytać, dlaczego zaczął szeptać, a może też skomentować słowa Jacka w jakiś inny sposób, ale on położył palec na ustach. Następnie wyjął z kieszeni notes, w którym zapisał coś bardzo ważnego. Pani Bamber spojrzała na kartki ze zdziwieniem, bo doskonale wiedziała, że detektyw pisze jak kura pazurem i nieraz trudno jest go rozczytać. Tym razem jednak starannie postawił litery, tak żeby czytający nie mógł mieć wątpliwości co do treści i nie musiał zadawać mu zbędnych pytań. Jego sąsiadka rozumiała to doskonale i choć chciałaby wciąż mówić: „Przecież to niemożliwe”, „Ale jak to?”, „Czy ty na pewno ze mnie nie żartujesz?”, to jednak czytała w milczeniu, nie zwracając uwagi na to, co mówi do niej Jacek.

— A wie pani, że pod trzynastkę wprowadzają się nowe osoby? Panowie Roman i Gabrysia widocznie nie mają zamiaru tu wrócić. W sumie Gabrysi nie ma się co dziwić, jakiś czas spędzi jeszcze w szpitalu. I raczej nie ma ochoty mieszkać w miejscu, które zakończyło ich szczęśliwy związek z Romanem. To znaczy zakładam, że wciąż będą razem i w końcu uznają, że przecież to nie Roman jest winien, iż w końcu wybuchł i go pobił, tylko ja, który swoim zakazem nocnych kłótni niepotrzebnie tłumiliem ich emocje — stwierdził rozbawiony. — Ci nowi to, zdaje się, jakieś małżeństwo zapalonych rowerzystów.

— Ciekawe, czy wiedzą, że to mieszkanie jest przeklęte — powiedziała pani Irmina, choć ta kwestia niespecjalnie ją interesowała. Przed chwilą jednak skończyła czytać Jackowe notatki i uznała, że jeśli jego obawa przed podsłuchem zamontowanym w jej mieszkaniu nie jest bezpodstawna, powinna się jakoś odezwać.

— Jeśli nawet nie, pewnie wkrótce przekonają się o tym sami. Będę leciał, Malwina czeka z obiadem.

— No właśnie, czy ona ci za tłusto nie gotuje? — zaniepokoiła się niebezpiecznie pani Irmina. Od czasu, gdy z Jackiem zamieszkała była dziennikarka, detektywowi przybyło dobre dwa kilogramy, a może nawet trzy!

— To nie jest tak, jak pani myśli. — Jacek podniósł się i ruszył do wyjścia. — Wszystko przez to, że przestałem biegać.

O ile treść Jackowej notatki czy też raczej prośby, a może nawet wręcz misji jej powierzonej, skutecznie zadziwiła panią Irminę, to powyższe oświadczenie detektywa

wprawiło ją w ostupienie. To prawda, od czasu, jak się na niego pogniewała i z nim nie rozmawiała, nie widziała, aby wybiegał na swój codzienny trening, lecz uznała, że to tylko kwestia ich ograniczonych kontaktów. Bo tego, że przestał biegać, nie była sobie w stanie wyobrazić. Robił to regularnie od niemal dziesięciu lat, gdy wprowadził się do mieszkania numer 12 przy ulicy Koneckiej 40. Przez te wszystkie lata przygotowywał się przecież do maratonu, a teraz ot tak, po prostu, przestał biegać?! To przecież niemożliwe!

Pani Bamber chciała znów zadać swemu sąsiadowi mnóstwo pytań, ale ten wychodził już na korytarz. Samo to może nie byłoby przeszkodą, gdyby nie fakt, że na ich piętrze pojawiło się dwóch osobników dźwigających na ramionach wspaniałe jednoślady. Na widok sąsiadów jeden z nich uśmiechnął się promiennie.

— Państwo pozwolą, że się przedstawię. Krzysiek Makuszewski, wprowadziłem się przedwczoraj z żoną. A to mój kolega, Filip Hirek — dodał z dumą. Pani Irmina powiedziała zdawkowe „aha”, bo nie znała żadnego „tego Hirka”, ale po takim oświadczeniu nowego sąsiada nie wypadało się przyznać do tej niewiedzy. — Jeden z twórców słynnej Masy Krytycznej — dodał Makuszewski, będąc pewnym, że teraz jego sąsiedzi padną z wrażenia. Nie brał bowiem pod uwagę, że nie znają oni wydarzenia służącego utrudnieniu życia wszystkim warszawskim kierowcom w piątkowe popołudnia. Nie wiadomo dokładnie, dlaczego pani Irmina i Jacek nie padli na kolana, w każdym razie zamiast tego po prostu się przedstawili.

— Irmina Bamber, mieszkam tu pod czternastką. A to sąsiad spod dwunastki, Jacek Przypadek. Ten Przypadek — dodała, nie wątpiąc, że akurat o „tym Przypadku” wszyscy słyszeć musieli. Nie myliła się, fakt ten szczególnie poruszył Hirka, który nieco dramatycznie zawołał:

- To przeznaczenie! Pan mnie musi uratować!
- Filip, daj spokój. — Lekko zakłopotany Makuszewski próbował mitygować kolegę.
- No przecież inaczej on mnie prędzej czy później zabije!
- Kto? — zapytał Przypadek.
- Tego właśnie nie wiem.

Podkomisarz Łoś czuł się, jakby go z czegoś okradziono. Albo jeszcze gorzej. Gdyby faktycznie ktoś mu coś zabrał, wszcząłby śledztwo i złodzieja niechybnie spotkałaby sroga kara. Ale ta strata była niematerialna, choć jednocześnie jak najbardziej namacalna. Pierwszym jej objawem okazał się dodatkowy centymetr, który przybył w obwodzie jego brzucha.

To jednak tak mocno go nie martwiło. Przejmował się faktem, że jego świat, codzienny rytm, do którego zdążył przywyknąć, uległ nagłemu rozpadowi. To powodowało, że komisarz czuł się jak człowiek z zaburzeniami błędniaka, nie do końca wiedzący, dokąd ma pójść, i wciąż objijający się o ściany.

— I czemu tak siedzisz na tym fotelu? — Do ucha komisarza dobiegł gderliwy głos jego żony.

- Przecież wolne mam dzisiaj.
- To może byś Cywila wyprowadził?
- Byłem z nim godzinę temu.
- To może byś chociaż rozwiązał sprawę morderstwa tej Marczakowej? Młoda kobieta i takie nieszczęście...

— Jakie nieszczęście? Normalnie jakiś napity kochanek jej ten nóż kuchenny wsadził prosto w szyję. Sama wiesz, że tam ją wielu odwiedzało i nieraz sobie popili... Albo i gorzej...

— Jak gorzej?

— To jacyś artyści byli i to tacy mocno nowocześni, co to jak rzeźbę zrobią, to nie wiadomo, czy to człowiek, czy wieszak na ubranie. To pewnie i narkotyków tam było trochę. Mnie się najbardziej nie podobał ten taki wielki brunet. Takie miał krzaczaste brwi i spojrzenie mordercy. Gdy go kiedyś zobaczyłem, jak od niej wychodził, to sam się przestraszyłem. Łapy miał jak bochny chleba, uduśliłby człowieka w sekundę...

— To by jej nożem nie zabijał — skontrowała pani Łosiowa.

— Nie wiadomo. Łapy zawsze zostawiają odciski palców, a nóż można po prostu zabrać. Zresztą, jak nie on, to może ten mały blondynek? Takie miał wiecznie przestraszone oczy. Myślałem nawet, że się boi tego wielkiego bruneta, ale kiedyś niechcący usłyszałem, jak się na niego wydiera.

— Nie, ten to rzeczywiście był mikrus, musiałyby chyba na krzeselko wejść, żeby jej szyję przeciąć. Mnie najbardziej to się nie podobała ta ruda. Ona to chyba była zazdrosna o tego bruneta. Musisz ją przesłuchać.

— A daj mi już spokój z tymi romansami! — Zniecierpliwiony policjant machnęła ręką.

— Łosiu, ty chyba serca w ogóle nie masz — zdenerwowała się żona podkomisarza. — Mówisz, jakby to była jakaś obca kobieta, a nie nasza sąsiadka.

— No i właśnie dlatego nie powinienem się zajmować tą sprawą, bo mogę być nieobiektywny. A śledztwo prowadzi komisarz Dynda.

— To ten, od którego przejąłeś sprawę morderstwa Eleonory Pahl? — skrzywiła się niezadowolona pani Łoś.

— A co ci się nie podoba? To jest bardzo doświadczony policjant.

— Nie popisał się w tej sprawie. Gdyby nie detektyw Przypadek...

— Detektyw Przypadek wyłącznie pomagał mi w tej sprawie — stwierdził stanowczo podkomisarz. — Dobrze o tym wiesz.

— Tak, wiem. — Pani Łosiowa machnęła ręką. — Jakby jeszcze pomógł Dyndzie w sprawie Marakowej, to byłabym spokojniejsza.

— Przecież wiesz, że w policji współpracuję z nim wyłącznie ja. — Podkomisarz wydawał się niemal oburzony sugestią, że słynny detektyw miałby prowadzić wspólne śledztwa z innym stróżem porządku niż on.

— I dlatego ty się powinieneś tym zająć. Zwłaszcza że ostatnio nic nie mówiłeś o nowych zleceniach dla niego. Może na emeryturę przeszedł?

— Tacy jak on nigdy nie przychodzą na emeryturę, mogą co najwyżej zginąć w nieszczęśliwym wypadku. Dlatego czuję, że teraz coś wisi w powietrzu. I to naprawdę będzie jakaś grubsza sprawa.

— Grubszy to ty się ostatnio z powrotem robisz — stwierdziła krytycznie żona policjanta. — A już tak ładnie zaczęłaś chudnąć.

— No i o to właśnie chodzi — powiedział niezrażony podkomisarz Łoś. — Ten Przypadek przestał biegać. Tak diametralna zmiana przyzwyczajzeń musi się łączyć z jakąś absolutnie niezwykłą sprawą.

— Z jaką?

— No jeszcze nie wpadłem na jej trop. Ale zrobię to.

— Biegać mógłbyś i bez tego Przypadka.

— Może i mógłbym, ale muszę się skupić na tym, żeby się dowiedzieć, co tym razem kombinuje. On na pewno nie zmienił tych zwyczajów bez powodu. Pewnie chciał zburzyć moją czujność albo wyczuł, że jak biegam tak jak on, to częściej jestem go w stanie wyprzedzić w rozwiązywaniu zagadek. — Podkomisarz nie zauważył, że z każdym kolejnym słowem jego żona przygląda mu się z coraz większą troską. — Tak, to na pewno o to chodzi. Boi się, że dotrę do jakiejś jego szczególnej tajemnicy, dlatego już nie biega. A może robi to jakoś w sekrecie? Na przykład pokonuje te trasy we własnym domu, żebym nie widział? Chyba będąc musiał to sprawdzić.

— Tylko nie popadaj znowu w obsesję.

— Jaką obsesję? — Policjant spojrział na żonę jak ktoś wybudzony z bardzo interesującego snu.

— Już ty dobrze wiesz jaką, Łosiu.

— Wiesz co? Wyprowadzę chyba znowu Cywila.

— Od początku ci tak radziłam — powiedziała z niezmaconym spokojem żona. — Naucz się wreszcie mnie słuchać, a dobrze na tym wyjdiesz.

Jacek lubił czasem w obecności swoich klientów spoglądać na szklaną kulę należącą niegdyś do słynnego jasnowidza Ossowieckiego, a zdobiącą teraz biurko detektywa. Przypominał tym gestem różnego rodzaju cwaniakom, że szkoda czasu na oszukiwanie, bo on i tak wszystko zaraz zobaczy w tym magicznym przedmiocie nakrytym niezwykle gustownym melonikiem w stylu Poirot. Tym razem jednak nie musiał tego robić. Jego najnowszy klient od samego początku wizyty u Jacka przyglądał się zaczarowanej kuli jak zahipnotyzowany i mówił wszystko dokładnie jak na spowiedzi, u której nigdy nie był. Szklany przedmiot wyciągał z niego zeznania dużo lepiej niż zawodowy spowiednik.

Mimo to Przypadek postanowił się upewnić, czy rzeczywiście wszystko dobrze rozumiał:

— Zatem mówi pan, panie Filipie, że śni się panu wciąż, że ktoś chce pana przejechać?

— Tak. Gdyby to był tylko jeden raz, to wcale bym się tym nie przejmował. Ale ten sen się powtarza regularnie od trzech miesięcy. Właściwie codziennie. To się zaczęło, gdy się dowiedziałem o tym Wielkim Granacie. — Autor prosi korektę, by nie poprawiała słów pisanych tu od dużej litery, bo nie ma wątpliwości, że tak właśnie wypowiedział je bohater tej historii.

— O jakim wielkim granacie? — Dla Jacka te słowa niewiele znaczyły, więc z pewnością powiedział je małymi literami.

— O takim, który może zdecydować o przyszłości ruchu rowerowego w Polsce. Powinien trafić do mojej fundacji Cyklomaniacy, a tu bach, zaczyna mi się śnić, że ktoś mnie chce zabić. Mam więc prawo się niepokoić, prawda? Przecież wiadomo, że sny nie śnią się człowiekowi ot tak sobie. Prawda?

— W dziedzinie snów nie jestem najlepszym specjalistą — odpowiedział wymijająco Przypadek. — Wiem jednak, że trudno mi będzie znaleźć w nich podejrzanego, bo musiałbym tam być razem z panem.

— A nie mógłby pan tam jakoś wejść? Ja bym się tu u pana położył spać, a jakbym zasnął, to ta kula mogłaby panu pomóc.

— Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że ja jestem raczej detektywem niż jasnowidzem — powiedział rozbawiony Przypadek, który uznał, że w tej sytuacji przyznanie

się, że nie ma żadnych mocy nadprzyrodzonych, byłoby nie na miejscu.

— Panie Jacku, mnie pan nie musi ściemniać. Słyszałem o paru zagadkach, które pan rozwiązał, i bez tej szklanej kuli na pewno by się to panu nie udało. — Hirek zniżył głos, rozejrzął się czujnie i dodał: — Osobiście podejrzewam nawet, że tym detektywem to pan jest tylko tak na pokaz, bo wiadomo, że u nas pełno ciemnoty i nie wszyscy uwierzą w jasnowidza. Prawda?

Jacek uznał, że przekonywanie Filipa Hirka, iż jest dokładnie na odwrót, nie przyniesie żadnego rezultatu, zrobił więc tylko wieloznaczną, zamysloną minę. Nie była to wyłącznie poza, bo naprawdę się zastanawiał, czy powinien przyjąć to zlecenie. Jego nowy klient, jak wielu przed nim, uważał z pewnością, że detektyw pomoże mu z poczucia obowiązku i możliwości przebywania z tak znaną i poważaną osobą jak on — działaczem wykazującym wielką troskę o przyszłość ludzkości i pokój na świecie. Wprawdzie takie ządania nie robiły jak dotąd wrażenia na Jacku, teraz jednak sam nie wiedział, czemu miał ochotę im ulec.

I być może zrobiłby to, gdyby w drzwiach pokoju nie stała Malwina.

— Zaraz będzie obiad — powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— Bardzo dziękuję, ale nie trzeba się było kłopotać. — Hirek się uśmiechnął. — Zwłaszcza że nie wiem, czy zna pani dokładnie moje upodobania kulinarne. Na przykład nie lubię, kiedy jarmuż jest zbyt długo...

— Nie interesuje mnie to — oświadczyła chłodno kobieta i sprecyzowała: — Obiady jadamy tylko we dwoje. Pan Przypadek zajmie się rozwiązaniem pana problemu po ustaleniu kwestii honorarium.

Oświadczenie Malwiny sprawiło, że Hirkowi zdecydowanie zrzędała mina.

— Myślałem raczej...

— To także mnie nie interesuje. Stawka pana Przypadka za dzień wynosi dwa i pół tysiąca złotych plus koszty...

— Pani żartuje?! To połowa mojej miesięcznej pensji!

— Pewnie tak naprawdę najwyżej jedna czwarta albo i mniej. Ale nie narzucamy się ze swoimi usługami. — Malwina uśmiechnęła się niemal uprzejmie.

Jacek zaś poczuł, że za chwilę zobaczy przedstawienie warte każdych pieniędzy. Usiadł wygodniej w fotelu i rozbawiony przysłuchiwał się rozmowie swojej współlokatorki z potencjalnym klientem.

Hirek spojrzał pytająco na detektywa, bo nie słyszał dotąd, aby miał on jakiegokolwiek współpracownika. Ale ten wzruszył tylko ramionami i pokazał na Malwinę, dając do zrozumienia, że wszelkie pytania związane z jego honorarium należy kierować do niej.

— Ale skąd ja mam wiedzieć, że on znajdzie tego mordercę, zanim on mnie zabije?!

— Możemy się zobowiązać, że w razie pańskiej śmierci nie będziemy dochodzić pieniędzy od pańskich spadkobierców — odpowiedziała Malwina z wyrachowanym profesjonalizmem na twarzy. — A jeśli pan uzna, że usługi pana Przypadka nie są już panu potrzebne, zapłaci pan tylko zaległe wynagrodzenie.

— W ten sposób możecie dla mnie pracować przez rok i nic nie odkryć! — Hirek najwyraźniej uznał, że ma do czynienia ze współniczką, o której wcześniej nie słyszał.

— Możemy się umówić, że będziemy pracować maksymalnie miesiąc. W razie sukcesu płaci pan sto tysięcy. Oczywiście wliczymy w to koszty wcześniejszej pracy — dodała łaskawie.

— No nie wiem... — zawahał się Hirek. — Zastanowię się.

— Nie zatrzymujemy, zwłaszcza że obiad stygnie. — Malwina wskazała Filipowi drzwi. Ten, niemal obrażony, wstał, kiwnął głową na pożegnanie i wyszedł.

Kiedy Przypadek i Żarska usłyszeli dźwięk zamykanych drzwi, dziennikarka uśmiechnęła się do detektywa.

— Zapłaci, nie bój się. Najwyżej pobije się z myślami jakieś dwa, trzy tygodnie. Pan Hirek ma mnóstwo kasy, przez jakiś czas prowadziłam dziennikarskie śledztwo na temat jego majątku, ale... sam rozumiesz. — Uśmiechnęła się niemal przepraszająco.

— Naczelnicy ci powiedziano, że były telefony od ważnych ludzi, że to taki zaangażowany działacz społeczny, postępowy i w ogóle i nie należy sprawdzać, ile dokładnie na tym zarobił — powiedział z zrozumieniem Jacek, gdy szli do kuchni.

— Jakbyś zgadł. Ale raz mu się noga powinęła, bo nawet jak na standardy altruistów trochę jednak przegiął. Zawsze gdy zbliżał się termin rozdzielania miejskich albo rządowych funduszy na organizacje pozarządowe, zdarzał się jakiś zamach na pana Hirka. A to mu hamulce w rowerze zepsuli, a to opony w kołach przecięli. Niestety nie wiedział, że zamontowali kamery z monitoringiem naprzeciwko jego mieszkania i nagrało się, jak sam sobie wrzuca przez zamknięte okno do mieszkania cegłę, zawiniętą w kartkę z pogroźkami. Potem twierdził, że cegła minęła o milimetry jego skroń, bo akurat siedział w fotelu. Gdy policjant odkrył nagranie, zrobiła się afera, ale sprawę oczywiście wyciszyli. Tyle tylko, że pan Hirek na ponad rok wypadł z obiegu grantów krajowych i europejskich i musiał polegać na prywatnych darczyńcach, którzy uwierzyli, że ktoś się tylko ucharakteryzował na niego i to nie on sam rzucił cegłą w okno.

— Sporo wiesz — powiedział z uznaniem Jacek, zasiadając do stołu. — W sumie rzeczywiście moglibyśmy stworzyć niezły tandem jako detektywi. Teraz, kiedy pani Irmina wypływa w podróż dookoła świata, przyda mi się ktoś dobrze poinformowany.

— Musisz niestety polegać na swoich bezdomnych znajomych, bo jak wiesz, jestem zajęta. Muszę skończyć pisanie książki o mojej wyprawie w poszukiwaniu Basi. Jestem umówiona z wydawnictwem, że najdalej za miesiąc tekst będzie gotowy.

— Szkoda. Tak się pięknie włączyłaś w moją rozmowę z klientem.

— Obawiałam się, że z nudów mógłbyś wziąć tę sprawę za darmo.

— Właściwie by mi się przydało. Ostatnio nigdzie się nie ruszam, brzuch mi zaczął rosnąć.

— I dlatego ta sprawa rzeczywiście ci się przyda. Ale nie ma sensu, żebyś dla kogoś takiego jak Hirek pracował za darmo. Jak obiad?

— Bardzo dobry — zapewnił Jacek, ale oboje z Malwiną wiedzieli, że nie do końca jest to prawda.

Ona zaproponowała mu, że w zamian za to, iż pozwala jej ze sobą na razie mieszkać, będzie robiła zakupy i gotowała obiady, choć nigdy tego nie lubiła. A jak się czegoś nie lubi, to trudno wykonywać tę pracę bardzo dobrze, można zwykle co najwyżej poprawnie. I taki był właśnie obiad. Poprawny. Dlatego nie było sensu kontynuować tego tematu.

— Zanim pan Hirek się zdecyduje na skorzystanie z twoich usług, mógłbyś odwiedzić mamę — stwierdziła Malwina.

— Przecież wiesz, że wciąż się na mnie gniewa za to wydanie jej książki. Muszę jeszcze chwilę odczekać, zanim jej przejdzie.

— To może wpaśćbyś do Błażeja?

— On nie ma teraz czasu na spotkania towarzyskie. Trwa fuzja kancelarii jego i ojca, a wieczorami w jego domu rozgrywa się piekło. Poza tym mam przeczucie, że pan Hirek zgłosi się do mnie szybciej, niż myślisz, bo ponownie przyśni mu się straszny koszmar. A ja muszę jeszcze pożegnać panią Irminę i przywitać nasze dwie nowe sąsiadki. Coś mi się zdaje, że nie będziemy się z nimi nudzić.

Kiedy nie możesz się z kimś zaprzyjaźnić, a czasem przydałaby ci się jego pomoc, najlepiej jest poszukać wspólnego wroga. Wprawdzie Mateusz Brągiel, szef fundacji Miasto na Dwóch Kółkach, formalnie uchodził za przyjaciela Remigiusza Rossy-Rostafińskiego, prezesa stowarzyszenia Jest Rowerowo!, lecz tak naprawdę obydwaj ledwo się tolerowali, a uśmiechali do siebie tylko podczas wspólnych występów na konferencjach prasowych lub gdy pedałowali obok siebie na Masie Krytycznej. Na szczęście mieli wspólnego wroga, z którym wprawdzie oficjalnie też byli zaprzyjaźnieni, ale de facto nie znosili go dużo bardziej niż samych siebie. I ten właśnie fakt postanowił wykorzystać Mateusz Brągiel, umawiając się na dzisiejsze spotkanie.

— Czego chcesz? — zapytał raczej mało uprzejmie Rossa-Rostafiński, gdy odstawili swoje jednoślady. Jako potomek arystokratów wciąż miał problem z tym, żeby rozmawiać grzecznie i uprzejmie z ludźmi wywodzącymi się, jego zdaniem, z plebsu, którzy na dodatek zwykli nie okazywać szacunku jego wrodzonej pozycji społecznej.

— Są pieniądze do wzięcia.

— I łaskawie mnie o tym informujesz? — Ironię słów Rossy-Rostafińskiego podkreślało jego arystokratyczne „er” w ostatnim słowie. — Uważaj, bo ci uwierzę.

— To kasa na dwie fundacje. Ale za mało na trzy.

— Hirek chce ją tyknąć? — domyślił się Rossa-Rostafiński.

— I to sam — stwierdził ponuro Brągiel.

— To pompka złamana. — Szef fundacji Jest Rowerowo! jako potomek arystokratycznych, choć zubożałych już w dziewiętnastym wieku rodów był zdolny jedynie do używania bardzo wysublimowanych przekleństw. — A co to za pieniądze?

— Unijny program na utrwalenie dziedzictwa kulturowego cyklizmu.

— To nie dla mnie — skrzywił się Rossa-Rostafiński. — Nie cierpię grzebania się w historii. Mam dość tego, że na rodzinnych zjazdach muszę wysłuchiwać, jak to prastruj Konstanty roztrwonił rodzinny majątek.

— Ale na ten program jest milion euro. — Brągiel się uśmiechnął.

— Na dwóch? — upewnił się Rossa-Rostafiński.

— Albo na jednego, jak się Hirek koło tego zakręci.

— Tylko jak to dziedzictwo rowerowe utrwalać? — zafrasował się szef Jest Rowerowo!

Brągiel spojrział na Rossę-Rostafińskiego jak na nieznośnego amatora. Zawsze się dziwił, jak ten niepraktyczny dziwak potrafił się utrzymać na rynku dotacji i grantów. Nie miał przecież tej beczelności co Hirek czy choćby kontaktów szefa Miasta na Dwóch Kółkach. A tych ostatnich Brąglowi nie brakowało wśród osób znanych i lubianych, co ułatwiało mu pozyskiwanie przychylności mediów dla swoich działań. Miał przy tym opinię najbardziej medialnej osoby wśród wszystkich szefów fundacji rowerowych i być może nawet fundacji w ogóle. Szkolenia z wystąpień publicznych ćwiczył ze swoim serdecznym przyjacielem Bolkiem Szoftysikiem. Przyjaźń tę podkreślał szczególnie chętnie, gdy akurat znany szołmen był na topie, i ukrywał, gdy stawał się passé. Ale nawet wtedy, gdy Bolko słabo kojarzył

wszystko z powodu nadużywania środków rozszerzających świadomość, Mateusz lubił się z nim spotykać prywatnie.

— Stary, muszę ci tłumaczyć takie rzeczy? — westchnął Brągiel, a po minie Rossy-Rostafińskiego poznał, że jakieś tłumaczenie by się przydało. — Coś się na pewno wymyśli. Zamówisz stojaki rowerowe w stylu rokoko albo wydasz książkę o kulturotwórczej roli rowerów...

— Ale wiesz, to są dwa miliony na głowę — zauważył niemal zmartwiony arystokrata. — I pewnie ograniczony czas na wydawanie. Z dotacjami jest jak z bajką o złotej kaczce. Jak nie wydasz, musisz zwracać, i to często wszystko!

— Bądź spokojny. Jeśli sam czegoś nie wymyślisz, to ja ci pomogę. — Zdegustowany Brągiel pokręcił głową. — Zresztą mam już pomysł na pierwszy wspólny program, na który poleci banieczka złociszcy.

— Jaki?

— Na razie nie mogę ci powiedzieć. Jak dobijemy targu, wyjaśnię ci, w czym rzecz.

— Nie będę zakupował kota w worrrku. — Rossa-Rostafiński umyślnie przeciągnął „er” w ostatnim słowie, aby podkreślić swoje oburzenie.

— No dobra, uchylę rąbka tajemnicy wcześniej. Musisz mi tylko obiecać, że nie polecisz z tym do Hirka. Stoi?

— Stoi. Dobrze wiesz, że nienawidzę chama. — Rossa-Rostafiński od lat nie potrafił wybaczyć Hirkowi mało eleganckiego żartu mówiącego o tym, że potomek arystokratów zakochał się w dwóch kólkach, gdyż towarzyszą im dwa pedały. — Ale wiem, jak trudno go wyeliminować. Zawsze potrafi wymyślić niestworzone rzeczy, żeby tylko dostać kolejną dotację — dodał nie bez nuty zazdrości.

— No i w tym jest moja głowa, żeby nie miał głowy kombinować. — Brągiel się uśmiechnął. — I dlatego ja biorę z puli siedemdziesiąt pięć procent.

— No wiesz co? — Oburzony Rossa-Rostafiński chwycił się za serce. — Od razu chcesz mnie oszukać.

— Remigiuszu drogi, po pierwsze sam mówisz, że brak ci pomysłów, jak wydać te pieniądze.

— Poradzę sobie. Zresztą sam obiecałeś pomóc.

— Ale ja też muszę mieć coś z tej pomocy. — Brągiel był szczerze oburzony. — A ponadto to ja spowoduję, że Hirek nie będzie w stanie się starać o tę dotację.

— Dwie trzecie. To moje ostatnie słowo.

— Niech ci będzie — zgodził się łaskawie szef Miasta na Dwóch Kólkach.

— A jak załatwisz Hirka?

— To moja sprawa — uciął Brągiel. — W każdym razie jak dobrze pójdzie, to będziemy go mieć już na zawsze z głowy.

— I naprawdę nic mi nie powiesz?

— Powiedzmy, że nasz Filipek ma koszmarne sny o wypadku samochodowym, które wkrótce zamienią się w rzeczywistość. — Brągiel uśmiechnął się złowieszczo, a Rossa-Rostafiński poczuł, jak przesywa go dreszcz.

„Cholera, żeby on mnie czasem nie zrobił w jakieś morderstwo — przestraszył się arystokrata. — Muszę się dowiedzieć, co on naprawdę kombinuje?”

Pani Irmina Bamber zabroniła Jackowi żławyż pożegnań na dworcu, ale na koniec sama się rozkleiła, popłakała i przytuliła detektywa. Przez moment nawet wyglądało na to, że się od niego nie oderwie, i dopiero gwizdek konduktora, a szczególnie ponaglenie ze strony czekającego w przedziale Antoniego Gelberga spowodowały, że puściła detektywa. Po chwili pociąg zmierzający do Gdyni był już tylko wspomnieniem, ale mimo to Przypadek nie ruszał się z peronu. Nie trzymał go tu tani sentymentalizm, lecz fakt, że za chwilę nadjeżdżał ekspres z Poznania. A wraz z nim dwie kobiety, które miały się stać jego koszmarem.

Okazało się jednak wkrótce, że pociąg ze stolicy Wielkopolski zaczyna mieć nieustające i rosnące opóźnienie. Kiedy sięgnęło ono dwóch godzin, Jacek postanowił, że zdąży wyskoczyć zjeść obiad. Kilka minut po jego powrocie ekspres z Poznania w końcu wtoczył się na peron. Wysypała się z niego masa ludzi, wściekłych na PKP i dających głośno wyraz swojemu niezadowoleniu. Wśród nich detektyw nie zobaczył jednak Zygrydy i Teodory, kuzynek pani Irminy. Zastanowiły go drzwi na końcu składu, z których nikt nie wychodził, i dlatego tam skierował swe kroki. Przeczucie go nie myliło.

— No jesteś wreszcie! — Zygryda wychyliła się przez okno. — Powiedz tym okropnym ludziom, żeby przestali się dobijać do naszego przedziału, bo chcemy wreszcie wyjść.

Jacek zajrzał przez okno do wnętrza, w którym znajdowały się tylko dwie panie. Drzwi zostały w przedziwny sposób zablokowane laskami Zygrydy i Teodory i mimo że próbowało je ruszyć dwóch postawnych mężczyzn, nie miały nawet zamiaru drgnąć. Mężczyźni ci, oprócz tego, że szarpali bezskutecznie za klamkę, uderzali także w przezroczyste okna, głośno domagając się wypuszczenia do środka. To jednak nie robiło najmniejszego wrażenia na pasażerkach.

— A co się stało? — zapytał Przypadek.

— Wyobraź sobie, że nie pozwolili nam palić! Mówią, że teraz w pociągach już nie wolno. A przecież pamiętam, że jak ostatnio odwiedzałyśmy Minkę — tak zdrobniale pani Teodora mówiła o sąsiadce Jacka — to jeszcze było można, były przedziały do palenia.

— To było dziesięć lat temu. W dwa tysiące pierwszym albo drugim.

— Co to jest dziesięć lat?! Ja już żyję dziewięćdziesiąt i nie takie rzeczy pamiętam!

— Dobra, Zyzia, otwieramy — wydała polecenie Teodora i obie wyjęły swoje laski. Do przedziału wpadli konduktorzy niewyglądający na dżentelmenów chcących się przywitać.

— Czy panie wiedzą, co zrobiły?! Przez was ekspres musiał stanąć na dwie godziny!

— Po pierwsze, mówi się dzień dobry. Po drugie, proszę zdjąć nasze bagaże i wynieść na peron. A po trzecie, czy my się temu ekspresowi kazałyśmy zatrzymać? — zapytała niewzruszona Zygryda.

— Komunikaty wyraźnie mówiły, że w razie gdy czujki wykryją papierosy, pociąg się zatrzyma!

— Potem też paliłyśmy, a pociąg jakoś dał radę jechać — stwierdziła rezolutnie Zygryda i dźgnęła konduktora laską pod bok. — No proszę mi wreszcie zdjąć walizkę i zanieść na peron. Pan wie, kto tam czeka? Słynny detektyw Przypadek! Teraz będziemy razem z nim pracować.

— Bo jak nie, to wezwiemy policję — zagroziła Teodora — i oskarżymy was, że nas tu bezprawnie przetrzymujecie! Pan Przypadek ma takie znajomości u nich, że od razu was wszystkich aresztują!

Nie sposób stwierdzić, czy dzielni konduktorzy przestraszyli się grózb dwóch starszych pań, czy po prostu chcieli się ich jak najszybciej pozbyć w nadziei, że ich już nigdy nie

zobaczą, faktem jest jednak, że wynieśli ich walizki na peron. Tam przejął je detektyw Przypadek i wkrótce cała trójka ruszyła w kierunku postoju taksówek, pokonując po drodze trudną przeszkodę w postaci ruchomych schodów, które zdaniem obu pań jeździły wyraźnie szybciej niż jeszcze dziesięć lat temu.

Znalezienie odpowiedniego pojazdu na postoju nie było łatwą rzeczą, gdyż kuzynki pani Bamber miały szczególne wymagania, włącznie ze skórzaną tapicerką. W końcu udało się jednak namierzyć odpowiedni pojazd. Taksówkarz pytanie Zygrydy „czy można zakurzyć?” potraktował w pierwszej chwili jako żart, ale widząc, że ta wyjmując paczkę papierosów, zdecydowanie zaprotestował i nie dał się przekonać argumentem, iż może otworzyć wszystkie szyby, ani nawet tym, że przecież kierowca w samochodzie obok pali.

Jack nie włączał się w tę rozmowę i spokojnie czekał na chwilę, kiedy dojadą wszyscy na nieodległą na szczęście od dworca Konecką 40. Przypadek wiedział, że wchodząc na czwarte piętro, obie panie nie zdecydują się zapalić, bo jedną ręką musiały się podpierać laską, a drugą trzymały za poręcz. Za to od razu na półpiętrze mogły ogłosić przerwę na papierosa i przekonywanie ich, że na klatce schodowej również obowiązuje zakaz palenia, nie miało sensu.

— No to jaką teraz mamy sprawę na tapecie? — zapytała Zygryda, zaciągając się dymem.

— W zasadzie chwilowo mam przerwę.

— Tak nie mówi prawdziwy detektyw! — obruszyła się Teodora. — Umysł musi cały czas pracować, żeby nie zgnuśnieć.

— Bierz przykład z nas. Mamy po dziewięćdziesiąt lat... — Zygryda uciszyła gestem siostrę, która chciała zaprotestować i uściślić, że ona ma tylko osiemdziesiąt osiem lat, i sama doprecyzowała: — Dobiegamy dziewięćdziesiątki, a niejeden mógłby nam pozazdrościć pamięci.

— I przenikliwości! Ja wiem, że Minka pomagała ci głównie swoimi kontaktami, my niestety nie jesteśmy z Warszawy. Za to dedukować potrafimy bezbłędnie!

— Zdziwiłbyś się, jak potrafimy dedukować! — zapewniła Zygryda.

— Mogłybyśmy ci niejedno opowiedzieć.

— Dorka, przecież wiesz, że nam nie wolno.

— Wszystko się już przedawniło. — Teodora machnęła ręką, ale widząc, że siostra patrzy na nią karcąco i zezuje znacząco w stronę Przypadka, umilkła.

— Tak że pamiętaj, dokładnie zdawaj nam raport z każdego dnia śledztwa, a my ci pomożemy je rozwiązać — zadeklarowała Zygryda. — W końcu po to nas tutaj Minka sprowadziła!

Rozpakowanie się w nowym mieszkaniu to nigdy nie jest łatwa sprawa. Oczywiście niektórzy radzą sobie z tym lepiej, inni gorzej, ale zawsze jest to pewien kłopot. Każde miejsce jest trochę inne, często inaczej umeblowane i nie sposób do nowych szafek i szafek wepchnąć całego poprzedniego życia. A jeśli nawet przenosimy się ze wszystkim meblami, to rozkład pokoi w nowym miejscu nie jest identyczny z poprzednim. Dlatego często to nie my meblujemy nowe mieszkanie, ale to ono przemeblowuje całe nasze życie.

Szczególnie gdy nowi sąsiedzi nie są tymi, których najchętniej chcielibyśmy mieć za ścianą. Wtedy nawet rozpakowywanie starego życia i przekładanie go do nowych szafek idzie dużo gorzej niż zwykle. Być może dlatego mieszkanie państwa Makuszewskich wciąż wyglądało, jakby dopiero co do niego weszli, choć wprowadzili się tu ponad tydzień temu.

Pani Adela nadal wyjmowała ubrania z toreb i wyglądało na to, że dopiero po zrobieniu prania część z nich ma szansę wylądować w nowych szufladach.

Być może z tego powodu pan Krzysztof Makuszewski postanowił w końcu wziąć sprawy w swoje ręce i zaczął rozpakowywać własne rzeczy, przekładając je do szafek. Robił to raczej po cichu, licząc na to, że pracująca na laptopie w sąsiednim pokoju pani Adela tego nie usłyszy. Ale zapewne dlatego, że zachowywał się zbyt cicho, zaniepokojona żona nakryła go, gdy wkładała majtki do szuflady.

— Co robisz? — zapytała groźnie.

— No przecież muszę się rozpakować — stwierdził płacząco pan Makuszewski.

— Powiedziałam, sama rozpakuję, ty nawet nie wiesz, gdzie wkładać.

— Ale wiesz, nasze małżeństwo opiera się na partnerstwie, chciałem ci pomóc — oświadczył dzielnie, jakby zapominając, że o tym, gdzie kończy się małżeństwo ze ścisłym zakresem obowiązków, a zaczyna partnerstwo, decyduje wyłącznie pani Adela.

— Ale ja nie chciałam, żebyś mi pomagał. Zostaw! — zażądała stanowczo, widząc, że mąż, wciąż z nią rozmawiając, nie przestaje wkładać części swojej bielizny do szafki.

— To kiedy to zrobisz?

— Jak będę miała chwilę czasu. I uznam, że naprawdę tu mieszkamy.

— Przecież mieszkamy. Ponad tydzień.

— Dopóki jesteśmy spakowani, możemy się w pięć minut stąd wyprowadzić.

— Nigdzie nie znajdziemy nic tak taniego w tak świetnie położonym miejscu.

Pani Adela od dość dawna wiedziała, że jej mąż jest idiotą i powinna go zostawić. Był niepraktyczny do granic możliwości! Tylko temu należało przypisać fakt, że choć w różnych fundacjach rowerowych pracował od wielu lat i był jednym z najlepszych fachowców na rynku od pozyskiwania funduszy, to zawsze zadowalał się zwykłą pensją. Zamiast założyć jakąś własną fundację o chwytliwej nazwie i kosić granty i dotacje! Ona sama by tak zrobiła, gdyby miała choć część jego umiejętności!

A teraz na dodatek ten idiota nie rozumie, w jakim strasznym miejscu wynajął mieszkanie.

— Nigdzie indziej naszym sąsiadem nie będzie ten Przypadek — wycedziła przez zęby Makuszevska.

— Co ci on przeszkadza? Podobno jest groźny tylko, gdy ktoś chce popełnić przestępstwo.

Pani Adela zrobiła kilka kroków w stronę swojego męża i chociaż nie górowała nad nim posturą ani nie trenowała tajemnych sztuk walki, to pan Krzysztof cofnął się nieco, wyraźnie przestraszony.

— Ktoś taki jak on jest zawsze groźny — wycedziła powoli. — Dla każdej fundacji i dla każdego człowieka, który walczy o szlachetne cele. Dla niego nie ma żadnej świętości. On zawsze znajdzie dziurę w całym i sprawi, że najstuszniejsza sprawa okaże się machlojką. — Pani Adela miała w swojej karierze etap bycia wrózką i być może dlatego w tej chwili przemawiała głosem natchnionej wieszczki. — Żaden uczciwy człowiek nie może spać spokojnie, gdy w pobliżu jest Przypadek!

— Chyba go demonizujesz — zauważył nieśmiało pan Krzysztof, ale wystarczyło tylko krótkie spojrzenie żony, by opuścił wzrok i zrozumiał, że nawet nie ma co wspominać, iż jego szef bardzo się ucieszył z nowego sąsiada.

— Jeżeli przez następne dwa tygodnie nikt z naszych znajomych nie pójdzie do więzienia, to wtedy się rozpakuję — oświadczyła stanowczo pani Makuszevska. — Ja tu na

razie nawet spać nie mogę!

— Może to peñnia? Wiesz, Filipowi ostatnio znów się śnił ten koszmar, że ktoś go goni tą czarną terenówką i rozjeżdża.

— Jemu się to śni bez przerwy od trzech miesięcy.

— Faktycznie. Ja myślę, że to przez to, że za dużo myśli o tym Wielkim Grancie. — Tu autor ponownie prosi korektę o niepoprawianie dużych liter, gdyż Krzysztof Makuszewski bez cienia wątpliwości również wymówił te dwa słowa w ten właśnie sposób. — A właśnie, mam nadzieję, że nie powiedziałaś o nim swojemu szefowi?

— Nie. Ale chyba skądś się o tym dowiedział, bo kazał mi zbierać papiery do wniosku.

— Niedobrze. — Makuszewski przestraszył się nie na żarty. — Filip może się wściec, jak się zorientuje, że ten twój hrabia złożył wniosek. Pomyśli, że to przeze mnie.

— A ty waszego jeszcze nie złożyłeś?

— Nie. Filip chce formalnie, żeby na jakąś inną fundację to poszło, bo on już ma na koncie dużo grantów i nie chciałby, żeby jakieś pismaki się tym zainteresowały.

— Ale nowa fundacja będzie miała trudno z otrzymaniem od razu takiej dużej kasy.

— Jak się odpowiednio napisze wniosek, nie będzie żadnych kłopotów — powiedział chętnie Makuszewski. — Dam radę.

— I właśnie dlatego nie rozumiem, czemu ty nie założyłeś czegoś swojego.

— Bo nie chcę uczestniczyć w tej walce buldogów. — Makuszewski się wzdygnął. — Sama wiesz, jak się ludzie potrafią zarzynać o te dotacje i granty. Filip ma grubą skórę, daje radę. A poza tym obiecał mi dużą premię, gdy ten grant trafi do nas.

„Dużą premię — prychnęła, choć tylko w myślach, Adela. — Ty to się zawsze zadowalaś tylko dużą premią. Ale teraz rozumiem, skąd ten wniosek o założenie nowej fundacji, na który trafiłam przypadkiem przy pakowaniu się. I tak na nic się wam zda. Bo to my dostaniemy ten Wielki Grant — pomyślała od dużych liter. — Zaraz jak tylko ten twój Hirek upadnie pod to auto”

Mówi się, że rewolucja pożera własne dzieci. Filip Hirek czuł właśnie w tej chwili, jak jej paszcza już chwytą jego nogi. Jechał teraz ścieżką rowerową, wydzieloną z jezdni drogi. Walczył o takie ścieżki od wielu lat. Miał nadzieję, że zmniejszą ruch samochodowy dzięki zwężeniu jezdni. A jeśli to się nawet nie uda, to auta utkną w jeszcze dłuższych korkach, przynajmniej więc blachosmrodziarze zostaną ukarani za zbrodniczą chęć poruszania się własnym autem po mieście!

Tymczasem padł jednak ofiarą swojej walki. Bo ze ścieżki nie było żadnej ucieczki! Wzdłuż niej, oddzielając ją od chodnika, stał sznur zaparkowanych aut. A za Hirkiem gnała wielka terenówka. I choć prezes fundacji Cyklomaniacy nie jechał swoim zwyczajem środkiem ulicy, tylko grzecznie trzymał się wyznaczonego dla rowerzystów pasa, to ogromne auto go nie wyprzedzało, a jedynie zwiększało swoją prędkość, zmuszając do tego samego Filipa.

— Policja! — wrzasnął zdyszany, ale antysmogowa maska skutecznie zduśiła jego głos i prawdopodobnie usłyszały go tylko najbliższe osoby. Lecz i do nich dotarł raczej niewyraźny bełkot aktywisty rowerowego. — Spokojnie, po co ja się tak denerwuję? Przecież to pewnie jest sen — przekonywał sam siebie szef Cyklomaniaków. — Tak, to znowu na pewno ten koszmar. Nie mam się czego bać. Mogę właściwie się zatrzymać na środku drogi, on mnie przejedzie, a wtedy na pewno się obudzę. Tak powinienem zrobić. — Na ułamek

sekundy Hirek zwolnił, ale potem od razu przyspieszył. — Cholera, a co jeśli to jednak nie sen?!

Przez głowę przebiegały mu setki panicznych myśli. Chciał jak najszybciej dotrzeć do Przypadka i go wynająć, płacąc mu nawet wygórowaną stawkę. Właściwie dlaczego od razu tego nie zrobił? Stać go było na detektywa, choć faktycznie nie mógł zrozumieć, dlaczego ten, w porywie szlachetnego odruchu, nie postanowił dla niego pracować za darmo. Wprawdzie oficjalna narracja głosiła, że detektyw jest krwiopijcą, żądającym zawsze horrendalnych stawek, ale po kątach szeptano, że jak ma ochotę, to potrafi pracować bez wynagrodzenia. Dlatego więc nie miałby tego zrobić dla Hirka, walczącego o tak wiele słusznych spraw?!

A tak się ucieszył, gdy się okazało, że Krzysiek Makuszewski wynajął to mieszkanie obok Przypadka. Był pewien, że wreszcie może liczyć na to, że ktoś rozwiąże zagadkę jego snów, o których mu wielokrotnie opowiadał. Zresztą Hirek był pewien, że tylko ten dziwaczny detektyw-jasnowidz może mu pomóc, i od dawna się nie krył przed swoim współpracownikiem, zabraniając mu oczywiście o tym mówić komukolwiek innemu. Przecież oficjalnie Jacek był wyklęty z wpływowych sfer towarzyskich.

Ale wyklęty czy nie, Hirek chwilowo nie miał co liczyć na odsiecz ze strony Przypadka, a nie tak daleko była komenda policji. Może tam powinien się ukryć? Jednak czy można ufać policjantom? Przecież jeszcze nigdy nie widział żadnego stróża prawa jeżdżącego na rowerze. Czasem straż miejska posiada takie pojazdy. Za to wszyscy funkcjonariusze tylko się rozbijają tymi paliwożernymi radiowozami zatruwającymi środowisko, ewentualnie męczą konie, każąc im się przebijać przez nadwiślańskie chaszcze. Nie, policjantom nie wolno ufać. Zwłaszcza że nie ma w zasięgu wzroku żadnego z nich, a ta terenówka podjeżdża coraz bliżej. I jak warczy!

O, a teraz wyraźnie dotknęła jego koła!

— Ty spalinywy degeneracie! — wrzasnął szef Cyklomaniaków. Jego głos cały czas wiązał w masce antysmogowej, lecz Hirek nic sobie z tego nie robił. Rozum wprawdzie podpowiadał mu, że powinien oszczędzać siły na ucieczkę, ale wewnętrzna wściekłość nie pozwalała zachować milczenia. — Ty blachosmrodziarski faszysto! Ty bękartie dieslowski! Ty silnikowy zwyrodnialcu! Ty kanapowy bydlaku! Ty rzeźniku koni mechanicznych! Ty smogowy ludobójco! Ty gangsterze uliczny! Ty ewolucyjny wykolejeńcu! Ty wampirze energetyczny! Ty psychopato na usługach korporacji! Ty sadystyczny krwiożerco! Ty patriarchalna łajzo! Ty negacjonisto klimatyczny!

Hirkowi chwilowo skończył się zasób epitetów, dlatego zaczął wymyślać, czego życzy swojemu prześladowcy.

— Żebyś wałnął w najbliższe drzewo! Żeby cię poduszki powietrzne pozabijały! Żeby ci silnik wybuchł! Żebyś wpadł do Wisty! Żeby ci się hamulec zaciął na autostradzie! Żeby ci bombę w samochodzie podłożyli! Żebyś stał w korku stąd do Nowego Jorku!

Niestety zaklęcia nie działały. Filip mocniej nacisnął na pedały i obejrzał się przez ramię. Wtedy po raz pierwszy zauważył twarz kierowcy. Znał ją na pewno, tylko nie mógł sobie przypomnieć skąd. Może gdyby tego oblicza nie wykrzywił grymas złości, byłoby mu łatwiej jakoś je rozpoznać. Prezes fundacji Cyklomaniacy wykrzesał z siebie resztkę sił, żeby dojechać do najbliższego skrzyżowania i przez przejście dla pieszych uciec na chodnik. Ale jak na złość piesi stali w równym, zwartym szeregu, czekając na zapalenie się zielonego światła. Kiedy Hirek ich mijał, ruszyli, zlorzcząc na rowerzystę, który pognął przed siebie.

Nie na długo zresztą. Usłyszał tylko pisk hamulców i zanim zapadła wokół niego ciemność, zobaczył jedynie ponownie przez ułamek sekundy twarz kierowcy terenówki, który nie zdążył wyhamować przed pasami i zatrzymał się bezpośrednio przed skrzyżowaniem. I wtedy Hirek przypomniał sobie, skąd ją zna.

To była twarz, którą znały miliony widzów z ekranów telewizorów.

Malwina wiedziała, że Jacek bywał na tym cmentarzu już niejedyn raz, zanim jeszcze w skromnym, niewielkim grobie rodziny Cabajów spoczęły prochy Basi, jego dziewczyny sprzed lat. Dowiedziała się tego od mamy swojej przyjaciółki, która spotkała go tu kilkakrotnie, gdy zapalała świeczkę. Nie znał nikogo z tu pochowanych, dlatego Malwina domyślała się, kogo tak naprawdę wspominała w tym miejscu. Bo choć przez wiele lat oficjalnie nie wierzył w śmierć swojej ukochanej, to tak naprawdę wiedział, że szans na to, by przeżyła, nie ma wiele.

W tej chwili stali oboje przy grobie. Na tablicy wyryto napis: „Basia Cabaj. Żyła lat 22”. Było tam też zdjęcie z ostatniej wyprawy dziewczyny w Himalaje. Ta fotografia, przysłana Jackowi, przez wiele lat stała w kuchni jego mieszkania przy Koneckiej 40. Rozmawiał z nią, zwierzał się, żalił i prosił o radę. Teraz, na jego prośbę, mama Basi zgodziła się, aby to właśnie zdjęcie znalazło się na nagrobku.

— Dzięki, że przysłaś tu ze mną — powiedział Jacek, nie odrywając wzroku od fotografii.

— Wiem, że kiedyś bywałeś tu sam.

— To nie to samo. Wtedy jej tu nie było. Nawet tak symbolicznie jak teraz.

Malwina zobaczyła, że po policzku Jacka spływa łza. Nigdy nie mogła go do końca rozgryźć. Przecież nawet gdy był z Basią, wiele lat temu, zwykle pozostawał cynikiem. Oczywiście dużo mniejszym niż potem, gdy jego dziewczyna zaginęła w Himalajach. Wtedy cynizm stał się właściwie jego wizytówką. I nagle, spod tego pancerza cynizmu, wystawał nieuleczalny wręcz romantyk. Ktoś potrafiący się zdobyć na wielkie i wspaniałe gesty i płaczący zupełnie szczerze, gdy coś go dotknęło.

— Ale przecież wiedziałeś, że ona nie żyje. Inaczej byś tu nie przychodził.

— Nie wiedziałem. Czuję. A to dwie różne sprawy, Malwinko.

Nie lubiła, gdy zdrabniał jej imię. Robił to rzadko, ale zawsze wtedy budził się w niej bunt. Może dlatego powiedziała:

— Chyba się tym za bardzo nie przejmowałeś, skoro związałeś się z tą Urbanek i zamieniłeś potem w swojej kuchni fotografię Basi na zdjęcie tamtej.

Jacek nie odpowiedział w pierwszej chwili, tylko zamyślił się na prawie minutę, zanim wreszcie wyjaśnił:

— Nawet nie masz pojęcia, jak się wtedy bałem, że przeczytam na twoim blogu informację: „Dziś znalazłam Basię. Cierpiała przez te wszystkie lata tylko na lekki zanik pamięci, ale teraz już z nią wszystko dobrze. Wracamy do kraju”.

— Kochałeś tamtą bardziej? — zapytała już bez cienia ironii Malwina.

— Kochałem ją inaczej. Ona żyła i mogłem z nią wiązać pewne plany. Ale gdyby wtedy Basia wróciła, to... — Jacek zawiesił głos.

— To co?

— To nie pytaj, co bym zrobił. Bo nie wiem. Zresztą to już nieistotne. Nie ma ani jednej, ani drugiej.

Malwina z największym trudem powstrzymała się, żeby nie krzyknąć: „Masz przecież mnie! Ja żyję!“. Wiedziała, że takie wyznanie nie miałyby najmniejszego sensu i Jacek skomentowałby je tylko ironicznie. Ale i tak miała ochotę to zrobić. Powiedzieć wprost coś, co i tak wiele razy dawała mu do zrozumienia ogródkami.

Nie, tego wyznania wprost nie uczyniłaby po to, by coś w ten sposób uzyskać. Tylko dla własnej satysfakcji. Albo żeby mieć poczucie, że zrobiła absolutnie wszystko, co można było zrobić. Lub też po to, aby Przypadek nie mógł kiedyś ze zdziwienia podnieść powiek i powiedzieć: „Naprawdę, nie miałem pojęcia, że ty tak na serio mnie traktujesz? Gdyby to usłyszała, chyba by go walnęła z całej siły. A może nawet kupiłaby pistolet i wpakowała cały magazynek w jego głowę. Ale najpierw musiała się odważyć i powiedzieć mu wszystko wprost. Tylko czy kiedykolwiek się na to zdobędzie?

— No tak. Teraz będziesz miał już dwa groby do odwiedzania — stwierdziła bez cienia satysfakcji.

— To prawda.

— A ten drugi to gdzie?

— Pod Warszawą.

— Często tam jeździsz?

— Ostatnio rzadziej. Ciężko tam dobiec, a teraz przecież już nawet nie biegam. — Jacek się uśmiechnął.

Malwina zauważała, że niemal w jednej chwili zmienił mu się nastrój z żałobnego na odrobinę rozbawiony. Twarz detektywa przybrała znów swój stały ironicznie-dobrotliwo-pobłażliwy wyraz, co nieco zdziwiło byłą dziennikarkę.

— Przecież mógłbyś dojechać tam pewnie jakimś zwykłym autobusem. Jeździsz nimi czasem.

— Jeżdżę. Na szczęście u niej nie muszę bywać zbyt często, bo jej zdjęcie mam cały czas na półce. I wolę patrzeć na nie, niż stać przy jej grobie — stwierdził detektyw. — Chodźmy już.

Jacek ruszył nagle, co nieco zaskoczyło Malwinę. Nie umiała wytłumaczyć dlaczego, ale spodziewała się, że spędzą tu co najmniej godzinę, wspominając stare czasy. A tu dziesięć minut, krótka modlitwa i „chodźmy już“. A przecież był tu pierwszy raz po pogrzebie. Czyżby naprawdę zakochał się w tej Urbankowej tak bardzo, że Basia wywietrzała mu od razu z głowy? Nie, to chyba niemożliwe... Chyba...

— Zabierzesz mnie kiedyś do niej? — zapytała, starając się dotrzymać detektywowi kroku, gdy przemykał pomiędzy grobami.

— Na cmentarz?

— A co w tym dziwnego?

— W zasadzie wszystko. Widziałas ją ledwie raz, a chcesz odwiedzić jej grób.

— Chcę tam być z tobą. Jak tu, przy Basi.

— Basię znałaś równie dobrze jak ja. Dlatego tu miało to sens i jestem ci za to bardzo wdzięczny. Tam, nie gniewaj się, wolę być sam.

— Myślisz, że ta Izabela pogńiewa się z za grobu, że przyszedłeś ją odwiedzić z inną kobietą? — usiłowała nieudolnie zażartować Malwina, ale nawet gdy mówiła te słowa, wiedziała, że nie rozśmieszą one Jacka. Nie o to jej zresztą chodziło.

— Dla mnie była Małgosią. Przystała używać imienia Izabela, zaraz gdy tylko wyprowadziła się od męża. I tak, masz rację, że Małgosia mogłaby być o ciebie zazdrosna.

Biuro stowarzyszenia Jest Rowerowo! mieściło się w niewielkim pokoiku oddzielonym symbolicznie od reszty mieszkania Remigiusza Rossy-Rostafińskiego, które odziedziczył po przodkach. Było najmniejszym pomieszczeniem w tym sześciopokojowym lokum i pewnie ktoś nieżyczliwy mógłby się zdziwić, że stowarzyszenie płaci za nie czynsz nie mniejszy niż za wynajem całego mieszkania. Na szczęście ludzie nieżyczliwi nie mieli dostępu do sprawozdań Jest Rowerowo!, dlatego potomek arystokratów unikał kłopotliwych pytań w tym temacie. Zawsze mógłby zresztą powiedzieć, że tak naprawdę pracownicy stowarzyszenia mogą korzystać ze wszystkich pokoiów. A że na razie nieustannie od kilku lat byli zatrudnieni jedynie on i Adela Makuszevska, którym wystarczył ten jeden bardzo drogi pokój, to już zupełnie inna sprawa. Rossa-Rostafiński, jak przystało na prawdziwego arystokratę, rzadko wstawał przed południem. Gdy to już zrobił, jadł śniadanie, pił poranną kawę, a dopiero potem zaglądał do biura. Zwykle była już godzina czternasta, dlatego na omówienie spraw stowarzyszenia miał czas do piętnastej, o której to Adela Makuszevska najpóźniej wychodziła z pracy. Dziś jednak zjrzął tam wyjątkowo wcześnie, ledwie kilka minut po trzynastej. Dlatego jego podwładna czuła, że musi mieć do niej nadzwyczaj ważną sprawę. Znała bowiem na tyle Rossę-Rostafińskiego, że wiedziała, iż aby przejść do meritum, potrzebuje co najmniej trzydziestu minut rozmowy o niczym. Tak było i tym razem i o trzynastej czterdzieści pięć wyjaśniło się, dlaczego potomek arystokratów postanowił tak wcześniej rozpocząć dzień pracy.

— Powiedz mi, Adela, tylko tak szczerze, co ten Brągiel kombinuje z Hirkiem?

— Brągiel kombinuje coś z Hirkiem? — zdziwiła się niemal szczerze Makuszevska. — Przecież oni się nie cierpią.

— Adelko, nie ściemniaj. Chodzi mi o to, co wymyślił Mateusz, żeby pozbyć się Filipa.

— Skąd mam to wiedzieć? Gdyby to Filip coś kombinował, to coś bym mogła wiedzieć przez Krzyśka, ale tak...

— Adelko, nie rozczulaj mnie. — Rossa-Rostafiński uśmiechnął się wyniośle. — Twój mąż prędzej dałby się pokroić, niż zdradziłby jakąś tajemnicę swojego ukochanego szefuńcia. Za to twój gach na pewno nie ma przed tobą tajemnic.

— Gach? — zdziwiła się Adela. Przyzwyczajona do tego, że Rossa-Rostafiński używa czasem nieco archaicznej nomenklatury, wiedziała doskonale, co znaczy to słowo, lecz mimo to powiedziała: — Nie rozumiem, o czym mówisz.

— Rozumiem, rozumiem. Ja cię broń Boże nie potępiam, ktoś, kto jest zakochany w takim indywiduum jak Hirek, nie może być prawdziwym mężczyzną, a zapewne jest również impotentem. W mojej rodzinie dawniej kochankowie i kochanki to była właściwie instytucja, która pozwalała regulować niedostatki życia małżeńskiego. Ale zrozum też mnie. W grze są poważne pieniądze i ja muszę wiedzieć, co kombinuje Brągielek. Dlatego jeśli nie chcesz, żeby pan Makuszevski wiedział za dużo, musisz mi to powiedzieć. Wprawdzie twój mąż nie ma jaj, ale mocno by się jednak wkurzył, gdyby się dowiedział, z kim mu przyprowadzasz rogi. — Uśmiechnął się z lordowską miną przyklejoną do twarzy. Używanie słów powszechnie uznawanych za wulgarne było sprzeczne z jego wychowaniem, natomiast mały szantażyk jak najbardziej mieścił się w jego ramach.

— Nie mam zielonego pojęcia, co chce zrobić Mateusz — powiedziała z namysłem Adela. — Przystałam się z nim widywać pół roku temu.

Oświadczenie Makuszewskiej wywołało na twarzy Rossy-Rostafińskiego jedynie pogardliwy półuśmieszek.

— Adela, czy jest ci u mnie źle? Sześć tysięcy na rękę, różne premie, opłacam ci serwis rowerowy i fitness club, przychodzisz na dziewiątą, wychodzisz o piętnastej. Tak ci zaufałem, dałem szansę, choć wcześniej byłaś głównie zwykłą wrózką w jakimś serwisie ezoterycznym. Ładnie to tak? — Arystokrata pokręcił z niezadowoleniem głową. — I nawet tolerowałem to, że Brągiel czasem dowiaduje się o pewnych grantach szybciej, niż powinien, bo doceniałem, że nie mówisz o nich mężowi. Ale moja tolerancja ma swoje granice.

— Remek, uwierz mi, ja naprawdę nie wiem, co kombinuje Mateusz w sprawie Filipa...

— Ale wiesz, że coś kombinuje? — złapał ją za słowo Rossa-Rostafiński.

— Tego nie powiedziałam. Po prostu naprawdę nie umiem ci pomóc.

— Dobra, Adelko, zróbmy tak. Przez weekend się zastanowisz, czy jednak czegoś nie wiesz, i jak coś ci się uda przypomnieć, to pogadamy o podwyżce i jakimś dodatkowym bonusie.

— A jeśli nic sobie nie przypomnę?

— Wierzę w twój rozsądek. — Rossa-Rostafiński wyjął z kieszonki swój zegarek z dewizką na srebrnym łańcuszku. — No nie, jestem tu już prawie godzinę. Trzeba by odbyć jakąś rowerową przejażdżkę dla dobra krzewienia naszych celów. W końcu mamy to zapisane w statucie!

Kiedy szef Jest Rowerowo! wyszedł z biura, a po chwili również z mieszkania, Adela Makuszevska wiedziała, że dzisiaj i tak już nie da rady się skupić na pracy. Zresztą nie miała wiele do zrobienia, od trzech dni rozliczała jedną z kampanii stowarzyszenia. Dlatego gdy drzwi za arystokratą się zamknęły, odłożyła papiery, sięgnęła po telefon i wybrała numer.

— Cześć... Wiem, że miałam do ciebie chwilowo nie dzwonić, ale chyba mamy problem. On już wie... No jak to kto? Pan hrabia. Zagroził, że powie o nas Krzyśkowi! Nie, nie uspokoję się! Ciągłe mi tylko coś obiecujesz i obiecujesz... Trzeba coś z tym jak najszybciej zrobić... Jak to nie masz czasu? Jaka konferencja?

Filip Hirek z jednej strony się cieszył, że przygoda na skrzyżowaniu zakończyła się jedynie lekkimi stłuczeniami i mógł dość szybko opuścić szpital. Z drugiej jednak strony czuł, że jakaś poważniejsza kontuzja bardzo przydałaby mu się w walce o kolejny grant, szczególnie ten związany z kulturowym upamiętnianiem dziedzictwa cyklizmu. Dziesięć lat temu sprawa była prosta, na rynku istniały tylko trzy poważne firmy, które się mogły o nią ubiegać. Ale teraz w samej Warszawie funkcjonowało co najmniej dwadzieścia stowarzyszeń i fundacji broniących praw rowerzystów. Wprawdzie on, no i Brągiel, i Rossa-Rostafiński mieli największe fory z powodu swej medialnej rozpoznawalności, lecz coraz trudniej było im sobie poradzić z młodymi rowerowymi wilczkami.

Żeby więc całkiem nie zaprzepaścić swojego pobytu w szpitalu, Hirek zwołał konferencję prasową od razu, gdy tylko odzyskał przytomność. Czasu nie miał wiele, po krótkiej obserwacji miano go wypuścić do domu. Dlatego polecił Makuszewskiemu ściągnięcie wszystkich możliwych dziennikarzy. Najbardziej ucieszyła go obecność Bartosza Fifki, który przyjechał z kamerzystą. Nie brakowało również przedstawicieli prasy, która zawsze z ochotą wspomagała jego starania o rowerową rewolucję w mieście.

Dyrekcja szpitala nie udostępniła Hirnowi salki, co ten postanowił dobrze zapamiętać, a wytłumaczył sobie krzyżem wiszącym w gabinecie dyrektora. Na szczęście pogoda

sprzysięgała, pozwalając zaimprovizować konferencję na parkingu przed budynkiem. Prezes Cyklomaniaków, choć mógł się bez problemu poruszać, wyszedł do zgromadzonych dziennikarzy, wspierając się na ramieniu Makuszewskiego, czym wzbudził powszechne współczucie.

— Dziękuję wam za tak liczne przybycie — zaczął niemal grobowym głosem. — Wasza obecność jest znakiem tego, że wciąż trwa walka o ulice przyjazne dla rowerzystów. Ta walka ciągle się zaostrza, bo im dłużej działamy, tym mocniej widzimy, ile jest do zrobienia, ile ciężkiej pracy nas czeka. Wielu wrogów już rozpoznaliśmy, najgorzej jest jednak wtedy, gdy wróg czai się wśród przyjaciół.

Po zebranych dziennikarzach przeszedł szmer i pewnie zaraz ktoś z nich zadałby pytanie, gdyby nagle z tyłu nie wyskoczył Brągiel.

— Filip, jak się czujesz, że nic ci się nie stało! — Szef Miasta na Dwóch Kótkach uśmiechnął się szeroko. Hirek nie wyglądał na równie zadowolonego jak Brągiel i najchętniej coś od razu by mu odpowiedział, ale obecność przyjaciela gorszego od wroga tak bardzo go zaskoczyła, że zaniemówił.

— Przeszedł się lansować przy Hirku — szepnął pogardliwie Fifka do stojącej obok dziennikarki.

— Jak państwo widzicie, ograniczania i spowolniania ruchu samochodowego w mieście nigdy dość! — Brągiel stanął obok Hirka i w tej chwili trudno było powiedzieć, czyja to konferencja prasowa. — Ścieżki rowerowe wzdłuż jezdni to połowiczne rozwiązanie. Na takich trasach powinno obowiązywać ograniczenie prędkości do maksymalnie trzydziestu kilometrów, aby rowery miały szansę jechać równie szybko jak auta. Lepsze byłoby dwadzieścia kilometrów, ale tu oczywiście lobby spalinowe może zawyc z wściekłości. Naturalnie nie możemy mu się poddawać i musimy spróbować wywalczyć choćby dwadzieścia pięć kilometrów!

Dziennikarze uśmiechali się pod nosem, widząc, jak Hirek zgrzyta bezsilnie zębami. Wszyscy wiedzieli, że jeśli chodzi o charyzmę i swego rodzaju szołmenstwo, to prezes Cyklomaniaków nie mógł się w żaden sposób równać z szefem Miasta na Dwóch Kótkach. Brągiel był w tym niezastąpiony i może dlatego z każdym rokiem udawało mu się powiększać liczbę grantów otrzymywanych dla swojego stowarzyszenia.

— No, Filip, powiedz coś — zachęcił niemal ironicznie swojego towarzysza w walce i wroga przy dzieleniu dotacyjnego tortu Brągiel.

Hirek najchętniej użyłby w tej chwili słów mało parlamentarnych, ale chcąc nie chcąc, musiał się od nich powstrzymać i wycedzić najspokojniej, jak umiał:

— Jak państwo pamiętają, wspominałem, że najgorzej, gdy wróg czai się wśród przyjaciół. I tak się właśnie stało. Za mój wypadek jest oczywiście również odpowiedzialna zbyt wysoka dopuszczalna prędkość jazdy, ale także obecny tu szef Miasta na Dwóch Kótkach.

— Co?! — wykrzyknęli niemal równocześnie wszyscy dziennikarze. Do różnych podjazdowych wojenek między szefami najrozmaitszych szlachtetnych stowarzyszeń walczących o tę samą pulę pieniędzy już się przyzwyczaili. Ale otwarta bitwa to było coś zupełnie nowego.

— To pewnie żart Filipa — stwierdził Brągiel, ale nie uśmiechnął się przy tym zbyt szeroko.

— To żaden żart. Tym samochodem, przed którym uciekałem i przez który wpadłem pod koła innego auta... — Hirek, widząc napięcie na twarzach dziennikarzy, zrobił na moment efektowną pauzę. — Otóż tym samochodem kierował przyjaciel pana Brągla, Bolko Szoftysik.

— I ja jestem temu winien? — Brągiel rozbawiony spojrzął na dziennikarzy, którzy czuli już niezłego newsa, choć jeszcze obawiali się, żeby nie był to zmokły kapiszon.

— Tak właśnie. I detektyw Przy zadek, którego już prawie wynająłem, ci to udowodni.

Krzysztof Makuszewski już na parterze poczuł niepokojący swąd. Zarzucił jednak rower na ramię i ruszył do góry. Na pierwszym piętrze zakasłał po raz pierwszy. Na drugim kasłał już prawie cały czas. Na trzecim przestał powoli widzieć stopnie schodków. Na czwartym był pewien, że mógłby podrzucić rower, a ten zawisłby w powietrzu.

— Co panie robią?! — wykrztusił z największym trudem.

— Co on się pyta? — zdziwiła się Zygryda.

— Chyba przez ten dym nie widzi, że wyszliśmy na fajeczkę — odpowiedziała jej Teodora.

— Aha, jaramy, drogi sąsiedzie.

— Ale jak to tak, na korytarzu? — Cyklista zakasłał niemal gruźliczo.

— Minka nam zabroniła w domu — powiedziała z żalem Zygryda.

— A na balkon nie możemy — dodała Teodora i po chwili wyjaśniła: — Czwarte piętro, kręci nam się w głowie.

— Ale to na dwór, piękna pogoda jest. — Makuszewski usiłował po omacku trafić na dzwonek do drzwi.

— Z czwartego piętra bez windy? — roześmiała się złowieszco Zygryda. — My tu godzinę wchodziłyśmy, proszę pana.

— To co, zawsze będą panie tak palić na korytarzu?! — zapytał zdesperowany cyklista. Mimo że dzwonił do drzwi, jego żony jeszcze chyba nie było w domu i teraz musiał trafić kluczem do zamka, co okazało się trudnym zadaniem.

— A co to komu przeszkadza? — zdziwiła się Teodora.

— Mnie to przeszkadza, i to bardzo! — Makuszewski w panice usiłował trafić do dziurki od klucza, ale najpierw pomylił zamki, potem pęk kluczy mu wypadł, aż w końcu zdenerwowany stwierdził, że wychodząc, zabrał niechcący klucze od starego mieszkania, nie ma więc możliwości, by dostał się do środka. — Nie zamierzam codziennie dusić się w tym dymie i nie widzieć, gdzie są drzwi od mojego mieszkania. Żyję zgodnie z naturą, zdrowo się odżywiam, prowadzę sportowy tryb życia i nie chcę tego wszystkiego zaprzepaszczać, bo jakieś baby nie potrafią się powstrzymać od palenia! — wycharczał na wpeł żywy Makuszewski i zaniósł się straszliwym kaszlem.

— No i po co się tak denerwować, płuca pan tylko wypluje — poradziła sąsiadowi Teodora. — A jak pan chce wynająć Jacka, to proszę grzecznie, bo bez nas się to nie uda. My teraz zamiast Minki nadzorujemy jego śledztwa i jak nam się ktoś nie spodoba, to się może pożegnać z usługami pana Przy padka.

Zdesperowany Makuszewski miał w tej chwili ochotę wskoczyć na siodło swojego roweru i zjechać po schodach, nie zważając na związane z tym ryzyko. Na szczęście dla niego drzwi mieszkania Jacka się otworzyły i stanął w nich Przy zadek.

— Sąsiedzie, błagam, mogę wejść?! Pomyliłem rano klucze i...

— Proszę, niech pan wejdzie. — Detektyw przepuścił Makuszewskiego w drzwiach.

— Będzie śledztwo?! To idziemy. — Zygryda, nie odkładając palonego papierosa, ruszyła w stronę Jackowych drzwi.

— Poinformuję panie o wynikach dochodzenia — obiecał Przypadek, grzecznie się ukloniwszy, i dodał stanowczo: — W moim mieszkaniu też obowiązuje zakaz palenia.

— Co to się z tą młodzieżą porobiło... — Teodora pokręciła z niezadowolaniem głową, patrząc przy tym na zamykane przez Jacka drzwi. — Dawniej każdy jarał zawsze i wszędzie, a teraz takie miększonki, że raz się zaciągną i już ich kaszel dusi.

Tymczasem w mieszkaniu Przypadka Makuszewski powoli odzyskiwał oddech. Malwina podała mu szklankę wody, którą wypił niemal duszkiem, a potem z wdzięcznością opadł na fotel przeznaczony dla klientów detektywa w jego gabinecie. Wracała mu jasność myślenia, dlatego już po pięciu minutach mógł się odezwać.

— Bardzo panu dziękuję. I tak miałem za chwilę do pana przyjść. Filip się zgadza na pana warunki.

— Nadal chce mnie wynająć? Przecież już teraz wie, kto chce go zabić.

— Tylko że to trzeba będzie udowodnić. Brągiel wyśmiał Filipa. To wielki cwaniak, na dodatek media go wybitnie lubią, dlatego policja może nie chcieć za bardzo działać. Sam pan wie, jak to jest. Pewnie pan czytał, większość relacji z konferencji Filipa jest w prześmiewczym tonie. Dziennikarze biorą stronę Brągla.

— Biorąc pod uwagę fakty, nie jest to specjalnie dziwne — wtrąciła się Malwina, stając w obronie kolegów po fachu.

— No... może i tak — zgodził się potulnie Makuszewski, chociaż nie przyszło mu to łatwo. — Chociaż przecież Brągiel miał motyw.

— Jaki? — zapytał Jacek.

— Wystarczy spojrzeć na granty z ostatnich dwóch lat. Jak gdzieś startowaliśmy przeciw Miastu na Dwóch Kółkach, to zawsze wygrywaliśmy. Sprzątnęliśmy im sprzed nosa dwa miliony złotych — stwierdził z dumą Makuszewski. — A teraz jak raz niedługo będzie się rozstrzygał kolejny przetarg. Na Wielki Grant! Milion euro. To może ustawić każdą fundację na dwa albo trzy lata!

— A czy jest ktoś jeszcze, kto mógłby powalczyć o ten grant?

— Raczej ciężko, bo tam trzeba mieć duże doświadczenie i wykazać, że już się przerobiło tej wielkości granty... Ale... w zasadzie... Ale w zasadzie jeszcze mógłby taki Rossa-Rostafiński. Drań straszny. Tylko... To znaczy... Nie wiem, czy mogę... — Makuszewski był wyraźnie speszony. — Chodzi mi o dyskrecję. Bo widzi pan, w tym stowarzyszeniu Rossy-Rostafińskiego pracuje moja żona. A ona strasznie się złości, że w ogóle tu zamieszkaliśmy koło pana. Uważa, że zaraz ktoś z naszych znajomych pójdzie do więzienia.

— I pewnie ma dobre przecucie. — Jacek pokiwał głową. — Jeśli rzeczywiście ktoś jest tu winny, tak się stanie.

— No wiem — przyznał smutno Makuszewski. — Dlatego wolałbym, żeby pan mnie na razie nie zdradzał przed żoną, że ja tutaj...

— Ona na pewno też słyszała, jak na tej konferencji pan Hirek mówił o wynajęciu mnie. A ponieważ sam leży jeszcze w szpitalu, to jasne, że musi wynająć mnie za pana pośrednictwem.

— Fakt — westchnął ciężko Krzysztof, oczyma duszy widząc, jak ciężka przeprawa czeka go z żoną. — Jeśli mógłbym panu w czymś pomóc, to chętnie, tylko najlepiej tak dyskretnie...

— Na początek chciałbym się udać do sklepu z rowerami i wybrać odpowiedni model.
— Nawraca się pan na cyklizm?! — Oczy Makuszewskiego zapłonęły jak u każdego kapłana, który zobaczył przed sobą neofitę. — Ja wiem, biegizm nie jest zły, ale to jednak czasem zmusza do skorzystania z komunikacji miejskiej, czyli zatruwa środowisko. Za to rowerem może pan dotrzeć praktycznie wszędzie — tłumaczył z entuzjazmem odprowadzany przez Jacka do drzwi.

— Do tego powie mi pan, dokąd zwykle jeżdżą na swoich jednośladach panowie Rossa-Rostafiński i Brągiel.

— Dobrze. Tylko z tym Rossą-Rostafińskim to wie pan...

— Wiem. Dyskrekcja.

Nim Jacek dotknął klamki swoich drzwi, zabręczał natarczywy dzwonek, a z korytarza dał się słyszeć głos:

— Wiem, że tam jesteś. Sąsiadki mi powiedziały!

Detektyw spojrzął na swojego klienta, ale po jego minie poznał, że Makuszewski wie, iż nie uniknie egzekucji. Dlatego otworzył drzwi i oczom ich obu ukazała się wściekła Adela.

— Kochanie, ja nie miałem wyjścia. Filip koniecznie chciał wynająć pana Jacka. On o tym myślał, zanim się tu przeprowadziliśmy — skamlał. — Naprawdę...

— I bardzo dobrze — stwierdziła Makuszevska, czym wywołała kompletne zdumienie męża i zaciekawienie Przypadka. — Trzeba dorwać tego drania dwójga nazwisk!

Podkomisarz Łoś wpadł do swojego pokoju na komendzie nieco zasapany. Nie biegł wprawdzie aż z domu, jak miał to w zwyczaju przez kilka ostatnich miesięcy, ale schody prowadzące na drugie piętro pokonywał po kilka stopni naraz. Zanim jeszcze zaczął treningi biegowe, byłoby to nie do pomyślenia. Teraz, mimo przerwy, wciąż jeszcze było to możliwe, choć nie pozostawało bez wpływu na oddech.

— No i... jak Smańko... co tam macie w tej nowej... sprawie Przypadka? — zapytał starszego aspiranta, z którym od lat stale współpracował.

— Komisarz Dynda pytał o pana.

— A co on ma wspólnego z tą sprawą Hirka?

— Nie, on w sprawie zabójstwa Marcakowej. Wie pan, tej artystki z pańskiej kamienicy.

— Wiem, o kogo chodzi, nie musicie mi tłumaczyć. Później się do niego odezwę. A teraz pytałem o to niby-zabójstwo Hirka.

— Dziwna sprawa — powiedział ostrożnie Smańko, bo doświadczenie uczyło go nie zajmować wyraźnego stanowiska, dopóki się nie dowie, co o tym wszystkim sądzi jego przełożony.

— Smańko, a która sprawa Przypadka nie była dziwna?

— No ale to zawsze były jakieś namacalne rzeczy. A teraz ten jego klient twierdzi, że mu się przyśniła próba zamordowania go, a ten wypadek był dlatego, że go nie zabili we śnie. Rower zmasakrowany, biegły nie ma pojęcia, czy ktoś go wcześniej uszkodził, czy nie.

— Ale Szołtysik faktycznie jechał tym samochodem za Hirkiem?

— Tak — potwierdził Smańko. — Ale wszystko zgodnie z przepisami w tym miejscu, mamy to nagrane na monitoringu. To znaczy raz może go i lekko dotknął, ale trudno to na pewno stwierdzić. Pewnie chętnie by mocniej przygazował, ale ten Hirek tak się bujał na tym rowerze, że się nie dało. Zwłaszcza że to szeroka terenówka, jezdnią tam zwężona do takiego pasa, że jak autobus chce jechać, to musi zajmować ścieżkę rowerową. A wielkie auto

to się ledwo mieści, pod warunkiem że rower się trzyma ściśle swojej trasy. Przejrzałem zresztą monitoring, autobusy zwykle grzecznie jadą ten kawałek za rowerami.

Podkomisarz podkręcił końcówkę swojego wąsa, co jak zwykle było u niego oznaką intensywnego procesu myślowego.

— Trzeba by przesłuchać Szołtysika — zdecydował po chwili.

— Z tym może być delikatny problem — oświadczył Smańko.

Łoś spojrział zdziwiony na starszego aspiranta. Rozumiał jego ostrożność, bo śledztwa dotyczące znanych i lubianych z odpowiednimi kontaktami i znajomościami nigdy nie należały do najłatwiejszych. Ale po pierwsze, jego podwładny powinien przywyknąć, że detektyw Przypadek trafia głównie na takie sprawy, a po drugie...

— E, nie żartujcie. Szołtysik teraz nie prowadzi już żadnego programu, nie jest nikim ważnym. To znaczy może kiedyś będzie, bo tacy jak on to znikają, to się pojawiają. Ale chwilowo nie powinniśmy się spodziewać telefonów od wysoko postawionych osób, bo nikt właściwie o nim ostatnio nie słyszał.

— No właśnie. I o to chodzi, panie podkomisarzu. Nikt w zasadzie nie wie, gdzie on przebywa. Z ostatnio wynajmowanego mieszkania wyprowadził się dwa miesiące temu, bo zalegał z czynszem. Potem podobno kątem spał u różnych znajomych.

— A ten samochód to skąd miał?

— Jeden diler dał mu do przejechania się. Że to niby taka gwiazda, to reklama z tego będzie dobra. Po jeździe Szołtysik odstawił auto, podziękował dilerowi i gdzieś sobie poszedł. Jakoś go pewnie w końcu namierzemy, ale na razie może to nie być łatwe.

— To tego Brągła trzeba by przesłuchać — zdecydował Łoś, a Smańko spojrzął na niego z niepokojem.

Szef najwyraźniej jednak zaraził się od detektywa Przypadka pewnym lekceważącym stosunkiem do ważnych osób. Tylko w ten sposób można było tłumaczyć, że ot tak po prostu zdecydował o przesłuchaniu znanego i ustosunkowanego aktywisty rowerowego. Gdyby jeszcze istniały ku temu jakieś mocne przesłanki, jakiekolwiek dowody poza dziwacznym snem Hirka, to taką decyzję można by było jakoś sobie wytłumaczyć. Ale tak? Dlatego starszy aspirant postanowił mimo wszystko sprzeciwić się podkomisarzowi. Dla jego i swojego dobra. Bo jeśli Łoś za bardzo podpadłby przełożonym, to i na Smańce mogłoby się to odbić.

— Boję się, że ten Brągiel po prostu powie, że Hirkowi wszystko się wydawało i nie ma z tym nic wspólnego.

Łoś spojrzął zdziwiony na Smańkę. Nie był przyzwyczajony do tego typu uwag i nawet odruchowo chciał zareagować pouczeniem podwładnego, lecz po chwili namysłu przyznał mu w duchu rację. Dlatego zapytał:

— To co radzicie zrobić?

— Myślę, że jak zwykle trzeba liczyć na współpracę z Przypadkiem.

— No co wy, Smańko, przecież wiecie, że nie możemy tego formalnie robić...

— Ale nieformalnie i tak robimy...

— Nie, nie, Smańko, źle to interpretujecie. My nadzorujemy jego śledztwa, a czasem faktycznie nie da się tego robić bez ściślej współpracy. Ale nie możemy tego inicjować. Zresztą myślę, że w tak skomplikowanej sprawie pan Przypadek i tak przyjdzie do nas po pomoc — stwierdził zdecydowanie podkomisarz, a starszy aspirant przez grzeczność i wrodzony instynkt samozachowawczy nie zaprzeczył. — Dlatego jak zwykle dyskretnie go

obserwujemy i nadzorujemy. Zobaczycie, że przyjdzie do nas! — powtórzył stanowczo Łos i dodał już nieco ciszej: — Chociaż w sumie to trochę dziwne, że jeszcze tego nie zrobił.

— To prawda, nieco to dziwne — potwierdził Smańko i pomyślał, że to bardzo dobrze, że już niedługo on sam będzie mógł się udać na zasłużony miesięczny urlop. Atmosfera wokół detektywa jakby znów się zagęszczała i najlepiej będzie wrócić do pracy, kiedy wiele spraw powinno się już wyjaśnić. Na przykład to, kto zabił tę dziwną Marcakową.

Mateusz Brągiel zawsze starał się być w znakomitej formie i jazda rowerem nie stanowiła dla niego tylko zwykłej przejażdżki, ale też rodzaj nieustającego sportowego treningu. Gdyby nie niechęć do spalin, zostałyby zapewne kierowcą rajdowym. Nie wykluczał, że kiedyś zacznie się naprawdę ścigać. Oczywiście w formule E, żeby pozostać wciąż ekologicznym. Ale na razie uprawiał slalom na ścieżkach rowerowych, osiągając prędkość zabronioną dla aut jadących po drogach obok. Innych rowerzystów zwykł wyprzedzać w iście rajdowym stylu, wyskakując nagle zza ich pleców i w razie potrzeby zajeżdżając im drogę, aby uniknąć zderzenia z jadącymi z naprzeciwka.

Miał niedaleko swojego domu kilka ulubionych autostrad rowerowych, na których mógł rozwinąć naprawdę dużą prędkość. Innych bywalców tych miejsc znał również dość dobrze, a szczególnie tych, którzy czasem próbowali dotrzymać mu koła. Nie udawało się to im zbyt długo i Brągiel nie bez przyczyny uważał, że mógłby to zrobić tylko jakiś profesjonalny kolarz. Ale tacy nie jeżdżą ścieżkami rowerowymi, trenując raczej na szosach.

Dlatego bardzo się zdziwił, gdy zauważył, że już od dobrego kilometra podążał za nim jak cień jakiś rowerzysta. Kiedy tamten go doganiał, obejrzał się na niego, ale w ogóle go nie kojarzył. Nacisnął więc tylko mocno na pedały i miał nadzieję, że wkrótce zgubi goniącego. Znał tę trasę znakomicie, łącznie z cyklem świateł, i wiedział, jak się poruszać, żeby praktycznie cały czas mieć zielone. Na niektóre wpadał dosłownie w ostatniej chwili i liczył na to, że goniącego go osobnika zatrzyma czerwone. Ale nic takiego nie następowało i z każdym kolejnym metrem Brągiel denerwował się coraz bardziej. Miał już dzisiaj w nogach sporo kilometrów, a jadący za nim był najwyraźniej świeżutki, w zadziwiająco dobrej formie i trudno go było zgubić.

To, że tamten siadł mu na kole, szef Miasta na Dwóch Kółkach mógł jeszcze jakoś znieść. Ale faktu, że ktoś chce go wyprzedzić, ścierpieć już nie mógł i gdy zauważył, że jego konkurent z nim się już niemal zrównuje, wrzucił najwyższą przerzutkę i podniósł się z siodelka. Nic to jednak nie dało. Tamten wysuwał się centymetr po centymetrze przed niego. I jak na złość nikt nie jechał z naprzeciwka, co mogłoby zmusić tego drugiego do wycofania się. A gdy Brągiel przegrywał już prawie o długość całego roweru, tamten odwrócił się i krzyknął do niego przez ramię:

- Może się pan zatrzymać i udawać, że i tak pan chciał stanąć.
- Nigdy!
- Inaczej pan przegra — ostrzegł go nieznamy.
- Niedoczekanie twoje!

Brągiel wykresał z siebie absolutną resztkę sił, ale jego konkurent miał ich jednak najwyraźniej więcej. Dopadł do świateł w ostatniej chwili i przemknął przez nie, gdy zielony rowerek już rytmicznie mrugał. Szef Miasta na Dwóch Kółkach najchętniej zignorowałby czerwone światło, ale samochody czekające na skręt w prawo ruszyły od razu, gdy zauważyły, że jednoślady i piesi muszą już stanąć. Brągiel zahamował z piskiem opon

i z nienawiścią wpatrywał się w przeciwnika, który stanął po drugiej stronie ulicy i przyjaźnie do niego machał. Szef Miasta na Dwóch Kółkach zsiadł z roweru, poczekał na zielone i choć nigdy tego nie robił, przeprowadził swój pojazd, idąc obok niego. W ciągu tych kilku chwil odpoczynku zrozumiał wreszcie, z kim się ścigał, i że z tym kimś nie ma sensu bawić się w kotka i myszkę, bo tak czy owak cię dopadnie.

— Pan podobno tylko biega — warknął do Przypadka.

— Zmieniam zainteresowania, rozwijam interes. Rowerem łatwiej dotrzeć do klientów, niż biegając.

— Ja pana nie mam zamiaru wynajmować.

— Do podejrzanych też łatwiej dotrzeć. — Detektyw się uśmiechnął.

— Ja rozumiem, że wynajął pana ten idiota Hirek. Pan wie, że on w dzieciństwie był szefem jakiegoś młodzieżowego gangu i nawet przesiedział parę miesięcy w poprawczaku? Potem się bardzo starał, żeby nikt się o tym nie dowiedział. W ogóle ma problemy z agresją, kiedyś pobił radnego, jak nie przyznał mu dotacji, chociaż pewnie pan o tym nie słyszał, bo w mediach skęcili sprawę. Zresztą nieważne, pan jest zbyt inteligentny, żeby uwierzyć, że najpierw wkradłem się do jego snów, a potem wysłałem Bolka Szołtysika, żeby go zabił.

— Tak pan uważa? Ja sądzę, że to dość prawdopodobna wersja.

— Akurat panu uwierzę — prychnął Bągiel. — Ja wiem, że pana ulubioną bronią jest prowokacja, ale ze mną to nie przejdzie.

— Doprawdy? Dał się pan sprowokować do takiego cudownego wyścigu. A właśnie, jak pan ocenia mój rower? Ja się na tym nie znam, ale w jego wyborze pomagał mi Krzysiek Makuszewski.

— On się też na tym nie zna. Zresztą nie zna się na niczym, dlatego pracuje z Hirkiem. On się nadaje tylko do bycia zarządzanym. Przez Hirka albo przez żonę. A pan by nie miał szans, gdyby nie to, że byłem zmęczony po godzinie jazdy.

— Tu pewnie ma pan rację, w cyklizmie stawiam pierwsze kroki. Ale mam nadzieję, że wkrótce moja dobra forma zaowocuje i tak czy owak mi pan nie ucieknie.

— To ma być groźba? Mnie pan nie da rady.

— No chyba że Bolko Szołtysik powie mi coś ciekawego.

— Bolko ostatnio bredzi kompletnie od rzeczy. — Szef Miasta na Dwóch Kółkach uśmiechnął się ironicznie.

— Tak? A kiedy ostatnio pan z nim rozmawiał? — zapytał niewinnie Przypadek i teraz dopiero Bągiel się zorientował, że powiedział za dużo, dlatego zacisnął usta, aby nie palnąć znów zbyt wiele. — Bo w mediach pan opowiada, że nie pamięta, kiedy miał z nim ostatnio kontakt.

— Nic więcej panu nie powiem.

— Zdradził mi pan wystarczająco dużo. A resztę doda Bolko.

— Pod warunkiem, że pan go znajdzie — odparł tryumfująco Bągiel.

— O to może pan być spokojny. Wiem, gdzie go szukać.

Jacek odjechał, pedałując niespiesznie. Bągiel patrzył za nim jakby z nadzieją, że jakiś kierowca złamie przepisy i wjedzie na czerwonym świetle na skrzyżowanie. Ale jak na złość wszystkie auta stały karnie w szeregu.

— Spokojnie, Mateuszu, nie daj mu się sprowokować — powiedział pod nosem. — W życiu nie namierzy Szołtysika. Tylko ty wiesz, gdzie go można regularnie znaleźć.

Remigiusz Rossa-Rostafiński nie był wbrew swej profesji rowerowym ortodoksem. Zdarzało mu się korzystać z komunikacji publicznej, nie tylko tej elektrycznej, ale również takiej wydzielającej spaliny. Szczególnie gdy chciał odwiedzić niewielki pałacyk w Kobzach, leżących około czterdziestu kilometrów od Warszawy. Prowadziła tam przez większość trasy jedynie wąska droga. Jeździło po niej dużo samochodów, które mijając się, musiały na wszelki wypadek zwalniać, bo kierowcy nie byli pewni, czy nie zahaczą się lusterkami. O podróży rowerem trudno było myśleć, chyba że się chciało usłyszeć wiązanekę niezbyt przyjemnych słów od kierowców i poczuć podmuch mijanych aut przed wpadnięciem do przydrożnego rowu.

Dlatego też arystokrata odwiedzający swoją rodzową posiadłość musiał zazwyczaj korzystać z niezbyt wygodnego busa przeznaczonego dla kilkunastu osób, a zapakowanego zwykle ponad miarę. Czasem pozwalał sobie na dojazd taksówką z Góry Kalwarii, do której docierał miejskim autobusem, i dopiero ruszał dalej do Kobz. Na miejscu czekała na niego nienadająca się do zamieszkania ruinka, z której czasem korzystał tylko w cieplejszych okresach. Witął go także zwykle, uprzedzony wcześniej telefonicznie, Franciszek Zięcina, potomek dawnych kluczników. Nie pamiętał on już wprawdzie przodków Rossy-Rostafińskiego, mieszkających w pałacyku w Kobzach, ale wystarczająco dużo nasłuchiwał się o nich od swojego ojca i dziadka, którzy wpoili mu bezwzględne posłuszeństwo wobec hrabiów.

— Dzień dobry, panie Franciszku — przywitał się Rossa-Rostafiński, widząc potomka dawnych sług swego rodu czekającego przy bramie.

— Witam pana hrabiego. — W słowach potomka kluczników nie było cienia kpiny, choć też nie dało się słyszeć żadnej służalczej uniżoności. Po prostu zauważył, że tytułowanie w ten sposób Rossy-Rostafińskiego sprawia arystokracie dużo przyjemności, a jego nic nie kosztuje. A czasem pozwala nawet coś zarobić. — Przyjechał pan na odpoczynek?

— Raczej w interesach. — Rossa-Rostafiński podał Zięcinnie dłoń. Ten gest zawsze napawał go strachem, bo on sam odziedziczył po swoich przodkach delikatne długie palce. Klucznik zaś miał pięść jak bochen chleba i gdy witał się z arystokratą, ten zawsze obawiał się, że pogruchocze mu kości. — I to w takich, które mogą się nam obu opłacić.

— Miło mi słyszeć, że nie zapomina pan o Zięcinach. Coś trzeba będzie zrobić w domu? W ogrodzie? Chce pan zorganizować jakiś drobny remont, żeby odnajmować pokoje letnikom?

— Nie, nie lubię, jak obcy mi się kręcą po domu. Już wystarczy, że w moim warszawskim mieszkaniu prowadzę stowarzyszenie. Ale rzeczywiście planuję większy remont pałacyku. I stajni.

— Będzie pan hrabia sprowadzał tu konie?

— Nie, to zbyt kłopotliwe. Zrobię tam muzeum.

— Jakież powozy? Siodła?

— Rowery.

Zięcina spojrział zdziwiony na Rossę-Rostafińskiego. Wiedział o jego rowerowej pasji, a nawet i o tym, że całkiem nieźle z tego żyje. Taka była teraz moda, a rodzina arystokraty zawsze przodowała w promowaniu mód. Dziadek opowiadał mu, że sto lat temu przodek szefa Jest Rowerowo! średnio raz w roku rozbijał w okolicy automobil, i to w czasach, gdy był to jedyny tego typu pojazd w promieniu dziesięciu kilometrów od Kobz. Muzeum samochodów — to rozumiał, o starych powozach też słyszał, takie bryczki można było

całkiem niezłe czasem wynając. Ale rowery? Jak się taki rozklekocze, to przecież nie ma co z niego zbierać.

— Niech się pan tak nie dziwi. — Rossa-Rostafiński uśmiechnął się z wyższością. — Na początek dostanie pan ode mnie fundusze na skup wszelkich starych rzeźbów z okolicy. Ważne, żeby rama była, kółka i łańcuch też by się przydały. Kupi pan kilkadziesiąt sztuk, ale tak maksymalnie po dwieście złotych.

Zięcina oblażał się zadowolony, bo już oczami wyobraźni widział, jak ludzie oddają mu rdzewiejące graty za nie więcej jak pięćdziesiąt złotych, a różnica spływa do jego kieszeni.

— Potem trzeba będzie załatwić budowę ścieżki rowerowej, góra parę kilometrów.

— Dokąd?

— Donikąd. Od mojego pałacyku w kierunku Warszawy. Najlepiej, żeby była przez łąki, wzdłuż drogi nie chce mi się prowadzić, bo to się z gminą trzeba dogadywać. Może się urywać w szczerym polu, chociaż nie będzie źle, jak dojdzie do jakiejś zwykłej drogi. Możemy potem powalczyć o fundusze, żeby wzdłuż niej też pociągnęli jakąś ścieżkę rowerową. Ale to niekonieczne. Na początek będę też potrzebował kogoś, kto mi tu dogładnie remontu. Wejście od stajni będzie prosto z ulicy, żeby nikt nie chodził po moim podwórku. No i ktoś musi pilnować tego muzeum i turystów oprowadzać.

— No to już chyba nie ja — zakłopotał się potomek kluczników. — Taki mało wymowny jestem.

— A syn? Nauczy się trochę o modelach starych rowerów, dostanie etat. I dwa, góra trzy razy w tygodniu otworzy muzeum na parę godzin i poopowiada turystom.

— Tak by mogło być. — Zięcina uśmiechnął się zadowolony. — Ale to wszystko wielka inwestycja, wygrał pan hrabia w totka?

— Powiedzmy, że mam na to duże szanse. — Rossa-Rostafiński się uśmiechnął. — W puli są cztery miliony złotych. To powinno wystarczyć.

— Na pewno wystarczy, ja tu panu świetną ekipę zmontuję! To kiedy zaczynamy?

— Chciałbym jak najszybciej. — Twarz Rossy-Rostafińskiego przybrała zatroskany wyraz. — Ale wie pan, jest taki jeden, co może w tym przeszkodzić.

— Ten komuch co zwykle? — parsknął wściekle potomek kluczników kobziańskich.

— Ten sam. Chciwy, łapczywy i grosza nie przepuści. Gdyby nie on, to pewnie już dawno bym to wszystko tutaj zrobił.

— Jakbym takiego drania dorwał w swoje ręce, to bym mu kości porachował. — Zięcina zacisnął pięści, jakby się szykował do wyprowadzenia ciosów.

— I właśnie może to trzeba będzie zrobić — przyznał ze smutkiem arystokrata. — Musimy łać bolszewików aż do ostatniej kropli krwi. Bo inaczej puszcza nas z torbami.

Każdy autor, który przed chwilą złożyłby autograf na co najmniej dwustu egzemplarzach swojej książki, byłby raczej zadowolony. Owszem, mogłaby go boleć dłoń, w głowie czaiłaby się pustka i strach przed tym, że dwieście pierwszej dedykacji nie da się już dobrze wymyślić. Jednak dominowałyby zadowolenie z popularności dzieł i optymizm co do dalszej kariery literackiej.

Pani Felicja Przypadek wyglądała jednak w tej chwili wyłącznie na zmęczoną. Dopóki jeszcze kręcili się wokół niej czytelnicy, którzy przybyli na targi książki, uśmiechała się do nich, choć dość blado. Teraz nie miała jednak siły nawet na to. Siadła gdzieś w kącie na

krzeselku i korzystała z faktu, że jeśli nie jest podpisana na jakiejś stojącej przed nią karteczce, to nikt jej nie rozpoznaje.

Po kilku minutach poczuła jednak na sobie czyjeś ciekawe spojrzenie. Przyglądał jej się mężczyzna lekko po czterdziestce, w okularach, z niesformą grzywką zasłaniającą całe czoło. Kojarzyła jego twarz, chyba siedział na stoisku naprzeciw niej i podpisywał książki. Kiedy ostatni czytelnik oddalił się już zaspokoiony, mężczyzna ruszył do niej.

— Nie przeszkadzam? — zapytał.

— Nie.

— Oliwier Stańczyk — przedstawił się mężczyzna.

— Felicja Przypadek...

— Cieszę się, że mogę panią poznać. Pani Detektyw w meloniku też jest naprawdę dobry.

— Ktoś panu kazał go przeczytać? — zapytała gorzko pani Felicja.

— Ależ skąd. Ja bardzo dużo czytam, pracuję w gazecie, czasem recenzuję.

— Czyli mój syn nie zmusił pana do napisania dobrej recenzji? — upewniła się pani Przypadek.

— Nic a nic. Nie napisałem jej zresztą, chociaż nie wykluczam, że to zrobię. Ale tak, słyszałem o tym, jak pani syn przekonał krytyków do tych dobrych recenzji. Choć nie rozumiem, dlaczego się pani tym cały czas martwi.

— Skąd pan wie, że się martwię?

— No cóż, może w odróżnieniu od pani syna nie uważam, że ludzie są banalnie przewidywalni, ale obserwowałem panią podczas podpisywania książek. Nie sprawiało to pani żadnej radości, a i teraz ciągle wydaje się pani tym przejmować. Zupełnie niepotrzebnie.

— Naprawdę? Wszyscy naokoło dają mi do zrozumienia, że sukces Detektywa w meloniku był przypadkowy.

— Jacy wszyscy? Czytelnicy?

— Nie, krytycy... i różni wydawcy tutaj...

— Czym się pani przejmuje? Słyszałem, że sprzedała pani w krótkim czasie prawie sto tysięcy egzemplarzy. Do końca roku może pójść kolejne pięćdziesiąt. To ogromny sukces. Ja za dziesięć lat będę mógł o tym tylko pomarzyć. Proszę siadać i pisać następną część.

— Tylko kto mi to wyda? Mój wydawca już coś kręci, że się zobaczy, że nie wiadomo...

— Jest jeszcze paru innych wydawców. Jestem pewien, że ktoś się skusi na kontynuację takiego bestsellera. Tylko najlepiej, jakby pani odzyskała przedtem prawa do pierwszej części od swojego wydawcy i upewniła się, czy gdzieś sprytnie nie ukrył w umowie praw do kontynuacji. Ma pani dobrego prawnika?

— Tak... Chyba mam — odpowiedziała z pewnym wahaniem pani Felicja.

— To jak już pani wszystko wyjaśni i napisze kontynuację, to proszę ją od razu do mnie przysłać. Ja pani pomogę.

— Naprawdę?

— Tak. Pomogłem już paru zdolnym ludziom, dlaczego bym nie miał pomóc i pani?

— Ale wie pan, mój syn...

— Nie znam go, ale nawet trochę lubię. Zresztą to tylko pani syn, a pani jest po prostu zdolną pisarką.

— Dziękuję panu... Bardzo pan sympatyczny...

— To taka moja stała wada. — Stańczyk się uśmiechnął. — Chciałbym być miły dla wszystkich.

- To tak się da?
- Nie zawsze. Ale się staram.
- To zupełnie odwrotnie niż mój syn — westchnęła smutno pani Felicja. — On nigdy się nie stara i dlatego przysparza sobie tylu wrogów.
- Najważniejsze, że tak bardzo panią kocha.
- Tak pan uważa?
- No oczywiście. Czy robiłby to wszystko, gdyby tak nie było? Rozumiem, że to wbrew pani woli, ale proszę pomyśleć. Gdyby nie on, nie byłoby tu pani i być może nie miałyby pani tysiocy zachwyconych czytelników. Oni raczej by się uśmiali, słysząc tę historię, i świetnie by ona pasowała im do tego kryminału. A niejeden może by się i wzruszył, i uronił łezkę?
- Tak pan myśli, panie Oliwierze?
- Oczywiście.
- Pan naprawdę jest bardzo miły, panie Oliwierze.
- Staram się. — Stańczyk się uśmiechnął.
- Świetnie to panu wychodzi.

Bolko Szofłysik był w tej chwili szczęśliwym człowiekiem. Nie wiedział zbyt dużo i tak właściwie niewiele go interesowało. Tak naprawdę jedyną ważną rzeczą w jego życiu było zapewnienie sobie odpowiedniej ilości środków relaksujących, które mógłby wypalić, uwalniając prace nieznanymi rejestrowi własnego mózgu. Ale po co miał je uwalniać, tego nie wiedział, skoro i tak w praktyce nie robił z nich użytku.

Oczywiście nieraz był cytowany w wielu miejscach, gdyż nauczył się świetnie powtarzać wyprodukowane najczęściej na amerykańskich uczelniach banały i komunały, które dawno temu dotarły tam z Rosji przez Niemcy. Niewiele z nich rozumiał, ale wiedział, że warto je powielać, bo dzięki temu można wciąż należeć do grona ludzi na odpowiednim poziomie i wieść spokojne życie. Był wręcz idealnym materiałem na dziennikarza wiodących mediów w jakimkolwiek cywilizowanym kraju.

Dlatego nawet gdy wskutek niezbyt mądrych wypowiedzi i nieszczęśliwych zbiegów okoliczności nikt go nie chciał zatrudnić, on nie tracił poczucia, że cały czas jest na topie. Bardzo pomagały mu w tym jego ulubione środki relaksujące, po których nadal mu się zdawało, że albo za chwilę wychodzi na nagranie jakiegoś bardzo popularnego show, albo właśnie z takowego wraca. W tej chwili też był przekonany, że pewnie znalazł się w tych krzakach, dlatego że ma przerwę w studio, podczas której musi się odprężyć, by zadawać uczestnikom kolejnego show błyskotliwe i podchwytliwe pytania. Był też absolutnie pewien, że tego miejsca nie zna nikt, dlatego bardzo się zdziwił, kiedy ujrzął przed sobą uśmiechniętą twarz swojego starego znajomego.

— A ty... co tu robisz?! — zapytał przerażony, chowając za sobą tłący się środek relaksacyjny.

— Nie pamiętasz? Już cię kiedyś nakryłem w tych krzakach, jak się relaksowałeś w przerwie nagrania.

— No... teraz to też muszę zrobić. — Bolko uznał, że skoro i tak został zdemaskowany, to może sobie pozwolić na sztachnięcie się, co też szybko uczynił.

— Rozumiem, nie przeszkadzaj sobie.

— Czekaj, a po co ty mnie tu właściwie nakryłeś?

- Jak zwykle po to, żeby uzyskać informację w sprawie, która mnie interesuje.
- A, chyba kojarzę poprzedni raz. Ale wydawało mi się, że wtedy mi się śniłeś.
- To uznaj, że teraz to też jest sen.

— Ale jak to sen, to znaczy, że nic ci nie muszę mówić — zauważył wyjątkowo przytomnie Szołtysik.

— Tym samym nic nie ryzykujesz, możesz mówić wszystko, bo przecież to zostanie w twoim śnie. A gdyby to jednak nie był sen, to po co ryzykować, że wszyscy się dowiedzą, gdzie się relaksujesz?

— Ostro pogrywasz — burknął Szołtysik i nagle skojarzył jakieś ostatnie wydarzenie, które pamiętał jak przez mgłę i nie do końca rozumiał jego sens. Wiedział tylko, że było to coś szalenie istotnego, a on był bohaterem. — A ja ci chyba ostatnio uratowałem życie, nie?

Przypadek się uśmiechnął. Mógłby uprawdzić upadłemu szołmenowi przypomnieć, że było dokładnie na odwrót, ale zrezygnował. Lepiej, żeby Szołtysik myślał o nim w tej chwili, że jest twardym graczem nieznanym uczucia wdzięczności. Dlatego powiedział tylko:

- To było dawno i nieprawda, Bolek. A teraz interesuje mnie niejaki Mateusz Bągiel.

— Bągiel, powiadasz? A tak, coś pamiętam. Chyba — zamyślił się na chwilę. — A wiem, zdaje się, że to mój kumpel, nawet chyba ostatnio u niego nocowałem. Tylko czekaj, po co ja u niego nocowałem? Przecież mam mój piękny penthouse. Ostatnie piętro, dziewięćdziesiąt dwa i trzy dziesiąte metra kwadratowego. Okna na wschód. Widzę Wisłę, do której w linii prostej mam ledwie siedemset dwadzieścia cztery metry, a drogą równiuteńki kilometr. O ile nie liczyć zjazdu windą. Od drzwi do windy mam cztery i dwie dziesiąte metra, sześć pięter po trzy metry to będzie... — Bolko zawsze lubował się w podawaniu z zegarmistrzowską precyzją wszelkich danych na temat posiadanych przez siebie dóbr materialnych niezależnie od tego, czy było to mieszkanie, czy rolka papieru toaletowego.

— Pewnie gdzieś z nim zabalowałaś i dlatego cię przygarnął — przerwał mu Przypadek, kierując przy okazji rozmowę na bardziej interesujące go tory.

— No tak, racja. Obiecałem mu za to, że mu załatwię u dilerów jazdę taką fajną bryczką terenową. Wiesz, ja mam świetne kontakty wśród dilerów, co i raz któryś pożycza mi furkę, żeby wypromować nowy model na mieście.

- No i co, skorzystał?

— No jak miał nie skorzystać? Głupi by nie skorzystał. Gonił potem nawet jakiegoś gościa na rowerze, który mu podpadł. Tylko czekaj, skąd ja to wiem? Aha, chyba siedziałem wtedy obok niego. Tamten zdaje się wywinął nawet fikołka. Potem, jak gadałem z Matim... Znaczą z Bągiel... Czekaj, chyba już potem z nim nie rozmawiałem. Sam odstawiłem bryczkę do dilerów. Jak Mati się ulotnił z tego samochodu? Masz jakiś pomysł? — zapytał Szołtysik, ale ze zdziwieniem zauważył, że jest sam.

Rozejrzał się uważnie po swojej kryjówce. Potem wychylił się z krzaków na zewnątrz. Zobaczył na suchej ziemi ślady kół rowerowych. Gdzieś na horyzoncie zauważył też jakiegoś odjeżdżającego cyklistę.

— Nie, to nie może być Przypadek — powiedział pod nosem. — On wszędzie biega. Czyli to znów musi być sen. Tylko dlaczego ten gnój tak często mi się śni? Chyba mam obsesję na jego punkcie. — Spojrzał na budynek stacji telewizyjnej, w której przez lata nagrywał swoje programy. — Chyba muszę wracać, pewnie przerwa się skończyła. A może już skończyliśmy nagrywać program? Tak, na pewno skończyliśmy. To skoczę po swoją bryczkę na parking.

A nie, chyba dzisiaj przyszedłem na piechotę. To idę do domu. Tylko gdzie ja dzisiaj mieszkam?

Mateusz Brągiel zawsze dzielnie walczył, żeby stojaki rowerowe były w dokładnie każdym miejscu, które tego potrzebowało albo nie. Zainicjował kampanię, że na każdego mieszkańca Warszawy powinny przypadać co najmniej cztery miejsca parkingowe dla rowerów. Był autorem słynnego artykułu o wizycie w Ministerstwie Kultury, w trakcie której zabrał ze sobą rower do gabinetu ministra, bo nie miał go do czego przypiąć przed wejściem. Wprawdzie rower miał nóżkę, a podjazdu przed budynkiem urzędu pilnowało wielu strażników, jednak to nie wystarczało Brągłowi, który grzmiał na łamach prasy i portali: „Jak takie coś mogło mieć miejsce w cywilizowanym kraju w dwudziestym pierwszym wieku?! W kraju, w którym wciąż budują się nowe kościoły, a za koszt jednego z nich można byłoby postawić milion rowerowych stojaków! Skoro ludzie starzy mają gdzie się iść pomodlić, to przyszłość tego kraju, którą są rowerzyści, powinna bezwzględnie posiadać miejsca, w których mogłaby przypiąć swoje pojazdy. Można by sobie nawet spokojnie wyobrazić, że wokół takich stojaków rozkwitłoby nowe życie duchowe, pozwalające spotykać się młodym ludziom i wymieniać poglądy na temat cyklizmu. Kto wie, czy takie miejsca nie zamienią się w świątynie nowych ruchów społecznych!?”

Efektom całej kampanii było uzyskanie okazałych dotacji pochodzących nie tylko od państwa, z Unii Europejskiej, lecz także firm produkujących rowery lub nawet niemających z tym nic wspólnego, ale uważających, że opłaca się zaistnieć medialnie przy takiej akcji. Wprawdzie według wstępnych obliczeń zebrane fundusze powinny wystarczyć na montaż dziesięciu tysięcy nowych, solidnych stojaków, to ostatecznie stanął ich tylko tysiąc. Pojawiło się bowiem mnóstwo komplikacji i obiektywnych trudności, realizacja się przeciągała, a osoby zatrudnione do całej akcji musiały przecież otrzymywać regularnie swoje pensje. Nikt jednak nie miał o to pretensji do Mateusza Brągla, bo rozumiano, że prowadzi słuszną, choć niełatwą walkę i rzucanie mu kłód pod nogi przez zadawanie kłopotliwych pytań jest kiepskim pomysłem.

Tak się jednak złożyło, że szef Miasta na Dwóch Kótkach sam nigdy nie korzystał z rowerowych stojaków. Złośliwi twierdzili, że jest jak pewna słynna piosenkarka reklamująca rajstopy, prywatnie znana z tego, że ma awersję do tej części damskiego ubioru. Mateusz Brągiel miał jednak poważne powody do takiego zachowania. Jego model roweru był niesamowicie drogi, posiadał mnóstwo najróżniejszych udoskonaleń, za które właściciel też nie mało zapłacił. Słowem, lekko licząc, wart był ponad trzydzieści tysięcy złotych i nie można było go zostawiać na łasce różnych frustratów, którzy posiadając słabszej klasy pojazdy, mogli wyładować swoją złość na jego ukochanym maleństwie.

Dlatego też gdy tylko gdzieś się udawał, zabierał swój pojazd do wnętrza budynków. A gdy ktoś nieopatrznie zapytał, dlaczego nie przypiął go do któregoś ze stojaków, to odpowiadał niezmiennie, że akurat zabrakło miejsca, a on zawsze powtarzał, że nakłady na stojaki powinny być zwiększone i sam wciąż czeka na więcej funduszy, by postawić kolejne.

W swojej fundacji miał jednak specjalne miejsca parkingowe wewnątrz, rzecz by można luksusowy garaż. Pomieszczenie dwa na trzy metry z drzwiami zamykanymi na klucz, z mnóstwem części zamiennych i gadżetów, które mógł wymienić w wypadku jakiejś awarii mającej miejsce w drodze do pracy. Tu jego pojazd był absolutnie bezpieczny.

Dziś został w fundacji wyjątkowo długo. Koncepcja ochrony dziedzictwa kulturowego cyklizmu wymagała dopracowania, bo w grę wchodziły zbyt poważne pieniądze, żeby móc liczyć na to, że przejdzie byle jaki projekt. W konkursie miało startować mnóstwo młodych rowerowych wilczków chcących wyszarpać swój kawałek mięsa ze zdobyczy. Dlatego on musiał mieć superpomysł! W dodatku uznał, że opracuje go sam, żeby utrzymać go w tajemnicy, bo nie ufał nawet najbliższemu współpracownikowi.

Wprawdzie wyszedł z pracy, kiedy jeszcze słońce nie zaszło za horyzont, ale ponieważ było sporo chmur, panowała już szarówka. Wsiadł na swój ukochany rower i chciał już ruszyć z piskiem opon, gdy ze zdziwieniem poczuł, że mimo kręcenia pedałami wciąż stoi w miejscu. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę trzymającego lekko uniesione tylne koło jego pojazdu.

— Co pan robi?!

— Daję panu lekcję. Pan bardzo szybko i niebezpiecznie jeździ.

— Niech pan się ode mnie odczepi! — krzyknął Bągiel i chciał szarpnąć kierownicą, ale wtedy poczuł, że ją też ktoś trzyma. — Co to ma znaczyć?! Ja zawałam policję! Poli... — Głos uwiązał mu w gardle, bo jego usta zakryła potężna łapa napastnika. Potem już Bągiel wprawdzie wykrzykiwał mnóstwo inwektyw pod adresem faszystów (bo przecież nikt inny nie mógł napaść tak postępowego działacza), ale tego również nikt nie słyszał.

Nie to jednak było najgorsze. Trzech napastników zdjęło go z roweru i rzuciło pojazd bez najmniejszego szacunku na samochodowy parking. Następnie jeden z nich wsiadł do jakiegoś rżęcha i przejechał po pojeździe szefa fundacji kołami. Bągiel myślał, że pęknie mu serce. Zebrał wszystkie swoje siły, żeby rzucić się na ratunek ukochanemu pojazdowi. Wyrwał się z rąk opryszka i rzucił pod koła samochodu, aby zapobiec zbezczeszczeniu roweru.

— Oszalałeś, idioto?! — krzyknął jeden z rzezimieszków i złapał go w ostatniej chwili za rękę. Lecz był to jedyny i ostatni przyjazny gest ze strony napastników. Zaraz potem Bągiel bardzo boleśnie odczuł, jak to niedobrze i niebezpiecznie jest jeździć z nadmierną prędkością po ścieżkach rowerowych.

Szczęśliwym dla niego zbiegiem okoliczności, zaraz gdy tylko napastnicy odjechali, na miejscu pojawiła się karetka pogotowia, wezwana już wcześniej do ofiary pobicia.

Przodkowie Remigiusza Rossy-Rostafińskiego słynęli z bycia dobrymi jeźdźcami. Ich nogi zawsze wyglądały w ten sposób, jakby zamierzali ścisnąć udami wierzchowca, którego mieli pod sobą. Miało to o tyle dramatyczne skutki, że pradziad arystokraty kilkakrotnie, prowadząc swój automobil, gdy zobaczył nieuchronnie zbliżające się drzewo, zamiast nacisnąć pedał hamulca, ścisnął fotel, jakby siedział na koniu, i pociągnął do siebie kierownicę jak uzdę.

Remigiusz Rossa-Rostafiński umiał na szczęście korzystać z hamulców, ale wielu twierdziło, że jeździ na swoim rowerze, jakby kłusował na wierzchowcu. Był to niezwykle wygodny miejski rower z szerokim siodełkiem, na którym siedział się prawie jak na kanapie w salonie. Nie rozwijał na nim nigdy nadmiernej prędkości i najchętniej jechałby cały czas stępą, ale ponieważ było to trudne dla utrzymania równowagi, zwykle przechodził w kłus. Prezentował się przy tym nadzwyczaj godnie, jak nie przymierzając, dziedzic objeżdżający swoje włości.

Jednak dzisiejszą przejażdżkę popsuł mu osobnik, który stanął na ścieżce rowerowej, blokując przejazd swoim pojazdem. Był to akurat moment, w którym chodnik dla zwykłych

ludzi nieco się oddalał i nie dało się łatwo ominąć zawalidrogę, spoglądającego w jakiś taki dziwny, ironicznie-dobrotliwo-pobłaźliwy sposób na arystokratę. Chcąc nie chcąc więc, Remigiusz Rossa-Rostafiński przystanął i zapytał:

— Stało się coś, dobry człowieku?

— Chciałem prosić pana hrabiego o chwilę rozmowy.

Arystokrata spojrział z odrobiną zdziwienia na zawalidrogę. Bardzo lubił tytułowanie go hrabią, ale poza własnymi dawnymi włościami nie był do tego przyzwyczajony. Na dodatek domyślił się od razu po tych słowach, z kim ma do czynienia.

— Pan detektyw Przypadek, jak mniemam?

— W rzeczy samej, panie hrabio.

— Czym mogę panu służyć?

— Chciałem zapytać pana hrabiego, czy ma coś wspólnego z ostatnimi wydarzeniami wśród rowerowych znajomych.

— Ależ skąd, jak mógłbym mieć coś wspólnego z tymi kłótniami i przepychankami — prychnął pogardliwie i z wyższością arystokrata. — Brzydzą się takimi rzeczami, uważam, że osoby należące do dobrego towarzystwa, jeśli nawet mają wzajemne anse, powinny prać brudy na zapleczu, a nie wynosić je na zewnątrz.

— Absolutnie zgadzam się z panem hrabią. — Przypadek skłonił się tak uniżenie, że Rossie-Rostafińskiemu przyszło na myśl, iż może z niego kpić. Po chwili jednak uznał, że widocznie jego arystokratyczna postawa musiała tak wpłynąć na pochodzącego niewątpliwie z plebsu Przypadka. Miewał już takie zdarzenia w swoim życiu, kiedy ludzie, wydawać by się mogło, równi mu statusem intelektualnym, gdy dowiadawali się o jego pochodzeniu, nagle zmieniali się niemal w parobków, ściskających swoje nie najgustowniejsze kapelusze przed panem dziedzicem.

— Sam więc pan widzi, że nie mogę i nie mam zamiaru mieć nic wspólnego z tymi karczemnymi awanturami, które urządzają moi koledzy. Gdyby tylko było to w mojej mocy, to najchętniej pogodziłbym ich jakoś i zakazał tychże kłótni. Nie jest to jednak możliwe. To już nie te czasy, gdy słowo osób takich jak ja znaczyło więcej niż wszystkie prawa. Żyjemy w okresie upadku autorytetów i hierarchii.

— Ma pan hrabia absolutną rację. Rzadko dziś można spotkać osoby szanujące autorytety. Ja takich właściwie nie spotykam.

— I ja w istocie raczej rzadko. Jeszcze tylko gdy czasem odwiedzę swoje stare włości, to tam ostały się ze dwie, trzy rodziny okazujące mi należyty szacunek.

— W dzisiejszych czasach to, można by rzec, sprawa na wagę złota.

— Nie inaczej, mój dobry człowieku. — Remigiusz Rossa-Rostafiński czuł, że coraz bardziej lubi niezwykłego detektywa i że będzie przy tym chyba pierwszą osobą wśród swych znajomych, o której można tak powiedzieć. — Dlatego staram się dla nich coś zrobić. Może nawet niedługo trafi mi się ku temu okazja.

— Jak widzę, pan hrabia dba o swoich poddanych. Ja zawsze uważałem, że nikt tak nie dbał o ludzi jak dziedzic o swoich parobków.

— To prawda. Dlatego może zdecyduję się specjalnie dla nich otworzyć jakieś Muzeum Cyklizmu... — Arystokrata urwał, bo zorientował się, że może trochę się zagalopował. — Choć chyba za wcześnie o tym mówić.

— Rozumiem, ale w pełni popieram i trzymam kciuki za spełnienie pana planów. A dzisiaj już pożegnaj się z panem hrabią, jeśli pan hrabia pozwoli.

— Oczywiście, dobry człowieku. Do zobaczenia.

— Z pewnością, do zobaczenia.

Remigiusz Rossa-Rostafiński spojrział za oddalającym się Jackiem. Dlaczego wszyscy mówili, że jest taki bezczelny i niegrzeczny? Jemu wydał się nadzwyczaj ujmujący, no i znający swoje miejsce na drabinie społecznej. Na pewno miło będzie go kiedyś jeszcze spotkać.

A teraz czas już pedałować do domu, starczy tej rytualnej przejażdżki. Jazda na koniu była niewątpliwie mniej męcząca.

Mateusz Brągiel oprócz potłuczeń i siniaków nie miał żadnych poważniejszych uszkodzeń i lekarz najchętniej nie przyjmowałby go na oddział szpitalny, ale szef Miasta na Dwóch Kótkach powołał się na swoje znajomości i zażądał bezwzględnej hospitalizacji na okres przynajmniej dwóch dni. Wiedział, że tyle absolutnie wystarczy, aby przygotować wielką konferencję prasową, dzięki której zdobędzie w mediach kilka dodatkowych punktów przewagi nad swoimi przeciwnikami. Korzystając z tego, że dostał pojedynczą salę, obdzwaniał więc po kolei wszystkie zaprzyjaźnione redakcje i czuł już nieuchronnie nadchodzący tryumf.

Miał zamiar wykonać kolejny telefon, kiedy drzwi się otworzyły i zobaczył ostatnią osobę, której by się tu spodziewał.

— Adela?! Co ty tu robisz?!

— Nic ci nie jest? — Makuszevska jak każda kochająca kobieta przystąpiła do oględzin stanu zdrowia ukochanego.

— Nie, trochę mi tylko siniaków nabili. Ale nie możemy teraz tak ryzykować przed finałem.

— Bałam się o ciebie.

— Niepotrzebnie. Ci faszyci nie potrafią dobrze bić.

— To nie żadni faszyci. To Hirek.

— Co?! Nie odważyłby się.

— Krzysiek mi powiedział, że Hirek chce kogoś wynająć, żeby ci porachował kości. Nawet miał mu zlecić szukanie kogoś takiego, ale Krzysiek się wycofał. Sam wiesz, że to tchórz straszny. Ale pewnie Hirek sobie poradził.

— No tak, zadzwonił do dawnych znajomych z poprawczaka. Że też od razu nie pomyślałem, że to właśnie on. Ale że się odważył tak ryzykować? No nic, to przyda mi się jeszcze bardziej. Już samo świeże pobicie przez faszystów dałoby mi przewagę w walce o ten grant, a jak jeszcze to będzie wina Hirka, to mam drania! Dzięki, Adelko, a teraz spadaj, bo nikt cię tu nie może widzieć.

— Przecież sporo osób wie o nas. Sama się dziwię, że Krzysiek się jeszcze nie domyślił.

— Bo cię głupek kocha — wypalił Brągiel, ale zaraz się poprawił. — To znaczy ja też cię kocham, ale jakbyś mi wywinęła z kimś taki numer, to bym zauważył. No, idź już. — Machnęła ręką na kochankę i zaczęła trzeć policzek, zastanawiając się, jak dobrze wykorzystać całą sytuację. Dlatego też nie od razu zauważył, że nie jest jeszcze sam w pokoju. — No czemu tak stoisz?

— Bo nie wiem, co wykombinował ten mój szef.

— Mówiłem ci, nim się nie przejmuj. To jest takie arystokratyczne gówno, które nic nie potrafi wykombinować. Najpierw jeszcze musiałby się dowiedzieć, co ja planowałem.

Adela wbiła wzrok w szpitalną podłogę i nic nie powiedziała. Nie musiała jednak, bo Brągiel w jednej chwili wszystkiego się domyślił.

— Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że mu wygadałaś?!

— Groził, że powie o nas Krzyškowi.

— I co z tego!? Już dawno chciałaś rzucić tego fajtlapę!

— Ale ty nic nie mówisz. Obiecałaś, że będziemy razem. Że mnie przyjmiesz do swojej fundacji na współnika. To ode mnie dowiedziałeś się o tym Wielkim Grancie. — Makuszevska spojrzała na Mateusza Brąglę w nadziei, że teraz doczeka się jednoznacznej deklaracji, a najlepiej słów: „Weź klucze z moich spodni i wprowadzaj się do mnie”. Zamiast tego usłyszała to co zwykle od kilku lat.

— No i... miałem zamiar to zrobić. Ale dopiero po tym Wielkim Grancie. On by mnie ustawił na parę lat. To znaczy nas by ustawił — poprawił się. — A teraz widzisz, wszystko wisi na włosku, bo się przestraszyła! Dobrze, że chociaż Remigiusz to matoł, na pewno nie wymyślił nic ważnego.

— Nie lekceważ go. On już jest na tym rynku ponad dziesięć lat i zdobył sporo dotacji i grantów.

— Pewnie na niektórych działa ten jego tytuł hrabiowski. No i miał zwykłe szczęście.

— Ja myślę, że miał coś więcej. On mi nie wszystko mówi, ale potrafi być bezwzględny.

— Remigiusz?! — Mateusz uśmiechnął się na poły kpiąco, na poły z niedowierzaniem. — Daj spokój, Adela, i nie zauracaj mi głowy. Muszę przygotować plan konferencji.

— Hirek ma też zamiar zwołać swoją.

— Tym lepiej, zgramy je i zgniotę go! Ale co on chce na swojej ogłosić?

— Podobno Przypadek jest już bliski rozwiązania sprawy. Brakuje mu jeszcze małego elementu. Tak mi mówił Krzysiek.

— Niedobrze, że on was sprowadził koło tego Przypadka. Powinnaś mu to wybić z głowy.

— Po prostu powiedział, że znalazł bardzo tanie mieszkanie do wynajęcia. Zanim się zorientowałam, byłam sąsiadką Przypadka. Zresztą może nam pomoże...

— Jak? — zaniepokoił się Brągiel.

— Zasugerowałam mu, że Rossa-Rostafiński chce jakoś załatwić Hirka, tylko nie wiem jak.

— Idiotko! Po co to zrobiłaś!? — wrzasnął wściekły szef Miasta na Dwóch Kótkach.

— Przestraszyłam się. Przecież mi groził. Poza tym bałam się, że zacnie najbardziej podejrzewać ciebie, dlatego pomyślałam...

— Nic nie pomyślałaś! Jakbyś pomyślała, tobyś tego nie zrobiła! Wynos się stąd! Nie chcę cię więcej widzieć!

Adela chciała się jeszcze powołać na łączące ich uczucie, ale uznała, że to nie jest najlepsza pora. Wysłała potulnie, a gdy tylko zniknęła za drzwiami, Brągiel odetchnął z ulgą i się uśmiechnął.

„W sumie dobrze się złożyło — pomyślał. — Czas już było zakończyć ten idiotyczny romans. A ten detektyw czy to arystokratyczne gówno nie dadzą rady mi przeszkodzić. Jestem za dobry w te klocki!”

Korytarz czwartego piętra kamienicy przy ulicy Koneckiej 40 spowijała jak zawsze ostatnio chmura gęstego dymu. Zygfryda i Teodora dopalały właśnie pierwszą paczkę tego dnia, więc

dało się jeszcze rozróżnić ich kontury.

— I jak myślisz, Zyzia, kto zabił?

— Dorka, nie tutaj, Jacuś prosił, żebyśmy o sprawie mówiły tylko w domu.

— Ale to przecież jest zagadka detektywistyczna. A jak tu się skupić bez fajeczki?

— Kawkę sobie zrobimy, pogadamy i rozwiążemy zagadeczkę — zaproponowała Zygryda.

— Trzy już dzisiaj wypiliśmy.

— W domu pijemy sześć.

— Ale tam z papieroskiem. A tu nie ma jak. Może powinniśmy jakiś stolik i krzesółka wynieść na korytarz? — zastanawiała się Teodora.

— Będzie się burzył ten spod trzynastki.

— Przecież Minka nam mówiła, że pod trzynastką to nikt za długo nie mieszka. Pechowe mieszkanie. To jak myślisz, kto zabił?

— No przecież wszyscy żyją. To dopiero chcą kogoś zabić — wyjaśniła siostrze Zygryda. — I to nie wiadomo, czy na pewno.

— Ano tak. Ale myślałam, że jak detektyw zagadki rozwiązuje, to trup musi być obowiązkowo. Jakaś rozrywka byłaby przy tym większa.

— No to może jeszcze kogoś zabiją?

— Miejmy nadzieję — ucieszyła się Teodora.

— Ale na razie to nie wiadomo, kto chce zabić.

— Jacuś mówi, że oni to by się tam wszyscy najchętniej pozabijali, żeby tylko dotacje czy tego grantu dostać.

— No to może faktycznie ten Bągiel postanowił zabić tego Hirka? Odpadłby mu konkurent do grantu. Wynajął tego pajaca z telewizji, co to ledwo kojarzy rzeczywistość, żeby go stuknął? Tego Bolka i tak nikt poza Jacusiem nie potrafi namierzyć — stwierdziła Zygryda.

— Nie da się wykluczyć, Zyzia. Ale to jednak, pomyśl, duże ryzyko jest. Morderstwo to poważna sprawa. Teraz to jeszcze spowodował zwykły wypadek, więc policja może go tak umiarkowanie szukać. Ale przy morderstwie to jednak by pana Bolka mogli lepiej namierzyć.

— No, ale Hirek na niego wściekły, pewnie dlatego jednak wynajął tych ludzi, żeby Bąglowi kości policzyli. Bo ten Hirek to podobnie od dziecka miał problemy z prawem i nawet w poprawczaku siedział.

— Niby tak, Zyzia, ale pomyśl, to jeszcze większe ryzyko jest, bo wszyscy wiedzą, że Hirek oskarża Bągla o wypadek, to od razu pierwszą myślą jest, że to on zamówił tę bandę.

— Pierwszą niby tak. Ale to może jest właśnie zbyt oczywiste? Dlatego zaryzykował.

— A ja to myślę, że to jednak ten arystokrata jest — powiedziała Teodora. — Takim hrabiom to nie można za grosz ufać. Pamiętam, jak mnie taki jeden zbałamucił, obiecywał, że hrabiną będę albo i księżną i co z tego miałam? Okazało się, że to zubożały aptekarz spod Kamieńca.

— Dorka, odchodzisz od sprawy.

— Nie odchodzę. Ten hrabia to dla mnie po prostu cwaniak. Moim zdaniem to mogło być tak: dowiaduje się, że Bągiel chce sprzątnąć sprzed nosa grantu Hirkowi. Znajduje Szołtysika, który ma dziurawą pamięć, i wmawia mu, że nazywa się Bągiel. Nie przerywaj mi, Zyzia, on może wcale nie jest hrabią tak jak ten mój. To i takiemu Szołtysikowi mógł umówić, że jest Bągłem. Wynajął go, żeby przejechał Hirka, a potem zrzuciłby winę na

Brażla, bo nawet sam Szofłtysik byłby przekonany, że go stary kumpel Brażiel wynajął. Wszystko kontroluje przez tę Makuszewską, bo wie, że ona z tym Brażlem się na boku puszcza. — Ostatnie zdanie wypowiedziała pół tonu ciszej.

— Ale swoją drogą, że się ten Makuszewski nie zorientował, że mu się żona puszcza. Jacuś mówił, że to tajemnica poliszynela.

— Bo za mało kawy pije i papierosków nie pali. Cały czas tę swoją zieleninę wsuwa, a to na mózg słabo robi.

— No my też już nic nie wymyślimy bez następnej kawki i papieroska. Chodź, idziemy pstryknąć telewizorek, Jacuś obiecał, że będzie rozwiązanie zagadki na żywo.

Zanim jednak siostry zdążyły wejść do swojego mieszkania, otworzyły się drzwi pod trzynastką, z których wyszedł Makuszewski. Na ramieniu dźwigał rower i widząc, że nic nie widzi, skrzywił się okropnie. Potem rozkasłał się na chwilę, zanim powiedział zirytowany:

— No nie, ja naprawdę mam tego dość. Jak panie sobie chcą, to proszę się truć we własnym domu. Ja nawet w mieszkaniu z trudem oddycham przez ten smród z korytarza!

— Mówiliśmy przecież...

— Mnie to nie interesuje. Mogę się zająć podwyższeniem barierek na balkonie, żebyście panie na pewno nie wypadły. A nie mam zamiaru się truć!

— To po co pan tu jeszcze stoi? — zdziwiła się Teodora. — Jakby się pan faktycznie nie chciał truć, toby pan wziął w domu głęboki oddech i do parteru dałby pan radę.

— Ale panu to się pewnie dymek marzy, tylko się pan nie chce przyznać.

Makuszewski zacisnął zęby i zaczął schodzić z rowerem na ramieniu. Zatrzymał się jednak na półpiętrze i rzucił do sióstr:

— Nie dziwię się, że obie zostałyście starymi pannami!

— Co ty gadasz, chłopczyku? — obruszyła się Teodora. — Ja pochowałam trzech mężów.

— A ja czterech — dorzuciła Zygryfda.

— Też trzech — sprostowała Teodora. — Za czwartego nie zdążyłaś wyjść.

— Ale zdążyłam go pochować!

Ekipy telewizyjne i dziennikarze innych mediów mieli w tej chwili spory dylemat. Po dwóch stronach szpitalnego podwórka rozpoczynały się bowiem za chwilę dwie konkurencyjne konferencje prasowe. Jedną z nich zamierzał przeprowadzić Filip Hirek, wspierany przez swojego asystenta, Krzysztofa Makuszewskiego. Drugą zapowiedział w oświadczeniu wystanym do redakcji Mateusz Brażiel. Niektórzy myśleli nawet, że chce się, jak uprzednio, przyłączyć na krzywy ryj do konferencji swojego rowerowego przyjaciela. Ale widząc, że sam jest poturbowany o wiele bardziej niż Hirek, pozbywali się złudzeń i czuli, że za chwilę dojdzie do frontального starcia. Nie wiedzieli tylko, kto ma lepiej naładowane działa i kogo bardziej się opłaca w tej chwili nagrywać.

W komfortowej sytuacji była jedynie ekipa Ekstra TV dowodzona przez Bartosza Fikę, posiadająca dwie kamery. On sam jednak też musiał się zdecydować, czy stać bliżej Hirka, czy Brażla. Patrzył to w jedną, to w drugą stronę spodziewanego ostrzału artyleryjskiego, obserwując ostatnie przygotowania do bitwy.

— Podejdz do Hirka. — Usłyszał nagle zza pleców znajomy głos. Odwrócił się i zobaczył Przepadka. — Dobrze ci radzę, po starej znajomości. Tam będzie najciekawiej.

— Masz zamiar rozwiązać zagadkę? — upewnił się Fikfa.

— Tak jakby.

— A ci faceci zaraz kogoś aresztują? — zapytał dziennikarz, który przed chwilą dostrzegł Łosia i Smańkę stojących w pewnej odległości pod drzewem.

— Nie, pan podkomisarz wpadł tylko z kolegą sprawdzić, jakie będzie rozwiązanie zagadki — zapewnił go detektyw.

— Mogli zobaczyć to w telewizji.

— Nie żartuj, Bartek. Przecież od chwili kiedy mnie zobaczyłeś, przez twoją głowę przelatują myśli o tym, czy na pewno ludzie od transmisji będą wiedzieli, kiedy mnie wyłączyć, jak zacznę mówić niebezpiecznie prawdziwe rzeczy. I już planujesz, że po południu usiądziesz sobie i zmontujesz tę konferencję do wieczornych informacji tak, żebym ja wyszedł na złoczyńcę, a oni dwaj na niewinne ofiary potwornego detektywa.

— A skąd ty to... — Fifka wprawdzie wiedział, że Przypadek jest nadzwyczaj bystrym gościem, ale przecież, do cholery, nie mógł siedzieć w jego głowie i czytać w myślach.

— Bo ludzie są banalnie przewidywalni. A dziennikarze jeszcze banalniej.

Fifka chciał udzielić jakiejś ciętej i złośliwej riposty, ale takie mają to do siebie, że muszą być wypowiedziane w ułamku sekundy. Ponieważ dziennikarz nie był w stanie znaleźć jej przez kolejne dziesięć sekund, wrzucił w końcu tylko ramionami i odwrócił się pogardliwie od detektywa. Jednak zgodnie z jego radą przysunął się w stronę Filipa Hirka.

Pierwszą salwę oddał Mateusz Brągiel, którego ekipa szybciej poradziła sobie z podłączeniem mikrofonów.

— Kochani, cieszę się, że widzę was tu tak licznie. Będziecie świadkami upadku największego hochsztaplera wśród masy ludzi przyzwoitych, uczciwych i zaangażowanych w walkę o naszą planetę...

— Dokładnie tak — zawtórował mu Hirek, którego ekipa też poradziła sobie w końcu z mikrofonami. — Ten największy hochsztapler stoi tam po drugiej stronie podwórka. — Wskazał na Brągla.

— I kto to mówi?! Ten, który sam sobie wrzucił cegłę przez okno, żeby sfingować zamach na siebie. A teraz jako dowód, że chciałem go przejechać, przedstawia swoje sny. — Brągiel roześmiał się ponuro. — A popatrzcie, kochani, na mnie. Zostałem pobity przez wynajętych zbirów, a na dowód mam obdukcję lekarską, a nie bajania jasnowidza. — Spojrzał wymownie w stronę Przypadka stojącego nieopodal Hirka.

— Ja nikogo nie wynajmowałem — obruszył się szef Cyklomaniaków. — Brzydzą się przemocą!

— Tak? A kto pobił radnego za nieprzyznanie dotacji?

— To była wyjątkowa sytuacja — zaperzył się Hirek i zaraz dodał: — To w ogóle nieprawda jest.

— Od małego taki jesteś, wszyscy wiedzą, że siedziałeś w poprawczaku za pobicie.

— Miałem trudne dzieciństwo.

— Akurat, każdy wie, że jak się kłóćisz, to od razu z pięściami wyskakujesz.

— To nieprawda! — wrzasnął Hirek i od razu skoczył w stronę Brągla. Być może nawet by go dopadł, gdyby nie to, że Makuszewski złapał go wpół i przytrzymał.

— Sami widzicie. — Brągiel rozłożył ręce. — To wariat i brutal.

— Panowie, przestańcie! — Okrzyk Remigiusza Rossy-Rostafińskiego, który pojawił się w połowie drogi pomiędzy obydwojma zwaśnionymi stronami, był świetnie słyszalny dla zgromadzonych, ale szef Jest Rowerowo! pojawił się tak niespodziewanie, że dźwiękowcy

szybko musieli popracować nad tym, żeby widzowie również mogli go słyszeć. Za arystokratą kroczyła Adela Makuszevska. — Nie możemy się tak publicznie obrzucać błotem.

— Ja mówię tylko prawdę, a pan Przypadek to potwierdzi! — zaperzył się Hirek, wskazując palcem na stojącego skromnie z boku detektywa. — Krzysiek mi wspominał, że zna już pan rozwiązanie, proszę mówić i potwierdzić, że on najpierw włamał się do moich snów, a potem chciał mnie naprawdę zabić.

Szef Cyklomaniaków przez swojego asystenta podał mikrofon detektywowi. Ten uśmiechnął się tajemniczo i z nutą satysfakcji spojrzął na zaciekawione twarze zgromadzonych, przeciągając nieco chwilę ciszy, nim w końcu zaczął.

— Wszystko się zaczęło we śnie pana Hirka...

— Słyszycie?! — ucieszył się Bągiel. — To taki sam wariat jak Hirek!

— Sen śnił mu się na tyle intensywnie i natrętnie, że w niego uwierzył — kontynuował Jacek, nie przejmując się wrzaskami Bągiela. — O śnie dowiedział się pan Bągiel. I zaczął dobrze kombinować. Każdy faceta bredzącego, że próbowała go zabić postać ze snów, uzna za wariata. Jak się do tego dołoży jeszcze przeszłość pana Hirka i wrzucenie sobie cegły do pokoju... Dlatego pan Bągiel postanowił zmaterializować sen pana Hirka. Nie mógł zrobić tego osobiście, to groziło dekonspiracją. Za to mógł skorzystać z pomocy Bolka Szołtysika. Pewnie większość z was z nim ostatnio rozmawiała albo przynajmniej słyszała od znajomych, że dzięki zastosowaniu leczniczych właściwości marihuany ma już kompletne dziury w mózgu, nic nie pamięta, niewiele kojarzy. Gdyby nawet ktoś go złapał, nie potrafiłby logicznie wytłumaczyć tego, że ktoś mu kazał wsiąść do samochodu i jechać za rowerem Hirka. A gdyby to nawet zrobił, powiedziałby zapewne, że to nie on prowadził, on tylko na to patrzył z boku, i nie dałby się przekonać nawet zdjęciom z monitoringu...

— To potwarz! Nie próbowałem zabić Hirka! — zdenerwował się Bągiel.

— No oczywiście, że nie — przytaknął Jacek. — Pan go chciał jedynie nastraszyć i to koniecznie kimś takim jak Szołtysik, którego każdy mógł skojarzyć z panem. Również Hirek, który w związku z tym zaczął opowiadać, że zgodnie z jego snem chciał go pan zabić. Pana celem było zrobienie z niego wariata, co zmniejszyło niemal do zera szanse fundacji Cyklomaniacy na uzyskanie kilkumilionowego grantu na utrwalanie dziedzictwa kulturowego cyklizmu. A pan chciał go uzyskać osobiście, co najwyżej dzieląc się nim trochę z panem Rossą-Rostafińskim. Tylko pech chciał, że pan Rossa-Rostafiński nie zamierzał się dzielić z panem. Dlatego doprowadził do pobicia pana w ten sposób, żeby myślał pan, że zrobił to Hirek. Przez kilka tygodni obydwaj obrzucalibyście się błotem w mediach, a komisja zajmująca się grantami wolałaby przyznać dotację komuś niezamieszanemu w sprawę.

— Oż ty draniu, to ja ci zaproponowałem deal, a ty tak mi odpłacasz?! — Mimo ograniczonej ruchliwości niektórych części ciała Bągiel chętnie doskoczyłby do Rossy-Rostafińskiego.

— Proszę nie udawać, że pan o tym nie wiedział. — Przypadek uśmiechnął się do arystokraty. A następnie dodał, nie odrywając wzroku od hrabiego: — Pan go jednak wyraźnie lekceważył, panie Bągiel. Dlatego nie podejrzewał pan go o to, że robi krzywdę panu, wynajmując ludzi do poturbowania go w celu rzucenia podejrzeń na Hirka.

— To potwarz! Ma pan szczęście, że już nie obowiązuje kodeks Boziewiczza, bo jutro stawałby pan przeciwko mnie na pistolety! — krzyczał Rossa-Rostafiński. — Nie ma pan żadnych dowodów. Ja się nie kontaktuję z półświatkiem!

— Za to pewnie czasem ma pan kontakt z kimś, dla kogo wciąż jest pan „panem hrabią”? Jak większość zubożałych arystokratów z nostalgią wspominających stare czasy. I tacy ludzie chętnie porachują kości wrogom pana hrabiego.

— Powtarzam, nie ma pan dowodów!

— O dowody jak zwykle zadba policja. — Przypadek przyjaźnie pomachał do podkomisarza Łosia. Dziennikarze odwrócili się na chwilę w tamtą stronę, ale to, kto zostanie aresztowany, interesowało ich teraz mniej, więc szybko z powrotem spojrzeli na Przypadka. — Mnie interesuje tylko wyjaśnienie, jak było naprawdę i kto jest winien całego tego zamieszania, które zgromadziło tu kwiat polskiego dziennikarstwa.

— To kto jest mu winien? — wyrwało się jednemu z żurnalistów.

— Pan Makuszewski.

Absolutnie wszystkie spojrzenia skierowały się w ułamku sekundy na nowego sąsiada Przypadka. I trudno stwierdzić, kto był bardziej zdziwiony podejrzaniem detektywa: sam oskarżony czy wszyscy na niego patrzący. Przecież Makuszewski to był nikt, człowiek pozbawiony ambicji, zwykły podnózek Hirka!

— Pan się myli — powiedział z kamienną twarzą sąsiad Przypadka.

— Chciałbym, bo pańska metoda bardzo przypomina moją, a i sąsiadem jest pan, z mojego punktu widzenia, wyjątkowo niekłopotliwym.

— Jaka metoda? — zirytował się Makuszewski. — O czym pan mówi?!

— O tym, że ludzie są banalnie przewidywalni. I pan to też wie. I zdaje sobie sprawę, że wszyscy szefowie tych szlacheckich fundacji poprzegryzaliby sobie gardła, żeby tylko wyrwać z nich należny grancik. — Jacek wiedział, że już w tej chwili prywatni nadawcy przerwali transmisję jego wystąpienia i nagrywali tylko na użytek późniejszego montażu. — Dlatego kiedy pana szef opowiedział swój powtarzający się sen o gonącym go samochodzie, pomyślał pan, że może właśnie nadeszła pana szansa. Wciąż wszyscy spychali pana na drugi plan, chociaż pan uważał, że powinien grać pierwsze skrzypce.

— I niby jak to wszystko zrobiłem? — usiłował ironizować Makuszewski.

— Dość prosto. Dowiedział się pan, że można tanio wynająć mieszkanie obok mnie, a szef wyznał panu wcześniej, że tylko ja mogę rozwiązać sprawę zabójcy ze snów. Dlatego wbrew oporowi żony został pan moim sąsiadem i czekał na okazję, by nas ze sobą poznać. Jeszcze wcześniej zaś powiedział pan swojej żonie o śnie swego szefa, bo wiedział pan, że doniesie ona o tym swojemu kochankowi, Brąglowi. — Oczy wszystkich dziennikarzy przeniosły się na moment na Makuszewską, która tylko przygryzła wargi i spuściła wzrok, a potem na szefa fundacji Miasto na Dwóch Kótkach, ale ten wykrzyknął:

— Stanowczo zaprzeczam!

Mimo że Brągiel był autentycznie oburzony podejrzeniami, kilku dziennikarzy parsknęło śmiechem. Szef Miasta na Dwóch Kótkach nie należał do przesadnie dyskretnych osób i znajomi żurnaliści znali doskonale listę jego kochanek.

— Skoro już nikt nie wątpi w związek tych dwojga, przejdę dalej — kontynuował Przypadek. — Dla pana Makuszewskiego było jasne, że Brągiel nie przepuści tej okazji. Pan Hirek znany był z licznych konfabulacji na temat zagrożenia jego życia w walce o szlachecką sprawę. Pan Makuszewski nie wiedział wprawdzie, co kochanek żony wymyśli, ale chciał mieć pewność, że ktoś to odkryje, i to w sposób efektowny, żeby sprawy nie dało się zamieść pod dywan. Dlatego postanowił się sprowadzić koło mnie, żebym to ja zrobił, podtrzymując wiarę swojego szefa, że tylko ja mogę rozwiązać zagadkę mordercy z jego snów. Wywołało to

wściekłość pani Makuszewskiej, która słusznie się obawiała, że namieszam w planach Brągła, i nie chciała zostać moją sąsiadką, a jej mąż bał się jej nawet przyznać, że w imieniu swego szefa mnie wynajmuje...

— Przecież sama do pana przysłałam i powiedziałam o swoich podejrzeniach! — oburzyła się Makuszevska.

— Tak. I dzięki temu zrozumiałem, że pani obawia się teraz bardziej kogoś innego niż mnie. Tym kimś był pani szef, pan Rossa-Rostafiński. Zorientowaliście się z Brągłem, że chce was wyrolować, pewnie podobnie jak wy jego. Dlatego opowiedziała mi pani, że szef wyznał jej, iż musi załatwić Hirka, aby dostać się do grantu.

— Jak mogłaś?! — Arystokrata spojrzał z oburzeniem na swoją asystentkę. — Tyle dla ciebie zrobiłem. Zwalniam cię!

— Jak sądzę, był to wyraz pewnej rozpaczy, bo zakładam, że pan Rossa-Rostafiński zagroził pani dekonspiracją romansu z Brągłem, nie wiedząc, że pani mąż i tak o nim wie. I postanowił się nie tylko wybić na niepodległość, ale też zemścić na żonie.

— I co? Oskarża mnie pan o przeprowadzkę koło siebie?! — roześmiał się ironicznie Makuszewski.

— Ja pana nie oskarżam o nic. Tak jak mówiłem, skorzystał pan tylko z tego, że ludzie są banalnie przewidywalni. Stworzył pan jedynie warunki do tego, żeby oni wszyscy rzucili się sobie do gardeł i robili różne świństwa i głupoty w walce o pieniądze, a ja miałem to ujawnić. Nic więcej pan nie musiał robić. Tylko obserwować i korygować. Gdy pan Brągiel został pobity, ale nie pomyślał w pierwszej chwili o tym, że stoi za tym Hirek, postanowił pan pewnie z pomocą żony jakoś mu to podpowiedzieć.

— No wiesz co?! — oburzył się Hirek. — Takiej podłości to się nie spodziewałem!

— Nic mi pan nie udowodni — rzucił Makuszewski do Przypadka.

— I nie muszę. Do więzienia pan za to i tak raczej nie pójdzie, za to nici z pana planu szybkiego założenia fundacji, kiedy ta nieświęta trójca się skompromituje, i sięgnięcia po ten Wielki Grant. Wszystkim on wam uciekł sprzed nosa i pewnie młode wilczki z innych szlachetnych fundacji i stowarzyszeń rozszarpią go na mniejsze kawałki.

ROZDZIAŁ II

Jak cię zabić, draniu?

Tomek Pańczak, zwany Posępnym Złomiarzem, podszedł do stołu, trzymając w dłoni, zrobioną własnoręcznie, maleńką szmacianą laleczkę, obdarzoną puklem blond włosów. Posadził ją na miniaturowy model roweru, wykonany również przez siebie, i zaczął jeździć nim po blacie. Wykonywał przy tym różne efektowne ewolucje, które w rzeczywistości groziłyby śmiercią lub kalectwem. Laleczka, prowadzona ręką Posępnego Złomiarza, dawała sobie z nimi świetnie radę, a on sam, krzywiąc usta w niby-uśmiechu, fałszem podkładał jej głos:

— Popatrzcie, jaki jestem wspaniały! Jak pięknie skacze! Nikt mi nie dorówna. Wygram każdy *alleycat*! Tutaj, tutaj, niech wszyscy na mnie patrzą!

W pomieszczeniu, starym mieszkalnym kontenerze, ustawionym obok skupu złomu, nie było nikogo poza Posępnym, ale laleczka zdawała się tym nie przejmować i mówiła fałszem:

— Dziękuję za oklaski. Super, że mnie podziwiacie. To ja, to ja, Sebastian Zachciał, najlepszy i najsprawniejszy kurier rowerowy w całej Warszawie. Nikt mi nie dorówna! No dobra, trochę mi idzie gorzej w *alleycatach*, ale to się na pewno zmieni i znów będę mistrzem! Będę mieć wszystkie dziewczyny! Żadna mi się nie oprze... Aua, co mnie tak zakłuło w boku?

Odpowiedź na jego pytanie była prosta, choć nikt jej mu nie udzielił. Posępny wbił szpileczkę w okolice brzucha laleczki. Zaraz potem kolejna szpilka znalazła się na karku, a trzecia w prawej nodze. Rower nie jechał już teraz tak pewnie, a Sebastian Zachciał chwiały się na nim coraz mocniej. Wtedy Posępny wyjął spod stołu duży model ciężarówka.

— Ojej, nie mogę już kierować. — Pańczak wciąż podkładał fałszem głos laleczki Zachciała. — Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie zahamuję, mam ostre koło. A co to za światła? To ciężarówka? Nie mogę wyhamować, a ona za szybko jedzie! Aaaaa! — krzyknęła laleczka i po chwili już wpadła pod koła samochodu. Ten się nawet nie zatrzymał, tylko przejechał przez całą laleczkę w tę i z powrotem. I tak dziesięć razy, aż laleczka zaczęła się prac w szwach, a w miniaturowym rowerze pogięło się wszystko, co możliwe.

Dopiero wtedy ciężarówka zaparkowała z boku stołu. Posępny Złomiarz oddychał ciężko i przypatrywał się katastrofie, którą sam wyprodukował. Widok zmaltretowanej laleczki podobał mu się przez chwilę i nawet się do niej uśmiechnął. Potem znów jednak posmutniał.

— Żeby to było takie proste, tobym cię tak zabił, draniu. Albo bym się nauczył od Kaśki strzelać tą jej procą i walnąłbym cię kamieniem w łeb. Nie, chyba najlepiej byłoby cię otruć,

żebyś zdychał w męczarniach. Pawełek Owocki załatwiłby mi jakiś towar. I Sylwia by do mnie wróciła.

Ledwo Posępny wypowiedział imię dziewczyny, wpadł w refleksyjną zadumę. Przez jego głowę musiały się przewijać niemal wszystkie fragmenty wspólnych chwil z nią, bo na przemian to się uśmiechał, to smutniał. Kiedy już zakończył ten przegląd i podniósł się od stołu, usłyszał, jak ktoś dobija się do metalowych drzwi.

— Tomek, otwórz! Tomek, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Posępny Złomiarz podszedł do drzwi, lekko utykając na prawą nogę. Otworzył je. Zobaczył Franka Mazuraka, mistrza *alleycatów*, wyścigów popularnych wśród kurierów rowerowych, który podekscytowany wykrzykiwał:

— Zbieraj się, trzeba mu pomóc!

— Komu? — Posępny Złomiarz zagroził chcącemu wejść do środka Frankowi drogę.

— Sebkowi Zachciałowi.

— Ja mu mam pomagać? — Spojrzał zdziwiony na Franka. — Chyba ci szprychy pogięło.

— Tomek, ja wiem, że go nie cierpisz, ale to wyjątkowa sytuacja. Sebek dopiero co wpadł pod ciężarówkę, leży w ciężkim stanie w szpitalu. A ty masz tę samą grupę krwi...

— Jak to wpadł pod ciężarówkę? — zdumiał się Posępny Złomiarz i mimowolnie odsłonił wejście do kontenera, z czego skwapliwie skorzystał Franek Mazurak.

— No jechał na ostrym kole kawałek przede mną i nagle zaczął się rzucać, jakby coś go zakłuło, no i nie wyhamował... Stary, a co ty masz na swoim stole? — Mazurak z przerażeniem zaczął się przypatrywać laleczce poprzebijanej szpilkami.

— To nic. Takie tam głupoty...

— Głupoty? — Gość Posępnego wziął do ręki laleczkę. — Przecież to wygląda jak Sebek.

— Zdaje ci się.

— Nic mi się nie zdaje. Zabiłeś go!

— Zwariowałeś?! Przecież to tylko zwykła lalka...

Ale Mazurak nie słuchał już Pańczaka, tylko wybiegł z kontenera. Posępny spojrzał za nim wciąż zdziwiony i mamrotał pod nosem:

— Przecież on nie mógł w to naprawdę uwierzyć. To tylko zwykła lalka... To nie mogło nikomu zrobić krzywdy... — przekonywał sam siebie, jakby nie mógł uwierzyć w to, że jest bez winy. — O Jezu, jak Sylwia się o tym dowie, to mnie zabije...

Jacek ze smutkiem rozglądał się po mieszkaniu, w którym wizyta tyle razy sprawiała mu radość. Głównie ze względu na osobę gospodyni rozpieszczającej go pysznymi słodkościami, które spalał w trakcie wielogodzinnych treningów każdego dnia. Teraz już nie mógł liczyć na te delikcje. Dwie nowe lokatorki tego miejsca odżywiały się dość surowo i nie przykładały wagi do przyrządzanych potraw, stawiając na ich prostotę. A jako że pochodziły z Wielkopolski, słodkości były nader rzadkim widokiem na ich stołach.

Dlatego niechętnie wpadał teraz pod czternastkę i robił to głównie dlatego, że był zobligowany do opieki nad Zygfyrdą i Teodorą. Nigdzie indziej jednak nie wyobrażał sobie, że będzie mógł wytłumaczyć obu paniom meandry swojej pracy. Tylko w tym mieszkaniu obie szanowały zakaz palenia, a ponieważ nie potrafiły wytrzymać bez swojego dymka nawet pół godziny, Jacek miał nadzieję, że nie będzie musiał zbyt długo im wszystkiego tłumaczyć.

— No i kogo w końcu aresztował ten łoś? — zapytała Zygfylda.

— Na razie nikogo.

— No to co to za kryminał, co to ani trupów, ani do więzienia nikt nie trafił? — Skrzywiła się zdeglustowana lekko Teodora.

— Do więzienia ma oczywiście szansę trafić pan hrabia. Ale zanim przesłuchają tych jego pomocników, minie trochę czasu, sprawa przycichnie i nie wiadomo, co z tym dalej. Ten Brągiel też mógłby odpowiedzieć za podżeganie Sołtysika do potrącenia Hirka, ale podejrzewam, że policja nie będzie się spieszyć z namierzaniem Bolka.

— Popatrz, Zyzia, ustrój się zmieniał, a jak swoich chronili, tak nadal ich chronią. — Teodora pokiwała głową. — Pamiętasz tego sekretarza partii ze Śremu?

— Dorka, prosiłam cię — powiedziała Zygryda, a Jacek uśmiechnął się pod nosem. Wyraźnie czuł, że obie panie chętnie zdradziłyby mu swoją wielką tajemnicę z przeszłości i tylko ciągle się krygują, chcąc podsyć jego ciekawość. Nie wątpił zresztą, że kiedyś będzie musiał wysłuchać ich długich opowieści, ale teraz nie miał na to ochoty. Wiedział, że mógłby stąd nie wyjść do rana, a obie panie zamęczyłyby go historiami, wychodząc rotacyjnie na papieroska. — A ten Makuszewski to się pewnie rozwiedzie z żoną?

— Ona mu na to raczej nie pozwoli — stwierdził Jacek, wywołując zdumienie na twarzach obu starszych dam.

— No ja wiem, że on jest strasznym pantoflarzem, ale tu chyba przesadziłeś. Przecież w końcu się jej postawił i chciał wyrolować wszystkich, łącznie z tym jej kochankiem. I zdaje się, że z mieszkania wyprowadził się jeszcze tego samego dnia.

— Podejrzewam, że zrobił to wszystko, żeby jej zaimponować i udowodnić, że jest prawdziwym mężczyzną. A ona teraz nie ma wyjścia. Pan hrabia ją zwolnił, kochanek zapewne po aferze totalnie olał, to teraz musi tylko przekonać męża do tego, żeby razem rozwinęli tę fundację, którą on założył na potrzeby tego przekrętu. Na ten wielki grant na utrwalenie dziedzictwa kulturowego się już nie załapią, ale z umiejętnością pisania wniosków pana Makuszewskiego z głodu nie umrą. I kto wie, może będą żyli długo i szczęśliwie, walcząc o przyszłość naszej planety.

— Kto wie... — Teodora znów pokiwała głową. — Ale to chyba ten policjant był zadowolony z tego, że nie musiał nikogo od razu aresztować. Mówiłeś, że tego nie znosi.

— To prawda, ale on był raczej nieszczęśliwy przede wszystkim dlatego, że nie zwróciłem się do niego o pomoc.

— Nie chciałeś tego zrobić?

— Mam niejasne przeczucie, że wkrótce znów przypomni o sobie pan Klempuch.

— Twój największy wróg? — bardziej stwierdziła, niż zapytała Zygryda.

— Wiemy coś o nim. A właściwie o jego ojcu.

— Dorka, prosiłam cię.

Chęć opowieści dwóch pań była już tak wyraźna, iż Jacek obawiał się, że tym razem jej nie uniknie i utknie w tym mieszkaniu na kilka dni. Na szczęście ktoś zadzwonił do drzwi.

— A kogo tam niesie? — Teodora skrzywiła się niezadowolona.

— Pewnie ta twoja Malwina jest o nas zazdrosna i dlatego postanowiła tutaj zapukać — stwierdziła Zygryda i jeśli ktoś pomyślał, że w jej wypowiedzi był cień ironii, to grubo się mylił. — Pójdę jej otworzyć.

— Lepiej sam to zrobić. — Przypadek wstał i korzystając z tego, że był zdecydowanie szybszy w ruchach od obecnych gospodyń lokalu numer czternaście, znalazł się błyskawicznie przy drzwiach wyjściowych i je otworzył.

Na zewnątrz nie czekała jednak Malwina, lecz dwóch innych osobników. Jeden z nich, obdarzony orlim nosem i sporą łysiną, miał pseudonim Saganek i był jednym ze stałych współpracowników Jacka. Drugiego, stojącego obok bezdomnego zbieracza złomu, detektyw nie kojarzył. Przypadek czuł tylko, że tamten już na wstępie go nie polubił, o czym świadczyła minorowa mina.

— Sze fuńciu, pana nowa królowa powiedziała nam, że chwilowo urzęduje pan pod czternastką. — Saganek uśmiechnął się całym sobą. — A ja klienta przyprowadziłem. Tomek Pańczak, pseudo Posępny Złomiarz.

Podkomisarz Łoś zdawał sobie doskonale sprawę, że prawdopodobnie po raz kolejny bardzo zawiódł zaufanie swoich przełożonych. Dlatego rozmowa, na którą zaprosił go jego bezpośredni szef, inspektor Zasada, na pewno nie będzie należała do przyjemnych. Z drugiej jednak strony policjant miał świadomość, że w realizacji swojej misji jest absolutnie bezkonkurencyjny. Nie dlatego, żeby był w niej tak dobry, bo z tego również zdawał sobie sprawę, że po wielokroć nie udało mu się zapobiec aresztowaniu znanych i poważanych osób. Ważniejsze było tu to, że nikt inny nie kwapił się do wykonywania zadania, jakim był bezpośredni nadzór nad śledztwami prowadzonymi przez Przypadka.

Raz wprawdzie stracił już tę fuchę, ale wtedy na jego miejsce zgłosił się ktoś absolutnie wyjątkowy. Ktoś, kto nigdy więcej już z pewnością nie znajdzie swego następcy w policyjnych szeregach. I odtąd już nikt nie mógł zagrozić Łosiowi w tej pracy. Może poza nim samym, bo przecież nieraz miał ochotę rzucić w diabły tę fuchę. Od pewnego czasu jednak wielu jego kolegów zaczęło go podejrzewać o masochizm, który sprawiał, że z przyjemnością odbierał prztyczki w nos, raz po raz wymierzone mu przez detektywa. On sam tego w ten sposób nie postrzegał, uważając raczej, że ma ważną misję do wykonania. Misję, w której z pewnością jest niezastąpiony. Dlatego bez większych obaw przekroczył próg gabinetu przełożonego i stając na baczność, zameldował mu swoje przybycie.

— Spocznijcie, Łoś — powiedział Zasada i widząc, że podkomisarz wciąż stoi, zaraz dodał: — Miałem to na myśli w sensie dosłownym, bo czeka nas dłuższa pogawędka. Podsuńcie sobie krzeselko, bo nie chce mi się krzyczeć. — W gabinecie podinspektora bezpośrednio przed jego biurkiem nie stało żadne siedzisko, jak gdyby odwiedzający mieli po prostu być zmuszeni do stania na baczność i raportowania swojemu przełożonemu. Tak też zwykle robił Łoś, dlatego słowa Zasady zasiały w nim lekki niepokój. Oczywiście ten niepokój nie przeszkodził w błyskawicznym wypełnieniu polecenia inspektora. — Nie jesteście już trochę zmęczeni tym Przypadkiem?

— Fakt, praca nie należy do najlżejszych — odpowiedział dyplomatycznie Łoś i na ułamek sekundy w jego sercu zakwitła nadzieja, że przełożony myśli o jakiejś podwyżce czy może o awansie.

— To może czas już pomyśleć o emeryturze? — zapytał podinspektor, a podkomisarz z trudem ukrył przerażenie.

— Wciąż czuję się w pełni sił. Chciałbym służyć krajowi najdłużej, jak potrafię.

— Łoś, tylko bez takich oficjalnych formułek. Wiecie dobrze, o co mi chodzi. Znów kilku porządnym ludzi, którzy mają poparcie w odpowiednich mediach i wśród zasłużonych obywateli, zostało ośmieszonych przez tego Przypadka. Na dodatek wygląda na to, że trzeba im będzie postawić jakieś zarzuty. Tak dalej być nie może.

— Naprawdę staram się jak mogę.

— Ale widać, nie za wiele możecie — zauważył zgryźliwie Zasada. — Dlatego powstała pewna koncepcja zmiany...

— Ktoś mnie ma zastąpić? — zainteresował się Łoś.

— Nie. Rezygnujemy z obserwacji Przypadka.

Łoś mógł się naprawdę spodziewać wielu różnych rzeczy. Mógł przypuszczać, że do sprawy zostanie utworzony specjalny zespół składający się może nawet z dziesięciu policjantów. Nie wykluczał również, że szef delikatnie zasugeruje mu próbę wrobienia irytującego detektywa w jakieś przestępstwo. Ale to, że ktoś będzie chciał zrezygnować z obserwacji Przypadka, przysparzającego wciąż kłopotów osobom mającym znakomite koneksje i poważanie w organach ścigania, nie przyszłoby mu do głowy.

— Ale przecież... przecież... — Łoś nerwowo szukał argumentów. — To przecież sprawi, że on tym bardziej będzie mógł szkodzić.

— Otóż doszliśmy w pewnym wąskim gronie zaufanych osób do wniosku, że wy mu za bardzo pomagacie.

— Spełniam tylko swój obowiązek, aresztując przestępców. — Łoś uniósł się dosłownie i w przenośni.

— To się wam chwali. Natomiast my sądzimy, że nie do końca świadomie naprowadzacie go na pewne tropy i za bardzo ułatwiacie sprawę. Dlatego teraz śledztwa, w które zaangażuje się pan detektyw, a które znajdują się w kręgu naszych zainteresowań, będą trafiały do różnych zespołów. Każdy z nich otrzyma absolutny zakaz kontaktowania się z detektywem i rozkaz podążania wyłącznie tropami, na które sam wpadnie.

— A ja? — zapytał niemal żałośnie Łoś.

— A wy albo przejście na emeryturę, albo będziecie prowadzić inne sprawy. W tym pierwszym przypadku mogę wam oferować jeszcze awans na komisarza. To co wy na to, Łoś?

Podkomisarz spojrział na przełożonego. Jego propozycja w sumie nie była zła i mógłby się na nią zgodzić. Częściej by jeździł na ryby i tylko dorabiał gdzieś na pół etatu. Żona byłaby zadowolona i pewnie wszyscy, których znał, byłiby z tego powodu szczęśliwi.

A jednak...

— Pan pozwoli, panie podinspektorze, że się chwilę zastanowię nad pana propozycją.

— To nie jest propozycja, podkomisarzu. To właściwie rozkaz.

— Rozumiem. Tylko nie wiem, co wybrać. Może jeszcze na chwilę niech zostanie, jak było, i zaraz zdecyduję?

— Tylko nie namyślajcie się zbyt długo.

— Tak jest! — odpowiedział Łoś, wyprężając się służbiście, i wyszedł.

Kiedy Zasada został w gabinecie sam, przez chwilę bębnił palcami w blat swego biurka, analizując rozmowę, którą przed chwilą odbył. A potem otworzył szufladę i wyjął jeden z dwóch telefonów komórkowych, których rzadko używał. Dlatego chwilę trwało, zanim go uruchomił. Potem jednak błyskawicznie wybrał numer. Jedyne zapisany w pamięci. Jedyne, na który dzwonił z tej komórki.

— No cześć... Tak, rozmawiałem z nim... Miałeś rację, nie odpuści Przypadka i będzie się mieszał... Okej, wydam polecenie, żeby się nim odpowiednio zajęli...

Na pewne słowa można czekać całą wieczność. Można na nie czekać bez względu na to, czy się wierzy, że kiedykolwiek zostaną wypowiedziane. Można na nie czekać wbrew zdrowemu rozsądkowi i wszystkim znakom na niebie i ziemi.

A najgorsze, że mogą nadejść w chwili, której się w ogóle nie spodziewamy. I choć pragniemy ich z całej siły, to stajemy zaskoczeni i nie mamy pojęcia, co zrobić. Chociaż komunikat, który im towarzyszy, jest absolutnie jasny:

— Kochanie, podasz coś panom do picia? — zapytał Jacek Malwinę z łobuzerskim uśmiechem, jakby doskonale wiedział, że zaskoczy tymi słowami swoją współlokatorkę. — Mam wrażenie, że są spragnieni — pokazał na Posępnego Złomiarza i Saganka.

— Święte słowa mistrza — ucieszył się bezdomny. — Ja nie mówię od razu jakies dobre, owocowe wino, ale zimne piwko by się przydało. — Oblizał spierzchnięte wargi.

— W naszym domu nie ma alkoholu — odpowiedziała chłodno Malwina, która wciąż nie wiedziała, czy ma spełnić prośbę Jacka, czy zażądać od niego wyjaśnień w sprawie zwrotu „kochanie”? — Zaraz podam sok i wodę.

— Sok w zasadzie też może być — kwęknął Saganek.

Przeszli do gabinetu Jacka. Kiedy usiedli, zapanowała chwila ciszy. Saganek czekał na sok, Posępny Złomiarz z zainteresowaniem obserwował unętrze, a Jacek w tym momencie bardziej niż sprawy był ciekaw miny Malwiny, kiedy przyniesie napoje dla jego klientów. Żarska chyba zdawała sobie z tego sprawę, bo zdążyła się już otrząsnąć z szoku i wniosła szklanki i picie z najbardziej obojętnym wyrazem twarzy, na jaki ją było stać. Ale kiedy usłyszała: „Dziękuję, kochanie”, nie była w stanie powstrzymać nerwowego tik.

— No mów, Posępny. — Saganek, zaspokoiwszy pragnienie, stuknął kolegę łokciem.

— Nie wiem, jak zacząć — mruknął Posępny. — Zresztą co tu gadać. I tak mnie nie będzie stać na takiego detektywa. W życiu nie zarobię na jego honorarium. Niepotrzebnie tu przyszedłem. — Chciał się podnieść, ale kolega go przytrzymał.

— Spokojnie, Posępny, szef z ciebie na pewno nie zedrze. To jest tak dziwaczna sprawa, że na pewno będzie chciał ją rozwiązać.

— Najpierw muszę się dowiedzieć, co to za sprawa — zastrzegł Jacek. — Ale widziałem, jak pan spojrział na mój rower. To była mieszanina pogardy i politowania.

— Bo my mówimy, że człowieka się poznaje po rowerze — oświadczył Pańczak.

— A jak człowiek nie ma roweru?

Posępny Złomiarz spojrział zdziwiony na detektywa, jakby przypuszczał, że tacy ludzie na pewno nie istnieją. Raczej myślał, że jeśli akurat poruszają się na piechotę, jeżdżą autobusem czy nie daj Boże, własnym autem, to gdzieś bez cienia wątpliwości mają schowane swoje dwa kółka, czekające na refleksję właściciela nad zanieczyszczeniem świata przez spaliny. I kiedy wyjadą swym jednośladem, wtedy będzie ich można ocenić. Dlatego powiedział:

— Każdy ma jakiś rower. Nawet pan, chociaż mówią, że pan wszędzie tylko biega.

— Chwilowo jeżdżę rowerem. Ale proszę mi powiedzieć, co to za „my”, którzy rozpoznają człowieka po dwóch kółkach?

— Kurierzy rowerowi.

— Ale pan już chyba nie jest kurierem.

— Mówi pan o mojej nodze? To mi nie przeszkadza. Kiedyś miałem przez trzy miesiące złamaną rękę i też jeździłem. Ale fakt, ostatnio nie zarabiam na kurierce.

— Dlaczego?

— Tak się złożyło. — Posępny Złomiarz wbił wzrok w podłogę.

— Rozumiem. Nieszczęśliwa miłość.

— Saganek, mówiłeś coś? — Posępny spojrział z wyrzutem na kumpla.

— No co ty, przecież widzisz, że szef jest jasnowidz. — Bezdomny pokazał na szklaną kulę nakrytą gustownym melonikiem w stylu Poirot.

— Jakby był jasnowidzem, toby się mnie o nic nie pytał, tylko wiedział — burknął Pańczak, ale spojrzął z obawą na szklaną kulę. — A ja już mam dość tej całej magii. To przez nią to wszystko.

— Nikt ci nie kazał tej kukielki nakłuwac — burknął Saganek.

— W porządku, rozumiem, że ktoś zginął i jest pan podejrzany przez swoich kolegów kurierów, że stało się to przez stosowane przez pana praktyki voodoo. Zakładam, że ten ktoś jest pośrednio lub bezpośrednio sprawcą pańskiego miłosnego zawodu. Z całą pewnością jednak nie podejrzewa pana o nic policja, bo ona nie zajmuje się praktykami magicznymi. W te wierzą tylko nowocześni i postępowi ludzie, stąd wnioskuje, że tacy są kurierzy rowerowi. No i pewnie może się pan trochę obawiać o swoje życie, bo znajdują się tacy, którzy chętnie by panu odpłacili bez pomocy magicznych praktyk. Co jest o tyle zabawne, że jeśli naprawdę wierzą, iż pan ich może używać, to powinni się od pana trzymać jak najdalej.

— Saganek, musiałeś coś powiedzieć. — Posępny Złomiarz spojrzął na kolegę, który tylko się pogardliwie uśmiechnął, wskazując na szklaną kulę. — No dobra, to ja już nic więcej nie mówię, skoro pan detektyw wie wszystko.

— Wiem tylko to, co dało się wywnioskować z pańskich słów. Ale chętnie posłuchałbym szczegółów.

— No a w kwestii zapłaty...

— Zna się pan na rowerach?

— No wie pan?! — Posępny Złomiarz nie dowierzał własnym uszom. — Ja z nimi potrafię zrobić wszystko. Ja u siebie na skupie złomu w dwa tygodnie potrafię panu złożyć taki rower, że tego swojego śmiecia pan może od razu wyrzucić.

— Stoi. Zrobi pan dla mnie najlepszy rower, jaki pan potrafi, a ja panu pomogę. Proszę mówić.

Zygryda i Teodora stały przed drzwiami mieszkania numer trzynastie, wpatrując się w nie intensywnie, jakby chciały prześwietlić je wzrokiem. Kończyły dzisiaj przy tym palić pierwszą paczkę papierosów i nogi je już trochę bolały od stania na korytarzu.

— Może zapukamy? — zaproponowała Teodora.

— A jak jest w środku? — wyraziła swą wątpliwość Zygfryda.

— To uciekniemy.

— Gdzie? Przecież po schodach zlecimy od razu na łeb. Domyśli się, że to my, i od razu zapuka do nas.

— Ale w sumie co w tym złego? Do sąsiadów już pukać nie można? — zdziwiła się Teodora.

— Można, można. Ale jak potem dym poczuje, od razu będzie wiedziała, że to my.

— I tak się domyśli. Te niepalące to takie wyczulone na zapach dymka jak nie wiem.

— Teraz jej i tak przez drzwi leci, to potem pomyśli, że to znów z korytarza było — wyjaśniła siostrze Zygfryda. — Pamiętasz, jak ten jej nudziarz cały czas marudził, że mu śmierdzi papierosami w domu?

— Nie, mówię ci, wyczuje, że jarałyśmy bezpośrednio u niej. Te niepalące tak mają, że czują takie rzeczy.

— Trudno, ryzykujemy. — Zygfryda wyciągnęła z kieszeni pęk drucików.

- A jak jest w środku? — W głosie Teodory nie było strachu, tylko rzeczowe zastrzeżenie.
- Powiemy, że pomyliłyśmy drzwi, a klucz przypadkowo pasował.
- Łyknij to?

— Nie marudź. — Zygryda za pomocą jednego z zakrzywionych drucików pracowała już nad zamkiem w drzwiach lokalu numer trzynaście. — No i jest! — Uśmiechnęła się tryumfalnie, powoli uchylając drzwi.

Zygryda i Teodora, po chwili nastuchiwania, weszły do środka. Z każdą sekundą z coraz większym zdziwieniem rozglądały się po wnętrzu i jego wyposażeniu. A raczej jego braku.

- To dlatego już jej parę dni nie widziałyśmy. — Teodora pokiwała głową.
- Szybko jej poszło. Ale Jacuś coś wspominał, że ona się nawet nie rozpakowała.
- No to mamy cały lokal dla siebie.

— Nie ma się z czego cieszyć, Dorka. Widzisz przecież, że tylko puste szafy zostały i żadnego fotela do usiadnięcia. Tak stać to my możemy na korytarzu.

— Minka ma jakieś dwa składane krzesła w kuchni za szafą, przytargamy je tutaj. No i najważniejsze, że tu się będziemy mogły spokojnie naradzić w sprawie śledztwa i nikt nas nie podsłucha.

- W sumie tak — przytaknęła Zygryda. — A na razie możemy przysiąc na parapecie.

Podjęcie tej decyzji przyszło im niezwykle łatwo, gorzej było nieco z wykonaniem. Parapet bowiem znajdował się o jakieś dwadzieścia centymetrów za wysoko jak na obecne możliwości starszych dam. W końcu jednak siostry usadowiły się na nim i wciąż lekko stękając z wysiłku, zaczęły rozkładać wstępne ustalenia najnowszego śledztwa na czynniki pierwsze.

— Czyli jak to się zaczęło? — zapytała Zygryda i zaraz sobie odpowiedziała: — Tego Posępnego Złomiarza nakrył ten jego kolega, mistrz tych dziwacznych rowerowych wyścigów, Mazurak, zdaje się.

— Zgadza się. Zobaczył ten samochód i szczątki roweru, i tę poprzekłowaną laleczkę i zaczął paplać, że Złomiarz przez nią spowodował wypadek tego Sebastiana Zachciała. No i wszyscy uwierzyli, że to przez tego Posępnego.

— Swoją drogą, co za idioci. Za naszych czasów nie do pomyslenia było, żeby ludzie w takie bzdury wierzyli.

— Inne czasy. No i Warszawa, tu zawsze jacyś dziwni magicy i okultyści ściągali. A teraz wierzą, że jak na rowerach będą jeździć, to się chłodniej zrobi. Chyba od przeciągów. A pamiętasz, jak byśmy małe, to w marcu na bosaka po trawie ganiałyśmy, takie ciepłe wiosny były — rozmarzyła się Teodora, ale Zygryda sprowadziła ją na ziemię:

— Pamiętam, pamiętam. Chociaż zimą mróz był fest, aż Hitlera wyrócił. Ale skup się, Dorka, śledztwo prowadzić musimy. Kogo tu mamy podejrzanego?

- Może to tylko wypadek? Nie można wykluczyć.

— Jak wypadek, to niedobrze, nie będzie jak udowodnić, że ten Posępny Złomiarz niewinny. Na razie założmy, że to jednak morderstwo. Ten Posępny ustalił, że tego dnia denat najpierw pokłócił się ze swoją dziewczyną...

- Tą, co odbił Posępnemu? Sylwia miała czy jakoś tak.

- Owszem — przytaknęła Zygryda. — Potem się posprzeczał z Pawłem Owockim...

- Konfliktowy gość z niego był.

— Ale tu znowu chodziło o dziewczynę, tę Sylwię. Chociaż może też o prochy. Ten Owocki to diler podobno był. Może Zachciał zalegał mu z kasą.

— No co ty, Zyzia, nie zabijałyby go. Straciłyby pieniądze.

— A może to było tak: Zachciał pokłócić się z dziewczyną i powiedział Owockiemu, że może mu ją odsprzedać w zamian za anulowanie długu. Owocki go wyśmiał, ale pomyślał, że mu da do łyknięcia coś takiego, że tamten wpadnie pod pierwszy lepszy samochód. I pozbędzie się rywala, i złapie dziewczynę.

— Ciekawe, ale ryzykowne. — Teodora pokręciła głową, zaciągając się świeżo zapalonym papierosem. — Jakby facet przeżył, toby dziewczyna mogła mu wybaczyć i wzruszyć się jego biednym losem połamańca. No i ten Owocki chyba nic nie miał do tej Sylwii.

— Masz rację. Tylko że taki tępy diler raczej nie myśli o subtelnościach. A jak ta Sylwia to taka *femme fatale*, to i może temu Owockiemu w głowie zawróciła. Trzeba o tej teorii powiedzieć Jacusiowi.

— Dobra, tylko dokończmy przegląd podejrzanych. Została jeszcze ta mistrzyni strzelania z procy...

— Kaśka Proca? Tak chyba ci kurierzy na nią wołają. Z nią się spotkał na końcu. I też się podobno kłócili. Była wściekła, że ją zostawił dla tej Sylwii.

— Ale co ona mogła zrobić?

— No co ty, Dorka. Zazdrosna kobieta może zrobić wszystko.

— Prędzej by strzeliła z tej swojej procy do tej Sylwii.

— Nie wiadomo. A może pacnęła go kamieniem tuż przed tym samochodem, pod który upadł? Nie mamy dostępu do wyników sekcji zwłok. Tu by się ten łoś przydał. Szkoda, że Jacuś chwilowo nie chce korzystać z jego pomocy.

— Fakt. Ale z tym kamieniem możesz mieć, Zyzia, rację. Trzeba będzie o tym powiedzieć Jacusiowi, jak wróci z przesłuchań, na które poszedł z Posępnym.

— Od kogo zaczynają?

— Zdaje się, że od tego Mazuraka. On chyba się najlepiej orientuje w tym, co się działo w ostatnim dniu Zachciała.

Franek Mazurak spojrział na swojego Pegaza z zadowoleniem. Gdyby jego rower był bohaterem kreskówki, to w tej scenie świeciłby odblaskami słońca, olśniewając wszystkich tak, że aż musieliby odwrócić wzrok. A on pomachałby skrzydełkami i odleciał jak błyskawica, tylko w przeciwnym kierunku, z ziemi do chmur. Może dlatego Mazurak na wszelki wypadek trzymał go mocno, bo pojazd był mu niezbędny do kolejnych zwycięstw w *alleycatach*. A zbliżał się jego ulubiony wyścig, który wygrał już trzy razy z rzędu.

— No, Pegaziku, dokopiemy tym gnojkom, którzy chcą z nami wygrać. — Pogłaskała czule rower po ramie i wtedy zobaczył małeńką plamkę, która ukryła się przed jego wszędobylską ściereczką. Natarł na nią od razu, żeby nic już nie burzyło mu tego pięknego obrazu. Potem się uśmiechnął, ale ten uśmiech zamarł mu na twarzy, gdy zobaczył w oddali dwóch rowerzystów zmierzających w jego stronę.

— Cześć, Tomeczku. — Mazurak wyciągnął rękę w kierunku Pańczaka. — Nie gniewasz się? Ja cię sorry, że takie głupoty wygadawałem o tej lalczce. Ale wiesz, widzę, jak Seba upada pod samochód, a potem od razu jadę do ciebie, a ty się jego lalczką zabawiasz. W szoku byłem. I naprawdę nie myślałem, że tak wszyscy to od razu łykną. — Mazurak zerknął na kumpla Posępnego. — A kogo ty przyprowadziłeś?

— To detektyw Przypadek.

— Dzień dobry. — Franek niemal odetchnął z ulgą, podając Jackowi dłoń na powitanie. — No to spokojniejszy jestem, że ci włos z głowy nie spadnie. I jeszcze raz wielkie sorry, naprawdę nie wiem, jak mogłem pomyśleć, że ty tą szpileczką go mogłeś zabić. Przecież to czysty idiotyzm. — Mazurak był zakłopotany swoją ignorancją. — To przez to, że ludzie takie głupoty cały czas powtarzają. Zresztą sam się tą laleczką bawiłeś, nie wiadomo po jaką cholere. — Chciał wyraźnie zagłuszyć swoje wyrzuty sumienia. — Nie gniewasz się?

— Nie — odparł Tomek Pańczak, ale po jego ponurej minie ciężko było poznać, co tak naprawdę myśli.

— Jakbym ci mógł pomóc, to bardzo chętnie, powiedz tylko słowo.

— Właśnie po to przyszedliśmy. Pan Przypadek chce ci zadać kilka pytań.

— Jasne, niech pan pyta. Ale że ci się tak sytuacja materialna poprawiła, że cię na takiego drogiego detektywa stać? Ktoś mi wspominał, że chcesz wynająć pana Przypadka, ale szczerze mówiąc, nie wierzyłem w to. Tyle rowerów ci z tego złomu teraz schodzi? Że też ludzie wyrzucają takie dobre części. No ja wiem, nie muszą być dobre, ty cuda z nich potrafisz robić. Może ja sobie też powinienem sprezentować u ciebie jakiś rowerek, co? Miałbym większe szanse na *alleycatach* — zażartował, ale na wszelki wypadek pogłaskał od razu swego Pegaza, żeby ten się nie obraził za niewinny żart.

— Przecież ty i tak wszystko zgarniasz — burknął Posępny.

— No zgarniam, ale zawsze przecież może mi się nie udać. — Mazurak spojrzał na detektywa. — Dlaczego pan mnie o nic nie pyta?

— Bo pan ciągle mówi...

— To taka moja wada, chlapię coś i chlapię bez przerwy — przyznał samokrytycznie Mazurak. — Nie, Tomek? Kiedyś na przykład, jak pojechałem ze znajomymi na wakacje...

— To może powie pan kiedy indziej. Teraz jestem ciekaw pana spotkania z Zachciałem tamtego dnia.

— Normalnie, byliśmy umówieni, że trochę pojeździmy na ostrym kole. Ale jak go spotkałem, to się akurat żarł z Kašką Procą. Nie wiem, czy wie pan, o kim mówię. — Pomimo że Przypadek kiwnął potakująco głową, niezrażony Mazurak ciągnął przedstawienie legendy światka kurierów: — No, ona jest naprawdę niesamowita. W pełnym spidzie, stając na pedałach, potrafi trafić kamieniem ze stu metrów. Jak ci rycerze w dawnych czasach, co to z konia potrafili samę w biegu ustrzelić z łuku. Żaden chłopak z nią nie zadzierał. Ja mówiłem Sebkowi, że musi na nią uważać, ale on się śmiał, że ona nigdy nie dałaby rady do niego strzelić...

— A co było z tą kłótnią? — zapytał Jacek.

— Z jaką kłótnią? Aha, tą. No żarli się, bo ona cały czas chciała, żeby do niej wrócił. Ale Sebek nie wyjaśnił dokładnie, o co się rozchodziło. Nie wiem tylko, czy nie groziła, że strzeli do Sylwii. Coś tak jakby takiego mówili. Ale nie wiem, Sebek był uściekły, bo miał chyba generalnie jakiś dzień kłótni. Najpierw z Sylwią... A właśnie, może się powinieneś do niej odezwać, Tomek? Ona za tobą tęskniła, Sebek mi mówił, że ta kłótnia to w zasadzie trochę o ciebie była. Mówię ci, powinieneś się do niej odezwać, zeszlibyście się z powrotem. Ja zresztą zawsze Sebkowi tłumaczyłem, że to nie było fajne... no wiesz, z Sylwią... Powinieneś... no wiesz...

— Daj mi spokój — burknął Posępny Złomiarz, ale Jacka ten temat zaintrygował.

— Czyli uważa pan, że pani Sylwia chciała się rozstać z Zachciałem i wrócić do mojego klienta?

— Oj, po co tak oficjalnie? Nie ma sensu tak na pan, przejdźmy na ty, może blancika przypalimy, mam fajny towar, rozjaśni głowę i coś mi się jeszcze przypomni? — Sięgnął do kieszeni.

— Wolałbym, żebyśmy pozostali na pan. — Jacek się uśmiechnął. — A z mojego doświadczenia wynika, że blanty słabo wpływają na pamięć ludzi, z którymi rozmawiam, więc chciałbym, żeby pan zaczekał.

— No dobrze, jak pan chce. — Mazurak spojrział na detektywa trochę jak na kosmitę, który hołduje jakimś dziwnym zasadom nie z tej ziemi. — To o czym my...a tak, już wiem. Tak mi się wydaje, że oni się poprztykali, bo ona chce być z tobą. Zajrzyj do niej, mówię ci.

— Zajrzę — obiecał Posępny i dodał niechętnie: — I tak muszę to zrobić.

— No to super. To chyba tyle, co mogę powiedzieć w tej sprawie.

— A o kłótni z niejakim Owockim?

— Pawełkiem? Żadna kłótnia, Sebek chciał mniej zapłacić za blanciki i uważał, że Owocki powinien mu spuścić z ceny jako stałemu klientowi.

— Słyszałem, że się mało nie pobili — zdziwił się Posępny.

— Wiesz, jaki Sebek był. Jak się ktoś z nim nie zgodził, to od razu wyrывał się z łapskami. Ale chyba sobie nawet nie dali po razie tego dnia.

— A jak się w ogóle zachowywał Zachciał tego dnia?

— No jak? Jak zwykle. Jakby go wkurw na cały świat łąpał. Ja wiem, że o zmarłych albo dobrze, albo wcale, ale to nawet Tomek może panu powiedzieć. Lubiłem gościa, ale Sebek tak miał, że jak go wszyscy dookoła nie podziwiali, to się źle czuł. Jak ze trzy razy przegrał ze mną w alleycacie, to myślałem, że mnie zabije samym wzrokiem. Raz to nawet sobie odpuściłem start, bo widziałem, że ma gorszy okres i jakbym z nim niechcący wygrał, to byłoby po mnie. Kurier roześmiał się gardłowo.

— Przyjaźniliście się?

— Wszyscy kurierzy rowerowi to jedna wielka rodzina — powiedział z dumą Mazurak. — Bez względu na firmę, miasto czy państwo, z którego pochodzą. Wszyscy się wspierają. Gdy komuś nawali na mieście rower czy zdarzy się wypadek, to zawsze może liczyć na pomoc kolegi...

— Ładna laurka, ale mnie chodziło o to, czy pan się przyjaźnił z Zachciałem.

— Przecież mówię, ja się przyjaźnię ze wszystkimi kurierami. Z nim też się przyjaźniłem, chociaż nerwus był jak mało który. Potem, jak ochłonąłem po tym wypadku, to nawet pomyślałem, że jemu osobista pompka musiała nawalić. Ale teraz to sam już nie wiem, on się tak dziwnie rzucał na tym rowerze, zanim wpadł pod tę ciężarówkę. Jakby go jakieś mrówki zaczęły gryźć. — Spojrzął dziwnie na Posępnego, ale zaraz odwrócił wzrok w drugą stronę.

Anna Sakowicz, *de domo* Sobania, przyglądając się od jakiegoś czasu swojemu brzuchowi, miała dziwne wrażenie, że wystarczy leciutko dotknąć go czubkiem szpileczki i zejdzie z niego całe powietrze. Albo że pęknie jak balonik, a ona będzie mieć z powrotem talię jak osa. Czasem nawet naciskała go delikatnie paznokciem, ale za każdym razem przekonywała się, że mimo pozorów jej skóra pozostaje twarda oraz sprężysta, a kolejny z rodu Sakowiczów jest absolutnie bezpieczny.

Dlatego depresja poporodowa trwała u niej niemal od pierwszego miesiąca ciąży. Teraz smętnie patrzyła na swój pępek i wydawało się, że nie zwraca uwagi na siedzącą obok

Malwinę, swoją niegdysiejszą przyjaciółkę z redakcji „Nowego Życia”

— Kiedy termin? — zapytała Żarska.

— Za dwa dni — stęknęła Ania. — Nie mówmy o tym. — Zakryła brzuch bluzką. — Pogadajmy o czymś przyjemnym.

— Mam ci opowiedzieć o swojej wyprawie?

— O tym sobie poczytam, jak wydasz książkę. Powiedz, jak jest z Przypadkiem. Tyle na niego czatowałam, aż wreszcie dopiętaś swego.

— Na nikogo nie czatowałam — zaprzeczyła Żarska, ale bez specjalnego przekonania, tak bardziej *pro forma*, bo przecież nie mogła się po prostu przyznać.

— Dobra, dobra. Kłamać to my, ale nie nam. Zawsze miałaś na niego ochotę. A teraz ci się wreszcie udało.

— Nic mi się nie udało — stwierdziła smutno Malwina.

Ania uśmiechnęła się w pierwszej chwili ironicznie, ale widząc minę koleżanki, zrozumiała szybko, że ta ani nie żartuje, ani nie wykręca się od odpowiedzi. Tylko że jeśli to była prawda, to nie mieściła się ona w głowie młodej pani Sakowicz. Choć wiedziała doskonale, jak skomplikowane relacje łączyły Przypadka z różnymi kobietami.

— To po co ty z nim mieszkasz?

— Po powrocie z tej wyprawy nie miałam gdzie się podziać. Zaproponował, że mogę się zatrzymać u niego.

Ania się zamyśliła i przez chwilę usiłowała sobie coś przypomnieć. Gdy jej się to wreszcie udało, powiedziała:

— Ale moment, z tego co pamiętam, w jego mieszkaniu jest tylko jedno łóżko.

— No i co z tego? — prychnęła Malwina.

Młoda pani Sakowicz otworzyła usta ze zdumienia. Powiedzmy, że dwoje młodych ludzi mieszkających w jednym mieszkaniu i niesypiających ze sobą dałoby się jeszcze zrozumieć. Ale śpiących przez całą noc obok siebie jak stare małżeństwo?!

— Nie no, stara, bez jaj. Jedno łóżko... i nic?! — wykrzyzczała zdenerwowana mecenasowa, a dziennikarka pokiwała smutno głową.

— A do tego ostatnio potraktował mnie przy nowym kliencie „kochaniem”

— Znaczy jak?

— „Kochanie, czy możesz nam podać picie?”, czy jakoś tak.

— A to drań! Co on kombinuje? On tak bez powodu by ci tego nie mówił.

— Wiem, ale nie mam siły się nad tym zastanawiać. Czy możemy porozmawiać o czymś weselszym? — zaproponowała Żarska.

— Obawiam się, że będziemy miały problem ze znalezieniem tematów. Dawniej byśmy poszły do knajpy i wypity parę kolejek. Ale teraz bez szans. Nawet ci lodów nie mogę zaproponować, bo od czasu, jak mam w sobie tego małego Sakowicza, to nie mogę patrzeć na słodkie. Żrę tylko wiecznie jakieś mięso. Boże, niech to się wreszcie skończy — powiedziała i od razu odniosła wrażenie, że Bóg, w którego niespecjalnie wierzyła, jej posłuchał. Silny skurcz jednak szybko ustąpił i Malwina zobaczyła tylko lekki grymas na twarzy przyjaciółki.

— Na twoim miejscu bym się tak nie spieszyła. Zobaczysz, jaka jazda będzie potem. Jak dacie mu na imię?

— Volcan.

— Co?! — Malwina była pewna, że źle usłyszała.

— Volcan — powtórzyła Ania.

— To jest takie imię?
— No jasne. U nas nie, ale za granicą znalazłam.
— Ale dlaczego chcesz mu dać na imię Volcan?
— Żeby od początku mógł się poczuć taki niezwykły. Żeby przepełniała go energia Matki Natury... — Grymas znów przeszedł przez twarz byłej dziennikarki, gdyż poczuła, że energia Matki Natury jakby dawała sygnał, iż chce się wydostać na zewnątrz.
— No okej... — Żarska uznała, że nie ma co odwodzić koleżanki od jej nieco szalonego pomysłu. — Ale co na to Błażej?
— Będzie to musiał zaakceptować.
— Nie powiedziałaś mu jeszcze? — upewniła się Malwina.
— Nie. On jest przekonany, że urodzi mu się Hubert. Tak miał na imię jego dziadek.
— Aha. A kiedy masz go zamiar poinformować?
— Zaraz po urodzeniu. Powiem pielęgniarkom, żeby wpisały takie imię.
— Myślisz, że nie będzie protestował?
— Jego matka nauczyła mnie, jak zarządzać Sakowiczami — oznajmiła z pewną miną Ania. Najwyraźniej jednak najmłodszy z rodu Sakowiczów miał na najbliższe godziny inne plany niż jego mama, gdyż była dziennikarka ledwie wypowiedziała te słowa, wyjątkowo mocno skrzywiła się z bólu.
— Co ci?
— Chyba się zaczęło. Mam skurcz.
— Raczej musi ich być więcej...
— Są cały czas... Volcan, poczekaj, mama nie jest jeszcze gotowa! Volcan, przestań!!! Volcan, bo mama przez ciebie wybuchnie!

Od czasu gdy rozstali się z Mazurakiem, Pańczak nie odezwał się ani jednym słowem. Milczał tylko pośępnie i wewnętrznie żałował, że dał się namówić Sagankowi na skorzystanie z usług słynnego detektywa. Przecież to niemożliwe udowodnić komuś, że to nie przez jego głupie zabawy zginął ten Zachciał. Kto w to uwierzy? Już do końca życia wszyscy go będą obwiniać za śmierć tego drania!

— On cały czas myśli, że to ja — odezwał się w końcu Pośępny.
— Tak przynajmniej wygląda. A proszę mi powiedzieć, panie Tomku, skąd pan wziął osobiste rzeczy do laleczki Zachciała?
— No co pan, pan też myśli, że to ja? Nienawidziłem typa, ale bym mu krzywdy nie zrobił. Ja nikomu nie zrobiłbym krzywdy. To znaczy tak w myślach, to owszem, zabijałem go wiele razy. Ale normalnie to nie moja bajka.
— Momencik, czy ja dobrze rozumiem, że pańska laleczka nie miała żadnych elementów należących do Zachciała?
— Absolutnie. Jego blond loczki zrobiłem z jakiejś żółtej przędzy.
— Czyli pan naprawdę nie wierzył w moc tego voodoo?
— Nie no, skąd, co pan? Tak się tylko bawiłem. Naprawdę, daję słowo. Musi mi pan uwierzyć.
— Panie Tomku, ja wiem, że pan jest dobrym człowiekiem, który by nikomu nie zrobił krzywdy. I właśnie dlatego stworzył pan tylko niegroźną laleczkę. Gdyby pan chciał, bez problemu dotarłby pan do jakiegoś osobistego drobiazgu Zachciała. Ale wtedy to pańskim

zdaniem mogłoby mu naprawdę czymś grozić, bo pan jednak trochę w te bzdury wierzy. Jak pan w ogóle wpadł na pomysł tej laleczki?

Posępny milczał przez chwilę, jakby się bał odpowiedzieć na to pytanie. W końcu jednak wyznał:

— To Sylwia mnie tego nauczyła. Ona wierzyła w takie rzeczy. No i ja ciutkę też — przyznał ze wstydem. — Ona była trochę czarownicą. To znaczy jak byliśmy razem, to się dopiero zaczynała tym interesować. Ale jak już zaczęła być z Sebkiem, to się chyba tym mocniej przejęła. Od razu zaczęła stosować taki bardziej mroczny makijaż. Jak ją widziałem, to mnie aż dreszcz przechodził. I nawet wieczorami chodziła w przyciemnianych okularach. — Pańczak odruchowo się wzdrygnął.

— Ale to nie dlatego boi się pan zapukać do jej drzwi, przed którymi stoimy już z pięć minut?

— Nie — odpowiedział Posępny i na dowód swej niezwykłej odwagi zastukał do drzwi swojej byłej dziewczyny.

I choć żaden z nich nie usłyszał, żeby ktoś w środku się poruszał i wyglądał przez wizjer, to po chwili z głębi mieszkania dobiegł ich głos:

— Tomek, nie chcę z tobą gadać. Zabieraj się razem z tym pajacem, co udaje jasnowiedza-detektywa.

— Mówiłem, czarownica — powiedział półgłosem Posępny.

— Nie — zaprzeczył Przypadek. — Nie jest czarownicą ani jasnowiedzem, tak jak i ja nim nie jestem. Umie tylko błyskawicznie kojarzyć fakty, a to zawsze tych, którym wychodzi to gorzej, prowadzi do wniosku, że logicznie rozumujący musi używać do pomocy sił nieczystych. Domyślała się, że pan do niej przyjdzie, bo sam pan słyszał od Mazuraka, że w środowisku wszyscy wiedzą, iż mnie pan wynajął, żeby udowodnić swoją niewinność. Nikogo innego się nie spodziewała, a może nawet zobaczyła nas przez okno i tyle.

— Słyszałam, że pan się lubi mądrzyć i uważa, że ludzie są banalnie przewidywalni. — W progę stanęła Sylwia Stopa i nawet Jacek musiał przyznać, że pojawiła się tam niczym zjawą, bezszelestnie i niespodziewanie. Przypadek zauważył od razu, że jej makijaż nie jest tak mroczny, jak to zapowiadał Posępny Złomiarz. — A ciebie nie rozumiem, po co się z nim w to bawisz, Tomeczku. Nikt cię nie oskarża, policja cię nie ściga, a ty tylko kasę niepotrzebnie wydajesz na detektywa.

— Ja... No bo... Wiesz... — Posępny płątał się jak ucniak z podstawówki, który właśnie musi po raz pierwszy w życiu zaprosić dziewczynę na randkę.

— Pan Tomek rozpoczął to śledztwo, żeby móc się z panią zobaczyć. — Choć teoretycznie wtrącenie się Przypadka można było potraktować jak przysługę, to wzrok Posępnego świadczył, że uznaje to za jej niedźwiedzią odmianę. — Tak sam na sam, oczywiście. No prawie sam na sam, bo w mojej asyście.

— To prawda, co o panu mówią, że jest pan okrutnie wkurzający. — Sylwia zerknęła na Jacka takim wzrokiem, że Posępny chciał go od razu zwolnić. — No dobra, jak pan chce pogadać, żeby uniewinnić Tomka, to zapraszam. Ale nie ciebie, Tomeczku, pan detektyw pewnie będzie pytał o prywatne rzeczy, a przy tobie bym się wstydziła powiedzieć. — Wciągnąwszy detektywa do środka za rękę, zamknęła byłemu chłopakowi drzwi przed nosem. — Zapraszam do pokoju, żeby Tomek nie podsłuchiwał. — Poszli w głąb mieszkania. — Proszę pytać — zachęciła Jacka, który oglądał różne magiczne i tajemnicze przedmioty walające się po całym pokoju.

— Podobno pokłóciła się pani z Zachciałem w dniu jego śmierci.

— No. I to dwa razy. Często się kłóciliśmy. Tak lubiliśmy. Obydwoje nas fascynowały intensywne, toksyczne związki. A Sebek ostatnio strasznie się złościł, bo chciał koniecznie wygrać parę najbliższych *alleycatów*. A nie był w formie. Zrobiłam dla niego nawet specjalne ziółka, ale mówił, że mu nie pomagają i musi wymyślić coś nowego, żeby zawsze wygrywać.

— I wymyślił?

— Twierdził, że tak. Ale nie będę już mogła tego sprawdzić — powiedziała z żalem.

— Czyli nie miała pani zamiaru z nim zrywać?

— No co pan? Tomek panu głupot naopowiadał. Albo jakiś inny idiota. Niejeden nie wierzy, że mogłam być z Sebkiem szczęśliwa, bo się ciągle kłóciliśmy. I Tomek przez to nie rozumie, że nie ma opcji, żebym do niego wróciła. Uważa, że Sebastian mnie odbił, ale to ja go odbiłam tej głupiej Kaśce Procy. Po prostu mi się podobał. Tomek jest za miękki. Chociaż mściwy jest. Dlatego wymyślił ten numer z laleczką. Ja już to dawno wiedziałam, w kartach mi wyszło. Mówiłam to nawet Sebkowi, żeby uważał na Tomka, bo pewnie będzie chciał zdożyć coś z jego rzeczy.

— Pani naprawdę wierzy, że w ten sposób można komuś coś zrobić?

— Ja w to nie wierzę, ja to wiem — stwierdziła stanowczo Sylwia. — Z takimi rzeczami trzeba ostrożnie. Ale idiota myślał pewnie, że to taka zabawa, i narobił tego wszystkiego. Niestety u nas prawo nie uznaje takich rzeczy. Idioci wierzą w gościa, którego zabil i zmartwychwstał, a w naukowo potwierdzone działanie laleczek voodoo już nie.

— Skoro pani w to tak wierzy, to czemu się pani na nim nie odegrała za śmierć chłopaka?

— A czy ja wyglądam na morderczynię? A on i tak za swoje ma, bo teraz wszyscy mądry ludzie wiedzą, że to jego wina. Dlatego nie chcę go widzieć na oczy, a jak mnie zdenerwuje, to rzeczywiście mu odpłacę za Sebka.

— Tak bardzo go pani kochała?

— Tak. Ja wiem, żarliśmy się, i to często. Jedni się kochają i sobie z dziubków pijają, a inni drą koty. Ale moim zdaniem kochają się bardziej i prawdziwiej. I ja tak właśnie kochałam Sebka.

— Jasne. Będę leciał.

— Tak szybko? — zapytała lekko rozczarowana.

— Jeśli pani naprawdę wierzy w winę byłego chłopaka, to raczej mi pani nie pomoże. Ani jemu.

— On niech się cieszy, że się na nim nie odegrałam.

Posępny Złomiarz czekał wciąż na detektywa pod drzwiami i widać było na jego twarzy ulgę, gdy się okazało, że Przypadek nie zabawił u jego byłej dziewczyny zbyt długo. Sylwia jednak nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem, tylko jak najszybciej zamknęła drzwi. Potem wróciła do pokoju i przez chwilę bawiła się kartami do tarota. A jeszcze później otworzyła szufladę i wyciągnęła z niej szmacianą laleczkę z jasnoblonde lokami, poprzektuwaną taką ilością szpilek, że właściwie na jej korpucie nie został nawet milimetr wolnego miejsca.

— Mówiłam ci, draniu, żebyś na mnie nie podnosił ręki. No i się dograłeś. — Wrzuciła laleczkę do szuflady i zasunęła ją.

Jak mówił wieszcz: „To, co nas podzieliło, to się już nie sklei”. Tego jeszcze całkiem niedawno byli pewni obaj panowie Sakowiczowie. Ich dwie oddzielne kancelarie, mimo wielopokoleniowej tradycji wspólnych kancelarii rodu Sakowiczów, miały już istnieć na

zawsze. Ba, miały nawet zapewne stanowić bezpośrednią konkurencję, bo zarówno pan Jędrzej, jak i Błażej chcieli brać te same sprawy, reprezentując wrogie sobie strony. To dałoby im możliwość ciągłego udowadniania, który z nich jest lepszym mecenasem, i pognębiania przeciwnika.

Niestety, nie przewidzieli tego, że zupełnie odmienną koncepcję ustalą ich małżonki, które uznały, że najlepiej będzie, gdy ojciec i syn znów połączą swe siły. Zarówno pan Jędrzej, jak i Błażej usiłowali protestować, ale u obu kobiet wzbudziło to jedynie uśmiechy lekkiego politowania. Dzięki bowiem wtajemniczeniu przekazywanemu z pokolenia na pokolenie wśród małżonek rodu Sakowiczów wiedziały, jak sprawić, żeby obie kancelarie znów się połączyły. Ale nawet one nie miały złudzeń, że to połączenie dokona się bez żadnych tarć i animozji. Te zresztą były wpisane w historię rodu i stanowiły jej nieodłączną część, pozostając swego rodzaju konfliktem pokoleń. Bo choć każdy kolejny Sakowicz był lustrzanym odbiciem poprzedniego, to nieodmiennie uważał się za kompletnie odmiennego.

Wiedząc o tym, pani Helena Sakowicz, żona i matka członków rodu, postanowiła osobiście nadzorować wynajmowanie nowego pomieszczenia, do którego miała trafić odtworzona kancelaria Sakowicz & Sakowicz. W tej chwili cała trójka oglądała już czwarty lokal, lecz tak jak przy okazji poprzednich pan Jędrzej powiedział:

— Zupełnie nie rozumiem, dlaczego miałbym się tu przeprowadzić. Pół wieku kancelaria jest w tym samym miejscu, a teraz ta idiotyczna przeprowadzka.

— Mamo, czy naprawdę musimy bywać tylko w zabytkach? — oburzył się z kolei Błażej. — Chcę nowoczesnego wnętrza w jakimś biurowcu.

— Biurowcu — parsknął pogardliwie pan Jędrzej. — W biurowcu to mogą być tylko korporacje i te anglosaskie molochy, co zatrudniają po stu prawników.

— No właśnie. W biurowcu łatwiej by nam się było rozwijać, zatrudniać następne osoby.

— Kancelaria Sakowicz & Sakowicz zawsze zatrudniała tylko dwóch mecenasów.

— A ja bym chciał zatrudnić dwudziestu dwóch. Trzeba iść z duchem czasu.

— Przez dwieście lat pozostawaliśmy wierni tradycji i dobrze na tym wychodziliśmy. Bierzemy wyłącznie najtrudniejsze sprawy, a nie stawiamy na masówkę. Jeśli jednak sprawy trudne i skomplikowane cię nie interesują, należałoby przemyśleć, czy na pewno powinniśmy połączyć swoje siły. — Pan Jędrzej spojrzął z wyższością na syna.

— Sprawy skomplikowane wygrywam błyskawicznie — oznajmił Błażej.

— I dlatego nigdy nie będziesz dobrym prawnikiem. Ja z niejednej sprawy żyłem przez wiele lat, budząc powszechne uznanie dla mojego kunsztu.

Pani Helena słuchała kłótni męża i syna jednym uchem, skupiając się na oglądaniu pomieszczenia i sprawdzając, czy jej zdaniem nadaje się ono na wspólną kancelarię. Było dla niej jasne, że choć umowę podpiszą obaj panowie, to i tak to ona zdecyduje o wyborze lokum. A rytualne spory swych najbliższych w rodzinnym gronie nie robiły na niej wrażenia i pozwalała się panu Jędrzejowi i Błażejowi w nich spełnić. Co innego, gdyby przysłuchiwał się tej rozmowie ktoś z zewnątrz. O, co to, to nie, wtedy uciniała te dyskusje najszybciej, jak się dało. Teraz jednak byli sami, gdyż agent nieruchomości pozostał dyskretnie za drzwiami na korytarzu.

— Ty słyszałaś, co on powiedział? — dobiegło w końcu jej uszu pytanie męża.

— Tak, tak — odpowiedziała niedbale, przyglądając się oknom, czy są szczelne i czy nie będą wymagały szybkiej wymiany.

— No i co ty na to?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odezwała się komórka Błażeja. Młody mecenas spojrzął od niechcenia na wyświetlacz, ale widząc, kto dzwoni, stanął niemal na baczność.

— Kochanie, nie mogę teraz rozmawiać, wybieramy właśnie siedzibę kancelarii... Co? To już?! — krzyknął przerażony. Wiedział wprawdzie, że spodziewa się dziecka, ale liczył jednak na to, że jak każdy kulturalny Sakowicz, urodzi się ono akurat wtedy, kiedy jego ojciec nie będzie zajęty. Szczególnie tak ważnymi sprawami.

— Ania rodzi?! — zapytała pani Helena niepotrzebnie, chciała mieć jednak stuprocentową pewność, zanim wszcznie procedurę porodową. Błażej, któremu chwilowo odjęto mowę, kiwnął tylko potakująco głową. Widząc to, jego matka przejęła telefon i krzyknęła po trosze do swego potomka, a po trosze do synowej: — Jedziemy!

— Dajcie spokój, po co ta panika? — obruszył się pan Jędrzej, który zawsze i pod każdym względem pozostawał stonowanym džentelmenem. — Żona Błażeja sobie poradzi, ona potrafi wszystko opanować i wszystkim zarządzić. — Wzdrygnął się na wspomnienie pierwszego spotkania synowej, podczas którego odniósł nieodparte wrażenie, że dziennikarka jest kopią Heleny.

— Bez dyskusji — ucięła pani Sakowicz. — Jędrzej, wynajmujesz to biuro...

— Ale jeszcze się nie rozejrzeliśmy — zaprotestował nieśmiało.

— Ja się rozejrzałam. Jest najlepsze ze wszystkich. Błażej, jedziemy natychmiast!

Syn posłusznie wybiegł za matką. Pan Jędrzej omiółł pomieszczenie krytycznym okiem. Z każdą chwilą jednak jego twarz robiła się coraz bardziej zadowolona i w końcu pokiwał z uznaniem głową. Gdy wychylił się przez okno, z radością ujrzał liście kasztanowca, który od dzieciństwa uważał za swoje ulubione drzewo.

— Żona mówiła, że panowie chcą wynająć. — Usłyszał za plecami głos agenta.

— Tak. Uznałem, że to najlepsze miejsce na kancelarię. Syn wprawdzie kręcił nosem, ale on się na tych sprawach nie zna. Poza tym nie mam zamiaru go słuchać! Nie można pozwolić ogonowi, żeby kręcił psem.

Mazurak, tak jak prawie wszyscy kurierzy rowerowi, nie uznawał ścieżek przeznaczonych dla cyklistów. Często były one wyłożone kostką brukową, którą ktoś z bliżej nieznanych przyczyn uznał za idealną nawierzchnię, nie rozumiejąc, jak bardzo taka seria mikronierówności przeszkadza w swobodnej jeździe. Poza tym, jeśli nawet znajdował się na nich asfalt, to byli tam również rowerzyści rekreacyjni, których mijanie spowalniało jadącego z przesyłką pościga.

Najważniejszym argumentem przeciw korzystaniu ze ścieżek pozostawał jednak fakt, iż były dość niebezpieczne na prawoskrętach. Brało się to stąd, że przeciętny kierowca pozbawiony jest wyobraźni i nie przypuszcza nawet, że jeśli on jedzie z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę, to solidny kurier może osiągnąć prędkość nawet o dziesięć kilometrów większą. I kiedy samochód skręca spokojnie w prawo, gdyż jego kierowca nie widzi w zasięgu wzroku zagrożenia, to owo zagrożenie wyskakuje zza najbliższych krzaków w niewyobraźalnym tempie. I postanawia bezwzględnie skorzystać z pierwszeństwa przejazdu, uraczywszy jeszcze przeszkadzające mu auto kopniakiem albo co najmniej klepieniem w maskę.

Dlatego ścieżki rowerowe były uważane za zabawkę dla mięczaków i choć wielu kurierów zaangażowało się w walkę o nie, to głównie po to, by niedzielni rowerzyści nie

przeszkadzali im na szosie. W ostateczności mogli uznać za właściwe pasy ruchu przeznaczone dla rowerzystów na zwykłych jezdniach, które, ich zdaniem, słusznie ograniczały szerokość dostępną dla samochodów. Mazurak sunął więc jednym z takich pasów, wioząc przesyłkę dla ulubionego klienta, kiedy nagle całkiem niespodziewanie poczuł, że coś trąciło w tylne koło. W pierwszej chwili pomyślał, że to może jakieś auto nie zdążyło wyhamować, i obrócił się, żeby obsobaczyć kierowcę. Ale zamiast auta ujrzał Owockiego, który tonem nieznośnym sprzeciwu rzucił:

— Zjeżdżaj.

— Pogięło cię? Mogłem się wywalić! — Mazurak nie miał zamiaru zwalniać. — I uszkodził swojego Pegaza! A pojutrze najważniejszy *alleycat* w sezonie.

— To nie trzeba było tak szybko jechać. Tu jest ograniczenie do czterdziestu.

— Powiedział ten, co się lubi czepić tramwaju.

— Franiu, nie dyskutuj, zjeżdżaj, musimy pogadać.

— Spiesz się, mam pilną przesyłkę.

— Ja też. Ale skoro się już spotkaliśmy, to musimy pogadać.

Mazurak niechętnie zjechał na chodnik przy najbliższym przejściu dla pieszych. Był potworny upał, a spieszył akurat do pana Lemoniادki. Tak kurierzy rowerowi nazywali jednego ze swoich ulubionych klientów, który w gorące dni czekał na nich z własnej roboty zimną lemoniadą.

— Czego chcesz? — mruknął, kiedy Owocki zatrzymał się obok.

— A co ty tak niechętnie gadasz z kolegą kurierem? A z obcymi to podobno kłapiesz jęzorem bzdury. Tylko nie rób takich oczu niewiniątka, wszyscy wiedzą, że coś wychłapałeś temu detektywowi, co pomaga Posępnemu.

— Posępny też kurier. Trzeba mu pomóc. Zwłaszcza że to przeze mnie ma kłopoty, bo niepotrzebnie chlapałem o tej jego lalczce. A poza tym nie gadaj głupot, że wszyscy wiedzą. Z tym detektywem widziałem się dzisiaj rano.

— I co mu powiedziałeś? — Owocki spojrzął ciężko na Mazuraka, aż ten ugiął się pod jego wzrokiem.

— No co ty, Pawełek? Wszystko tak, jak ci obiecałem. Powiedziałem, że się pokłóciliście o cenę za blanciki.

— Na pewno?

— Słowo daję. Przecież zależy mi na zniżce dla siebie.

— Chyba ci jednak daję za duży upust. Mógłbyś więcej brać.

— Stary, muszę być w formie. A tak z czystej ciekawości, co ty wtedy dałeś Sebkowi?

— Nie twój zasrany interes. Jasne?

— Jasne, jasne. Tak tylko pytam. Sam bym tego nie wziął, bo pewnie nawet bym nie był w stanie dojechać do pana Lemoniادki. Ale tak się dziwię, bo ty w zasadzie tylko blancikami handlowałeś i niczym więcej.

— I tak już zostanie... Co tak nosem pociągasz?

— Capi coś strasznie.

Mazurak i Owocki rozejrzeli się uważnie. Jakieś dwa metry od nich leżał, ciężko dysząc, mężczyzna o koziej bródce, ubrany cokolwiek ekscentrycznie. Na nogach miał spodnie typu bahama w kolorach, których niegdysiejszego istnienia można się było bardziej domyślić, niż je zobaczyć. Opierał się głową o siodelko przewróconego roweru, który był zapewne wart tyle co metal, z którego został zrobiony.

— Wszystko w porządku? — zapytał Owocki, trzymając się jednak w odpowiedniej odległości od śmierzącego bezdomnego.

— Ta... Ta... Ta... Tak — dokończył wreszcie zdanie Koziółek zawdzięczający swe przewisko nie tylko bródce, ale również niezbyt lotnemu umysłowi, który pozwalał rozwinąć jego pseudo w Koziółka Matołka. Chciał się nawet podnieść, ale unióśł się tylko lekko i znów wyrzucił.

— Pewnie pijany. Chyba jakiś bezdomny. — Mazurak wzruszył ramionami. — No dobra, lecę, żeby mi się lemoniada za bardzo nie zagrzała.

Jacek zawsze bardzo lubił osoby, które w czymś dążyły do perfekcji. I nieważne, co to było. Liczyła się pasja poparta regularnym oddawaniem się swojemu hobby, prowadząca do mistrzostwa. I w tej chwili Przypadek wiedział, że spotkał kogoś takiego.

Kaśka Proca stała obok kilkunastu szklanych mis, w których nagromadziła kamienie najróżniejszej wielkości, będące dla niej nabojami wszelakiego kalibru. Co chwila chwytiała jeden z nich, nakładała na miseczkę przeznaczoną na pocisk i wystrzeliwała do tarczy znajdującej się jakieś dwadzieścia metrów od niej. Rzadko kamień chybiał dziesiątki, lądując w najgorszym wypadku na dziewiątce. Zawsze wtedy Kaśka Proca chwytiała następny nabój jeszcze szybciej i ze złością puszczała go idealnie w środek tarczy.

— Naprawdę imponujące — powiedział z niekłamany podziwem Jacek. — Szkoda, że strzelanie z procy nie jest dyscypliną olimpijską.

— Mnie to zwisa. I tak bym nie wystartowała. Strzelam dla siebie.

— I tylko do tarczy? — zapytał z niewinną miną Jacek.

Kaśka Proca, która miała właśnie wystrzelić kolejny pocisk i naciągnęła już nawet swoją broń, zrezygnowała ze strzału i przyjrzała się uważniej detektywowi.

— Pytasz, czy nie walnęłam kamieniem Sebka?

— Byłam ciekaw, czy byłaby pani w stanie celować do ludzi.

— Jeśli sobie na to zasłużyli, to czemu nie, chętnie bym kogoś stuknęła.

— A on zasłużył?

— No pewnie, że tak. Miałam dla niego nawet taki specjalny kamyczek. — Pogrzebała w jednej z misek i wyjęła stamtąd sporych rozmiarów pocisk o odcieniu wyraźnie ciemniejszym niż jego koledzy. — I jakby ciągle mnie namawiał, żebym z nim była, tobym go w końcu użyła.

— Sebek chciał do ciebie wrócić?! — Posępny odezwał się pierwszy raz od czasu, gdy przy powitaniu z Kaśką Procą powiedział: „Cześć, to detektyw Przypadek”

— No pewnie, że chciał, bo z tą czarownicą Sylwią to nikt nie jest w stanie wytrzymać. Sorry, Tomciu, ale jakby cię nie rzuciła dla Sebka i byś z nią dłużej pobył, sam byś to zrozumiał. — Kaśka Proca odłożyła kamień przeznaczony dla swojego byłego mężczyzny i sięgnęła po następny. — Żarli się ostatnio bardzo.

— Podobno i pani pokłóciła się z nim w dniu śmierci?

— No przecież mówiłam, że chciał do mnie wrócić. Twierdził, że jakby miał do kogo odejść, toby od razu podziękował tej jędry. Ale ja nie miałam zamiaru znowu widzieć drania. Jak był taki głupi, że wolał tę czarownicę z bożej łaski ode mnie, to jego sprawa, droga wolna.

— Niektórzy twierdzą, że pani wciąż żałowała końca waszego związku i chciała go odnowić.

— Pewnie Sylwunia wam to powiedziała, tak? Ona jest dobra tylko w roznoszeniu plotek, chociaż samej się jej wydaje, że ma jakieś magiczne moce. A gówno prawda. Ja w żadną magię nie wierzę. Za to w to, że uwarzyła jakieś gówno, które dała Sebkowi, to już tak. Ta mała jest zdolna do wszystkiego.

— Po co by go miała zabijać?

— Bo jej powiedział, że chce od niej odejść. Mnie nawet się tego dnia przyznał, że całkiem z nią zerwał, ale w to nie uwierzyłam. Ona tych magicznych mocy wprawdzie nie posiada, ale trochę kobiecych sztuczek zna, żeby zatrzymać faceta. — Jacek miał wrażenie, że tym razem kamień wypuszczony z procy poszybował z większą mocą niż zwykle. — A ja się w takie gierki nie bawię. Jak chcesz ze mną być, to okej, a jak nie, to spadaj i nie zwracaj mi głowy. No powiedz, Tomciu, panu, jak było z Pawciem Owockim?

— Nabiłaś mu guza — oznajmił Posępny. — Ale już zapomniałem, że z nim byłaś.

— Bo to było dawno i nieprawda. Jedna z najgorszych pomyłek w moim życiu.

— A Owocki wyleczył się z pani?

— A co mnie to obchodzi? Wkurzał mnie gnój i tyle. Jak większość facetów. W zasadzie jak wszyscy faceci.

— Nie miała pani z nim ostatnio kontaktu?

— Może miałam, może nie. Jakie to ma znaczenie?

— Kobieta zawsze wyczuje, czy facet się z niej wyleczył, czy wciąż nie...

Kaśka Proca, która przed sekundą celowała w tarczę, teraz przesunęła swoją broń w kierunku Jacka. Robiła to bardzo powoli, ale zatrzymała się akurat naprzeciwko głowy Przypadka. Stała tak przez chwilę w milczeniu, patrząc w beczelne oczy detektywa i nie zwracając uwagi na lekko przerażony wzrok Posępnego Złomiarza.

— Nie podobasz mi się, gościu. Wściubiasz nos w nie swoje sprawy, grzebiez w cudzym życiu, żeby zarobić parę złotych, i jeszcze uważasz, że każdy powinien odpowiadać na twoje pytania.

— Kaśka, daj spokój, jak nie chcesz odpowiadać, to nie musisz. — Posępny Złomiarz starał się załagodzić sytuację.

— Wiem, Tomeczku. Dlatego wizyta skończona. A ty, gościu, wbij sobie to do tej swojej łepetyny, że żadni faceci mnie już nie interesują. Rozumiesz?

— Aż za dobrze.

Pani Felicja Przypadek zdecydowanie nie była pewna, czy to najlepszy pomysł korzystać z usług kancelarii byłego męża w rozstrzygnięciu sporu z wydawnictwem. Ale jednocześnie uważała, że coś jej się jeszcze od niego należy za te wszystkie lata, które spędziła przy jego boku, przymykając oko na różne wybryki i wyskoki. Ponadto miała umiarkowane zaufanie do prawników jako takich, za to była pewna, że Fryderyk stanie na głowie, aby wynegocjować dla niej najkorzystniejsze warunki. Jak to mawia jej syn? Ludzie są banalnie przewidywalni. A Fryderyk dość szczególnie.

Jej niepokój co do właściwości wyboru mecenasa wzmógł się chwilę potem, gdy przekroczyła prógi kancelarii męża. Przywitała ją wprawdzie niezwykle uprzejmie jego sekretarka, pani Lilka, ale gdzieś przy jednej z szaf zauważyła patrzącą na nią z ukosa Agnieszkę Storzzyk. Czyli nieślubną córkę Fryderyka, której postanowił ułatwić karierę w adwokaturze.

Dlatego odetchnęła z ulgą, gdy znalazła się w gabinecie adwokata.

— Bardzo się cieszę, że cię widzę. — Mecenas Przypadek pocałował jej dłoń i całym swoim ciałem, gestem i mimiką świadczył, że jest na jej usługę. Fryderyk jak zwykle zachowywał się szarmancko wobec kobiet, które chciał oczarować. Tak było przed ich ślubem. Tak było przez kilkadziesiąt lat ich małżeństwa. Przy czym wtedy czarował inne kobiety. Dopiero kiedy wystawiła mu walizki za drzwi, z powrotem stał się szarmancki dla niej. Chociaż nie, stało się to chwilę później, kiedy zrozumiał, że naprawdę chce się z nim rozwiść.

— Usiądź, proszę, i powiedz, w czym mogę ci pomóc.

— Spotkałam sympatycznego młodego pisarza, który poradził mi, że powinnam przejrzeć moją umowę z wydawnictwem pod kątem możliwości rozwiązania jej bez szkód dla mnie.

— Zalegają ci z płatnościami? Przecież twoja książka to niewiarygodny bestseller, powinni ci płacić, żebyś napisała następną.

— W zasadzie mam już gotową dużą część kontynuacji Detektywa w meloniku, ale oni nie chcą powiedzieć, kiedy ją wydadzą. Tę poprzednią też wydali przecież pod naciskiem naszego syna...

— To nie może ich wciąż naciskać?

— Chwilowo zerwałam z nim wszelkie kontakty — oświadczyła spokojnie, choć doskonale wiedziała, że temat ten bardzo zainteresuje Fryderyka. Dlatego dodała: — I nie chcę rozmawiać na temat powodów mojej decyzji.

— Nie musimy — stwierdził nie bez zadowolenia mecenas Przypadek. — Doskonale wiem, jak nasz syn potrafi być uciążliwy, denerwujący, nieodpowiedzialny i nieliczący się z uczuciami najbliższych. Zawsze cię o tym przekonywałem, a ty go nieustannie broniłaś. Teraz sama widzisz, że należało mu wcześniej przykręcić śrubę, może by wyszedł na ludzi...

Pani Felicja jeszcze niedawno czysto teoretycznie mogłaby się zgodzić z twierdzeniami swojego męża. Ba, być może mogłaby zrobić to nawet tuż przed wejściem do kancelarii byłego męża. Jednak gdy to właśnie Fryderyk wypowiadał takie opinie, automatycznie stawała po stronie Jacka. I to nie dlatego, że nie zdawała sobie sprawy z jego wad. Znała je doskonale. Lecz zarzuty formułowane przez byłego męża traktowała na zasadzie „przyganiał kocioł garnkowi”. Dlatego też oświadczyła:

— Jacek wobec mnie zachowywał się zawsze wspaniale. Zrobił wprawdzie pewną rzecz, której sobie nie życzyłam, jednak nie mam teraz wątpliwości, że uczynił to, bo bardzo mnie kocha. Zapewne wkrótce mu wybaczę, ale na razie nie chcę o nim rozmawiać i wolałabym, abyśmy zajęli się wreszcie sprawą, z którą do ciebie przyszłam.

— Ależ oczywiście, jak sobie życzysz. Ja zresztą nie mam o czym mówić, bo mój syn od czasu odejścia Marzeny nie utrzymuje ze mną żadnych kontaktów.

— Ja o nim też niewiele wiem. Powiedziała mi tylko pani Irmina, że się wprowadziła do niego ta dziennikarka, która poszukiwała Basi w Himalajach.

— Malwina?! — Fryderyk nieomal podskoczył na swoim fotelu.

— Znasz ją?

— Czytałem gdzieś w gazecie, że to ona właśnie szukała Basi — skłamał gładko, korzystając z wieloletniego doświadczenia, które zdobył zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym. — Coś jeszcze ci mówiła pani Irmina?

— Nie. Wyobraź sobie, że wypłynęła w niemal roczny rejs dookoła świata z tym antykwariuszem Gelbergiem. Trochę się jej dziwię, chociaż...

— Wróćmy do twojej sprawy — uciął pan Fryderyk, gdyż rejs pani Irminy pozostawał zupełnie poza jego zainteresowaniem. — To czego dokładnie ode mnie oczekujesz?

— Żebyś albo wymógł na nich formalną deklarację, że w ciągu kilku miesięcy wydadzą kontynuację mojej książki albo zrzekną się praw do niej i do kontynuacji i będą mogła bez przeszkód wydać ją gdzie indziej.

— Rozumiem. Masz tę umowę?

Pani Felicja sięgnęła do swojej torebki.

— Świetnie, zajmę się nią jak najszybciej i obiecuję, że najdalej w ciągu miesiąca sprawa powinna być załatwiona. Byłaby szybciej, ale teraz, rozumiesz, urlopy, mogą się trochę skutecznie migać, że nie ma u nich z kim akurat rozmawiać. Coś jeszcze?

— No... — Pani Przypadek się zawahała. Na początku wizyty miała wrażenie, że mąż robi sporo, aby przedłużyć ten czas, porozmawiać, może nawet zaprosi ją do którejś z pobliskich restauracji na obiad. A teraz zaczęło mu się bardzo spieszyć, jakby chciał się jej nagle pozbyć. Dziwne. Nigdy nie mogła go do końca zrozumieć. Nic, trzeba przejść do rzeczy. — Zależałoby mi na tym, żeby tej sprawy nie prowadziła twoja... nieślubna córka.

— Jak uważasz, choć powiem ci, że jest naprawdę znakomita. Na początku była odrobinę niesforna, ale udało mi się ją poskromić. Przeprowadziłaby sprawę błyskawicznie.

— To powiedzmy, że wolę poczekać z tydzień lub dwa dłużej i być spokojna, że zajmę się tym ktoś mi życzliwy.

— Jak sobie życzysz, Felicjo. Jeśli to już wszystko, to nie gniewaj się, ale mam obowiązki, którymi muszę się bezzwłocznie zająć.

Posępny Złomiarz był w tej chwili bardzo szczęśliwy, że nie jest sam na sam z Owockim. Nigdy za nim nie przepadał, zawsze napawał go on przerażeniem, a teraz wyglądał tak, jakby miał zaraz zamiar połamać rower Pańczaka na nim samym, a przy użyciu tego, co by z bicykla zostało, zamordować detektywa.

— Nie będę z wami gadał! — wysapał wściekły Owocki.

— Proponowałbym jednak rozważyć choć krótką rozmowę. — Przypadek miał na twarzy swój ulubiony dobronliwo-ironicznie-pobłażliwy wyraz.

— Bo co? Znasz jakieś tajemnicze sztuki walki?

— Znam. Wystarczy, że powiem, co masz w kieszeniach, a pewien podkomisarz, który podsłuchuje nas teraz, używając kierunkowego mikrofonu, nie mając wyjścia, będzie musiał je sprawdzić.

— Grozisz mi?! — Głos Ochockiego wciąż był wprawdzie nieustraszony, ale jego rozbiegany wzrok przeczesywał okolicę w poszukiwaniu podkomisarza. — Nie dam się zastraszyć. Sebek też próbował, ale za cienki był w uszach.

— Dałeś mu coś, tak? To przez to tak go dziwnie telepało przed śmiercią?! — Posępnemu wróciła odwaga. Co prawda nigdy nie zauważył śledzącego ich policjanta, ale był pewien, że detektyw nie rzucił słów na wiatr.

— Tak, i jeszcze precyzyjnie wyliczyłem, że go dopadnie, jak będzie po godzinie jechał na wprost ciężarówki — zakpił Owocki. — Jasne, że tak, dałem mu. Dostał ode mnie multiwitaminę na wzmocnienie. Szykował się do tego najważniejszego *alleycata*, ale nie był w formie i się bał, że go Franek Mazurak prześcignie na swoim Pegazie. — Kurier, sam nie wiedząc czemu, nachylił się w kierunku piersi detektywa i wypowiedział te słowa głośno, jakby do mikrofonu.

— Może pan mówić, gdzie chce, pan podkomisarz i tak usłyszysz. A wyliczać nic pan nie musiał, wystarczyło, że pan wiedział, iż najbliższą godzinę czy dwie Zachciał spędzi, jeżdżąc na ostrym kole, czyli bez hamulców.

Owocki chciał coś odpalić, ale pomyślał, że jeśli rzeczywiście podsłuchuje ich jakiś policjant, lepiej będzie się powstrzymać od gróźb karalnych.

— Żądam obecności adwokata!

— Przy rozmowie ze starym znajomym? — zdziwił się ironicznie Przypadek, a Pańczak i Owocki spojrzeli na siebie, jakby chcąc wyczytać w swoich oczach, czy nawzajem wierzą w to, że ktoś ich podsłuchuje. — To o co się pan pokłócił z Zachciałem?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. — Owocki zacisnął usta.

— To powiem tak: nie wierzę w tę wersję, którą słyszałem, a za którą poszedłby pan siedzieć. Ale jeśli pan chce, mogę ją tutaj przytoczyć.

— Nie! — krzyknął przerażony Owocki.

— Zatem poproszę taką wersję, za którą nie pójdzie pan do więzienia.

— Nawet jeśli nie będzie prawdziwa? — zapytał prowokacyjnie Owocki.

— Ludzie zwykle nie mówią mi prawdy. Znajduję ją sobie sam między słowami, w których chcieli ją ukryć. To jakie kłamstwo chce mi pan przekazać?

Wzrok Owockiego jeszcze raz niespokojnie zlustrował okolicę. Kurier musiał przyznać, że w promieniu stu metrów znalazło się kilka postaci, które wzbudzały jego niepokój. Gotów był nawet przysiąc, że jakiś facet wyglądający na bezdomnego kieruje w ich stronę kawałek metalu, który mógł być mikrofonem kierunkowym.

— No dobrze, powiem prawdę, a pan sobie w nią uwierzy bądź nie. Kazałem mu się odcepić od Kaśki Procy.

— Co ty gadasz?! Ty już dawno nic nie masz do Kaśki — zdziwił się Pańczak.

— Może mam, może nie mam, moja sprawa. — Owocki już nie rozglądał się po okolicy, tylko wbił wzrok w asfalt pod swoimi stopami. — W każdym razie wkurzało mnie, że jej zawraca gitarę po tym, jak ją rzucił. A ona strasznie chciała z nim być.

— Powiedziała to panu?

— Nie musiała. Wystarczyło, że posłuchałem ze dwa razy, jak o nim gadała. Była pewna, że zaraz rzuci Sylwią i z nią będzie. A mnie się przyznał, że on ją tylko tak dla jaj bajeruje, no bo może, to i bajeruje. A tak naprawdę to chce być z Sylwią, bo ją kocha i jest im razem dobrze. Normalnie wkurzał mnie gnój i tyle. Tego dnia to mu chciałem nawet sprawić łomot i gdyby nie Franek Mazurak, który się nagle obok wyświetlił, tobym to zrobił.

— I nic mu pan tego dnia nie sprzedał?

Owocki zerknął w stronę bezdomnego, którego wcześniej podejrzewał, że może być podkomisarzem w przebraniu, ale nikogo nie zobaczył. Za to gdzieś dalej dostrzegł postać w czerwonym dresie, która już wcześniej także rzuciła mu się w oczy. Facet się na nich ewidentnie gapił, ale nie trzymał niczego w ręce.

— Od dawna z nim nie handlowałem. Mówił, że tego nie potrzebuje, bo Sylwia robi świetne herbatki z ziółek i niczego mu więcej do życia nie potrzeba.

Żona podkomisarza Łosia zwykle stawiała go do pionu w krótkich, żołnierskich słowach. Uważała, że inaczej nie można i gdyby nie jej stanowczość, robiłby się nie do wytrzymania. Gdy jednak teraz patrzyła na męża, który przed chwilą wrócił z pracy, nie miała serca go obsztorcować.

— Zenek, co z tobą? — Już sam fakt, że użyła wobec małżonka imienia, a nie nazwiska, świadczył o jej najwyższej trosce.

— A bo się wszystkiego odechciewa, Gienia. — Podkomisarz ostatnio również rzadko używał imienia żony, co wzbudziło jej dodatkowy niepokój. — Dosyć mam tej roboty.

— No to zgódź się na propozycję inspektora Zasady. Będziesz miał komisarza, wyższą emeryturę i święty spokój.

— I ty myślisz, że ja to wszystko robię tylko dla awansu, wyższej emerytury i świętego spokoju? — Łoś tak niemrawo się obruszył, że autor nawet nie ma jak postawić na końcu jego wypowiedzi wykrzyknika.

— Co ty, Zenek, ja wiem, że nie dlatego. Ale jak już nie ma sił, to dobre i to. Odpoczniesz sobie, może pojedziemy na kilka wycieczek za granicę. I będziesz miał dużo czasu na czytanie tych swoich milicyjnych kryminałów. Ty wiesz, że ostatnio ukazało się kilka nowych?

— To nie to samo. Ci nowi nie szanują porządných milicjantów.

— Ale ja nie o nowych, tylko takich starych, co w gazetach leciały. Ktoś je pozbiierał i teraz wydaje.

— Są jeszcze porządni ludzie na tym świecie — ucieszył się policjant. — W sumie tak pewnie byłoby najlepiej, żebyś odszedł na emeryturę — zgodził się potulnie. — Ale boję się o Przypadka.

— Boisz się o niego? — zdumiała się małżonka.

— Ja wiem, trochę mi załazał za skórę i napsuł krwi. Ale sporo drani siedzi dzięki niemu w pudle. Ja bym ich pewnie i tak złapał, ale przynasz, że nikt tak pięknie nie potrafi ładować ludzi za kratki jak on. Większość by się wywinęła dzięki kontaktom i znajomościom...

— I co, znowu się w taką aferę wpląta?

— Tym razem chyba wyjątkowo nie. Sprawa faktycznie dziwaczna, jakiegoś kuriera rowerowego podejrzewają jego kolesie, że zabił drugiego za pomocą laleczki voodoo. Tamten rzeczywiście zimny trup na miejscu, ciężarówka go przejechała dokumentnie. Kierowca faktycznie mówił, że jak zobaczył Zachciała, znaczy tego denata, to machał rękami jak szalony, ale nie był w stanie zahamować. Sekcja zwłok nie wykazała żadnych świeżych substancji, chociaż po włosach odkryli, że czasem coś jednak brał. Ale nie obsługiwał go żaden znany diler, co i gwiazdom podwozi towar, ani nic takiego. I w ogóle nie miał wśród znajomych nikogo ważnego. — Podkomisarz Łoś przekazywał żonie te informacje beznamiętnym głosem, siedząc na fotelu i gapiąc się w ścianę przed sobą.

— No to czym się martwisz?

— Myślę, że szyją mu buty. Dlatego mnie chcą odsunąć od spraw związanych z jego śledztwami. Bo wiedzą, że ja bym się nie zgodził na to, żeby go zrobić w jakąś aferę albo morderstwo.

— E, przesadzasz, Łośiu. — Powrót do używania nazwiska świadczył o lekkim dystansie żony do teorii męża.

— Chciałbym się mylić.

— Na pewno się mylisz. I nie przejmuj się tak tym Przypadkiem. On by się tobą na pewno tak nie zamartwiał. A ty najpierw podejrzewasz, że on jakąś aferę chce wykręcić, a teraz, że go chcą w jakąś aferę zrobić.

— Nie rozumiesz, że to się łączy? On kombinuje coś wielkiego, dlatego chcą go zneutralizować.

- Te twoje teorie spiskowe. Zainteresowałbyś się lepiej sprawą Marczakowej.
- Mówiłem ci, Dynda nad nią pracuje.
- Ale chwilowo bez sukcesów?
- Na razie tak. Tych dwóch facetów i babka podobno mają żelazne alibi. I teraz jest podejrzewany ktoś znany, więc chwilowo Dynda się nie spieszy.
- Ktoś znany? Nie widziałam u niej nikogo takiego.
- A wiedziałaś, że ten mały to podobno wielki malarz, który za każdy obraz kasuje po pięćdziesiąt tysięcy złotych?
- Niemożliwe — zdumiała się Łosiowa.
- Niestety możliwe. Pokazywał mi zresztą Smańko jakiś jeden jego bohomas. Nie wiadomo, gdzie góra, gdzie dół. Ale kolorki ciekawie rzeczywiście dobrane — dodał sarkastycznie. — Tylko czerwieni za dużo.
- No widzisz, Smańko się bardziej interesuje zabójstwem naszej sąsiadki niż ty.
- Bo on się zna dobrze ze starszym aspirantem, co razem z Dyndą pracuje.
- To mógłbyś się dowiedzieć od niego, co to za znany gość jest podejrzewany.
- Jakbym się nawet dowiedział, tobym ci nie powiedział, bobyś od razu sąsiadkom wyaplała.
- No wiesz co, Łosiu?! — oburzyła się żona policjanta, a jej mina świadczyła, że zaraz wróci do dawnego stylu rozmów z mężem.
- Wiem, wiem. Dlatego wolę się tą sprawą nie interesować, a jak będzie coś ważnego, to mi pewnie Smańko doniesie.
- Ale mówiłeś, że on lada dzień idzie na miesięczny urlop — zauważyła pani Genowefa.
- No idzie. — Łoś wzruszył ramionami, jakby zupełnie nie przejmując się tym, że straci dostęp do świeżych informacji w sprawie zabójstwa sąsiadki. Dopiero widząc wzrok żony, powiedział: — Ja mam na głowie Przypadka i nie mam czasu biegać i wypytywać się innych o śledztwa.
- Na razie nikogo nie masz, bo już drugą sprawę rozwiązuje zupełnie bez ciebie.
- No i tego właśnie nie rozumiem. Nie biega, nie chce żadnych informacji. — Podkomisarz Łoś intensywnie podkręcał wąsa. — Coś w tym musi być.
- To jak jesteś ciekaw, to idź i zapytaj go o to.
- Myślisz, że to takie proste — prychnął pogardliwie policjant.
- Oczywiście, że tak. A teraz idź i wyprowadź Cywila! — Pani Łosiowa zakończyła konwersację małżeńską jak zwykle tonem nieznośnym sprzeciwu.

Jacek musiał przyznać, że jeżdżenie rowerem ma tę niewątpliwą przewagę nad bieganiem, iż w jego trakcie łatwiej pokonwersować. Teraz jednak nie bardzo mógł skorzystać z tego atutu, bo jego klient był nadzwyczaj mało rozmowny i zamknięty w sobie. Dlatego pierwszy zaczął rozmowę.

- Panie Tomku, co to są dokładnie te *alleycaty*? Wiem, że to wyścigi, ale jakie mają zasady?
- Właściwie są bez zasad. Generalnie to chodzi o to, żeby się nie dać zabić i złapać policji.
- Aha, czyli to jakieś nielegalne wyścigi?
- Powiedzmy, że takie półoficjalne. W skrócie: po prostu trzeba się przejechać po miejscach wyznaczonych przez organizatora, posprawdzać jakieś różne rzeczy, rozkłady jazdy,

numery autobusów na przystanku i takie tam. Wszystko, co może być dowodem, że się w tym miejscu było. Na końcu trzeba odebrać paczkę albo inną przesyłkę.

— Czyli to taka wolna amerykanka?

— No trochę tak, każdy w zasadzie kombinuje, ale w granicach rozsądku.

— Dorobić się na tym raczej nie można?

— Nic a nic. Nagrody są symboliczne.

— To czemu Zachciałowi tak zależało, żeby wygrywać?

— No bo to wielki prestiż w środowisku. Jak się jest mistrzem *alleycatów*, to... jest się kimś. A Sebek zawsze chciał, żeby go wszyscy dookoła podziwiali. Dlatego tak się napinał, żeby wygrywać. Zresztą do momentu jak Franek Mazurak zrobił sobie tego swojego Pegaza, co go tak pieścił przy nas, to w zasadzie zgarniał większość nagród. Ale Franek na tym Pegazie wymiata. Dostaje najbardziej błyskawiczne przesyłki, wszyscy wiedzą, że nie mają z nim szans. Każdy obstawia, że na najbliższych rowerowych mistrzostwach też będzie najlepszy. A to już impreza z innej półki. Karetki, ratownicy, wszystko ogrodzone. Zachciał zawsze mówił, że kiedyś coś takiego wygra. — Pańczak opowiadał to wszystko beznamiętnym głosem i słytać było, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. W końcu zapytał: — Sądzi pan, że ja mam jeszcze jakieś szanse u Sylwii?

— Pod warunkiem, że to nie ona okaże się odpowiedzialna za śmierć Zachciała — odpowiedział dyplomatycznie Jacek, bo nie chciał pozbawiać Pańczaka złudzeń. Myliłby się bowiem ten, kto myślałby, że w naturze detektywa leży obrażanie innych osób i robienie im przykrości swoją bezczelną szczerością. Przypadek zawsze starał się być miły dla ludzi z jego punktu widzenia mało ważnych, od których nic nie zależało, za to nigdy nie przepuszczał okazji, żeby wbić szpileczkę komuś istotnemu.

— No co pan, naprawdę pan myśli, że to mogła być ona? — zainteresował się Pańczak, a Przypadek uśmiechnął się z zadowoleniem, że przekierował gorzkie myśli Posępnego na nieco inne tory. Choć wiedział również, że to pytanie jego klienta wynikało z nadziei na to, że Sylwia mogłaby się okazać prawdziwą morderczynią. Znaczyłoby to bowiem, że nie kochała tamtego. A ponadto gdyby skończyła w więzieniu, na pewno doceniłaby to, że Tomek dosyła jej paczki i regularnie bywa na widzeniach. Bo do głowy Posępnego nie docierał chyba dość oczywisty wniosek, że raczej byłaby wściekła na to, że wynajął detektywa, który przyczynił się do jej aresztowania.

— Wykluczyć tego nie mogę — odpowiedział ponownie dyplomatycznie Jacek i dodał zaraz: — Mam już pewne koncepcje co do tego, jak to wszystko wyglądało...

— No jak?!

— Najpierw muszę zebrać informacje od moich wywiadowców w terenie. I spotkać się z pewnym policjantem, który za mną tęskni.

— To nic mi pan nie powie? — zapytał zawiedziony Pańczak.

— Wszystko w swoim czasie, panie Tomku. Ten ważny *alleycat* jest za dwa dni?

— Tak.

— Zabierze mnie pan tam ze sobą.

— Dobrze. Ale po co?

— Lubię dużą widownię przy rozwiązywaniu zagadki. Do widzenia.

— Do widzenia.

Pańczak i Przypadek rozstali się na skrzyżowaniu Puławskiej i Rakowieckiej. Jacek zrobił jeszcze małą rundkę po Polach Mokotowskich i dopiero wtedy wrócił pod kamienicę na ulicy

Koneckiej 40. Zanim zdążył otworzyć drzwi do klatki schodowej, ukazał się w nich listonosz. Uśmiechnął się smutno na widok Jacka.

— Mam coś dla pana — powiedział, grzebiąc w torbie. — Z sądu. To chyba pozew.

Sylwia nie była kurierką i jazdę na rowerze traktowała rekreacyjnie, częścią środowiska stała się zaś przez swoje związki. Nigdy nie rozumiała zresztą tego dreszczyku emocji, jaki towarzyszył jej znajomym, gdy na swoich pojazdach wykonywali ryzykowne ewolucje. Ona zawsze jeździła bardzo spokojnie i ostrożnie, dlatego nigdy nie miała z tego powodu żadnych złamań czy nawet otarć. Aż do dzisiaj, gdy z bliżej nieznanych przyczyn koło jej roweru nagle skręciło na prostej drodze w prawą stronę, a ona sama poleciała na lewo. I tylko niewielkiej prędkości, z którą jechała, oraz przytomnej asekuracji zawdzięczała to, że całość skończyła się na niewielkich obtarciach.

— Zawsze mówiłam, że jeździsz jak dupa wołowa — usłyszała za plecami, kiedy podnosiła rower.

— Proszę, proszę, panna Kasia Proca — zauważyła kąśliwie Sylwia, zerkając tylko kątem oka na kurierkę, gdyż bardziej zajmowały ją oględziny roweru. — Domyślam się, że to pewnie tobie zawdzięczam tego fikołka?

— Pani wróżka to się powinna domyślić, że za chwilę dostanie kamieniem w oponę, a nie chwalić się, że już wie, przez kogo wywinęła fikołka — odpowiedziała jej kpiąco Kaśka.

— Teraz już wiem też, przez kogo wywinął koziołka Sebastian.

— Ile razy mam ci mówić, że ten frajer mnie nigdy nie interesował? To była moja ostatnia męska pomyłka w życiu.

— W takim razie chyba powinnaś wstąpić do zakonu.

— Nie drocz się ze mną. Przecież wiesz, że mi chodzi o ciebie.

— Już dawno ci chyba powiedziałam, że mnie z kolei kręcą wyjącznie faceci.

Sylwia po stwierdzeniu, że jej pojazd nie odniósł większego uszczerbku, wsiadła na siodło i chciała odjechać. Proca złapała jednak za kierownicę i nie miała zamiaru puszczać.

Stopa próbowała się wyrwać, ale Kaśka trzymała mocno. Gdy już wiedziała, że ofiara przestanie się szarpać, powiedziała:

— Tak gadałaś, bo myślałaś, że żartuję.

— I nadal tak myślę.

— To zmień myślenie i popatrz na mnie. Czy ja wyglądam jak kobieta? Fakt, mam piersi i tę przerwkę między nóżkami, ale to wszystko. Naprawdę tak trudno ci uwierzyć, że kręcą mnie babki, a nie faceci?

— Późno cię zaczęły kręcić.

— Późno to ja to rozumiałam. I ty też powinnaś to zrozumieć. Po co ci gość, który cię trzepie po pysku...

— Lepszy ktoś, kto do mnie strzela z procy?

— Nie do ciebie, tylko w twoje kółko. A Sebastian lał cię prosto w twarz. Dlatego go załatwiłaś.

— Jesteś w zмовie z tym detektywem? Tak?

— Tego detektywa najchętniej pacnęłabym jakimś kamyczkiem. — Każdy, kto patrzył teraz na twarz Procy, nie mógł wątpić, że naprawdę marzy o tym, co powiedziała. — I może to kiedyś zrobić.

— To możesz dołożyć mu drugi ode mnie. A Sebka kochałam...

— Chciałaś od niego odejść. Powiedział mi. Wtedy dał ci dwa razy w pysk i stwierdził, że to on decyduje, kto z nim jest, a kto ma prawo odejść. I że ci nigdy na to nie pozwoli.

— Bzdury gadasz. Gdybym chciała od niego odejść, dałabym mu do picia coś takiego, że sam by mnie na rękach zaniósł do tego nowego. — Sylwia wykonała w powietrzu kilka ruchów, które wierzącego w magię by wystraszyły, ale Kaśka Proca tylko wzruszyła ramionami.

— Pewnie znów chciałaś odejść do jakiegoś dupka. Po co, kiedy jestem ja?!

Zanim Sylwia odpowiedziała, Kaśka przyciągnęła ją do siebie i usiłowała pocałować. Tego już było jednak dla Stopy stanowczo za wiele. Nie była aż tyle słabsza od Procy, żeby pozwolić jej na pocałunek, dlatego ją odepchnęła. Tamta ją mocno chwyciła, choć nie miała szans na zbliżenie się do jej ust. Wtedy Kaśka ze zdziwieniem zauważyła, jak twarz Sylwii wykrzywia jakiś dziwny grymas.

— Rany, jak ty śmierdzisz!

Wprawdzie Stopa nie była tak silna, żeby odsunąć Procę, za to to, co usłyszała Kaśka, wystarczyło, żeby odskoczyła od niej lekko speszona.

— Ja rozumiem, że chcesz zgrzywać faceta, ale pachnieć mogłabyś lepiej — dodała Sylwia zadowolona z efektu, jaki wywołały jej wcześniejsze słowa.

— Oszalałaś?! To nie ja — zaprzeczyła Proca, ale jednocześnie pociągnęła nosem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że coś tu straszliwie śmierdzi, choć była pewna, że to nie ona jest źródłem tego fetoru.

Obydwie rozejrzały się uważnie wokół. Wtedy zobaczyły, że z szarozielonego tła ulicy odbija się nieco jakaś dziwna sylwetka ubrana w strój sportowy drugiej świeżości. Ten ktoś, zerkając ciekawie na kobiety, majstrował coś przy rowerze, który wyglądał jeszcze gorzej niż jego ubranie. Tylko siwobiałe włosy zadawały mu szyku. Ich właściciel uważał zresztą, że to im zawdzięcza fakt, iż mimo niezbyt ładnego zapachu tak wiele kobiet chętnie utonęłoby w jego ramionach. Teraz jednak jego wzrok wyrażał widoczny żal, że nie doszło między paniami do namiętnego pocałunku.

— Panie, mogłby się pan umyć — burknęła Proca wściekła na Siwówłosego, przez którego sama została posądzona o niedbanie o higienę osobistą. Ruszyła nawet w jego stronę, ale wtedy zauważyła kątem oka, że Sylwia wykorzystwała jej zaangażowanie w ochranianie bezdomnego i odjechała. Mogła ją bez problemu dogonić, nawet biorąc pod uwagę, że jej rower stał oparty o mur kilkudziesiąt metrów dalej. Albo mogła też wyjąć z kieszeni procę i strącić ponownie Stopę z roweru. Uznała jednak najwyraźniej, że na dziś już rozmowa jest skończona. — I tak cię dopadnę, jędzo — rzuciła za odjeżdżającą Sylwią.

Czasem czeka się na tę najpiękniejszą chwilę w życiu zbyt długo. Nie zawsze kończy się to sukcesem i musimy sobie powiedzieć wprost, że nie ma już na co czekać. Na ogół jednak nie mamy wątpliwości, że gdy ta wspaniała chwila w końcu się ziści, to wprawi nas ona w euforię. A potem z naszą reakcją bywa już różnie i zależy to, wbrew teoriom postępu, od płci. Kobiętom dopada czasem od razu baby blues, a mężczyznę nieodparta chęć świętowania narodzin potomka wraz z kolegami na tak zwanym pępkowym.

Ta męska odmiana reakcji na tę najpiękniejszą chwilę w życiu zwykle ma bardzo radosny odcień, a niepokój przed ojcowskimi obowiązkami jest chwilowo ukryty dość głęboko. Do tego moment świętowania najczęściej następuje jednak nie wcześniej niż kilka dni po owym szczęśliwym fakcie. Dlatego kiedy Jacek ujrzał w swoich progach Błażeja w stanie

zdecydowanie wskazującym na spożycie, w dodatku w wersji na smutno, z jednej strony ucieszył się, widząc przyjaciela, do którego i tak miał się nazajutrz wybrać z gratulacjami, z drugiej zaś zmartwił, widząc troskę na jego twarzy. Ponieważ jednak nie było na niej rozpaczy wskazującej na poważne korzenie problemu, pozwolił sobie na żart.

— Niech zgadnę: jest czarny jak smoła i twierdzi, że jest do ciebie zupełnie niepodobny?

— To nie byłoby najgorsze — rzucił Błażej, wchodząc do Jackowego mieszkania lekko chwiejnym krokiem. — Wiesz, jak ona chce mu dać na imię?

— Po twoim pytaniu domyślam się, że bardzo dziwnie.

— Gorzej niż dziwnie. Ma mieć na imię Volcan.

Jacek naprawdę współczuł przyjacielowi, ale po tym oświadczeniu z najwyższym trudem powstrzymał się od śmiechu. Szczególnie, że słowom Sakowicza juniora towarzyszyło głośne czknięcie, przypominające groźny pomruk sił natury poprzedzający wypływ lawy. Nic takiego na szczęście nie nastąpiło i Błażej zasiadł w fotelu przeznaczonym dla klientów Jacka.

— Zawsze możesz pójść do urzędu i zarejestrować go pod wybranym przez siebie imieniem — powiedział bez przekonania Przypadek, jakby czując, że takie rozwiązanie nie wchodzi w grę, co wkrótce potwierdziły słowa Sakowicza.

— Żartujesz?! Zagroziła, że jak dam mu w urzędzie na imię inaczej niż Volcan, to się od razu ze mną rozwiedzie. Nawet podstawę miałyby dobrą, że nie spełniłem jej woli. I co ja mam w tej chwili zrobić? — bardziej załkał, niż zapytał młody mecenas.

— Obawiam się, że ty w tej chwili nic już nie możesz zrobić.

— Czyli co, mój syn będzie nazywał się Volcan Sakowicz?

— Nie, ale to już nie zależy od ciebie.

— Ta, od której to zależy, nie zmieni już decyzji — stwierdził ponuro Błażej.

— Nie miałem na myśli Ani, tylko twoją matkę. Jedynie ona może zmienić decyzję twojej żony.

— Wątpię. Nie znasz Ani.

— Wystarczy, że znam twoją mamę. Gdyby była Ministrem Spraw Zagranicznych, Niemcy prosiłoby nas o możliwość stania się kolejnym województwem.

— Może i tak — przytaknął Błażej, który nieraz doświadczył już siły perswazji swojej matki. — Ale przecież nie mogę pójść jej o to prosić.

— A ona już wie, że jej wnuczek będzie miał na imię Volcan?

— Tak.

— To nic nie musisz robić. Ona się sama postara o to, żeby się tak nie stało. Najwyżej poprosi cię o jakąś drobną przysługę w zamian.

— Nie wierzę. W nic już nie wierzę. Wszystko to jest bez sensu — wyrzucił z siebie dekadencją litanię Błażej. W tej chwili do pokoju zajrzała Malwina, która była ostatnią osobą, jaką życzył sobie ujrzeć młody mecenas. Dlatego oświadczył desperacko: — Dzisiaj ja z nim śpię! Potrzebuję przyjaciela!

— Nie ma problemu — zgodziła się pogodnie dziennikarka. — Chętnie przeniosę się na kanapę tutaj. I tak powinnam to dawno zrobić — oświadczyła i się wycofała.

— Czekaj, czy ja dobrze rozumiem, że wy nie ten? — Błażej zszokowany tą informacją nie mniej niż imieniem swojego dziecka jakby lekko wytrzeźwiaił.

— To skomplikowane — powiedział wymijająco Jacek.

— Jak wszystko, co dotyczy ciebie i jakiegokolwiek kobiety — stwierdził Sakowicz i wrócił myślami do własnych problemów. — Dlatego ona mi to zrobiła?

— Naprawdę nie myśl już o tym i pozostaw sprawę swojej matce. Teraz musisz mi pomóc w tym. — Przypadek sięgnął po pismo, które leżało na biurku, i podał je przyjacielowi.

— Pozew? — Błażej zbystrzał jeszcze bardziej niż chwilę wcześniej. Jak klasyczny, rasowy adwokat poczuł krew i miał nadzieję na kolejne efektowne zwycięstwo nad wrogiem. — Komu się znów naraziłeś?

— Byłbym sąsiadom. Oskarżają mnie o zniszczenie ich związku.

— Ci geje? Jakiś mobbing? To może być fantastyczne! — entuzjazmował się Błażej, zapomniawszy chwilowo o swoim problemie. — Tylko wiesz, nie będzie łatwo wygrać. Sądy też trochę robią się już tęcze i wrażliwe społecznie. Ale mamy radę, tylko musimy dokładnie to przegadać. W sumie możemy to zrobić w łóżku. Nawet będzie tematycznie. Dwóch facetów w łóżku zastanawia się, jak pokonać dwóch innych facetów, którym jeden z nich zniszczył łóżkowe życie — roześmiał się.

— Obawiam się, że ponosisz cię nieco czarny humor. Poza tym na trzeźwo nie jestem w stanie spędzić nocy z nikim pijanym. Także kanapa tutaj jest do twojej dyspozycji, o ile jednak nie wolisz wrócić do swojego mieszkania i walnąć się w wygodnym łóżku.

— Ale po co chcesz z nią spać? — zapytał zawiedzionym szeptem. — Skoro i tak nic nie tego ten.

— Bo ciebie w łóżku z Malwiną nie mogę zostawić. Wiesz, jak działasz na kobiety. Na pewno nie dałaby rady się powstrzymać tak jak przy mnie. A tego mogłaby ci twoja ślubna nie wybaczyć nawet z pomocą twojej mamy.

Przeciętny adwokat zdaje sobie doskonale sprawę z faktu, że w dziewięćdziesięciu procentach spraw z równym przekonaniem, zaangażowaniem i oddaniem mógłby reprezentować obie strony. To, że akurat wynajęła go jedna z nich, jest nierzadko kwestią zbiegu okoliczności czy wręcz faktu, że jego kancelaria znajdowała się najbliżej mieszkania potencjalnego klienta. Często więc równie dobrze mógłby się zamienić miejscami z mecenasem reprezentującym jego wrogów. I wtedy kiwałby z oburzeniem głową na argumenty, którym w innym przypadku by przytakiwał, bo sam by na nie wpadł i wypowiedział. Zgodnie jednak z etyką zawodową nie mógł tego robić. Teraz jednak mecenas Sawczuk-Keller bardzo chętnie zamieniłby się miejscami z adwokatem reprezentującym drugą stronę. I to mimo że musiałby bronić faceta, którego szczerze nienawidził do głębi swych trzewi. Gościa, który już go parę razy ośmieszył i przysporzył mu kłopotów. Detektywa, którego nie cierpiała połowa Warszawy. I to na dodatek ta połowa, którą było zdecydowanie stać na najdroższych adwokatów.

A mimo to Sawczuk-Keller w tej chwili chętnie podjąłby się obrony Przypadka. Tylko po to, żeby uwolnić się od siedzących naprzeciwko niego i kłócących się od ponad pół godziny panów Gabrysi i Romana, którzy do niedawna byli sąsiadami detektywa.

— Panowie, proszę o spokój! — zawołał zrozpaczony Sawczuk-Keller bez wielkiej nadziei na sukces. — Naprawdę nie zostało aż tak dużo czasu do procesu, a my nie mamy ustalonych waszych zeznań.

— A co tu ustalać?! — zdenerwował się Gabrysia. — Przecież to jasne, że zniszczył nasz związek zakazem kłótni po godzinie dwudziestej, który doprowadził Romana do ostateczności i rękocynów.

— Ale pobicie miało miejsce o godzinie osiemnastej — zauważył Sawczuk-Keller. — Zamiast bić, mogliście się po prostu pokłócić.

— No bo to już narastało od wielu miesięcy — bronił się Roman.

— Adwokat pana Przygadka na pewno zwróci na to uwagę.

— A nie dałoby się tak zrobić, żeby nie zwracał uwagi? — zapytał Roman. — Ja to się w ogóle dziwię, że znalazł się w Warszawie ktoś, kto śmiał się podjąć tej sprawy. Wydawało mi się, że adwokaci jako grupa sprzyjają swobodnemu rozwojowi stosunków społecznych.

— Niestety, u nas wciąż są też konserwatyści. — W głosie Sawczuka-Kellera brak było żalu, ale jego klienci wzięli jego słowa za dobrą monetę.

— Tego powinni zabronić! Już na egzaminie na aplikację wszyscy powinni być przebadani, czy się opowiadają za wolnością, a jak nie, to nie przyjmować ich do zawodu! Albo od razu wsadzać ich do więzień, bo nie ma wolności dla wrogów wolności! — zadeklarował Gabrysia, Sawczuk-Keller zaś dyskretnie ziewnął.

— Tak, tak, oczywiście. Ale zanim to nastąpi, to musimy jednak ustalić wspólne zeznania panów i sprawić, że będą brzmiały spójnie i logicznie.

— A nie brzmią?! — Gabrysia jednocześnie zdziwił się i oburzył.

— No pewnie, że nie — parsknął Roman. — Jak mają brzmieć, jak mi co drugie słowo zaprzeczasz i twierdzisz, że nie mam racji. Chociaż ja doskonale pamiętam, jak było.

— Ty pamiętasz? Ty nawet nie jesteś w stanie zapamiętać, gdzie odłożyłeś swój tablet. Jakbym za tobą nie chodził i wszystkiego nie porządkowałem, to sam byś się zgubił w tym bałaganie i nie wiedziałbyś, gdzie masz ręce, a gdzie nogi. I mógłbyś się wreszcie nauczyć opuszczać klapę w ubikacji!

— To, że nie jestem takim pedancikiem jak ty, nie znaczy, że doskonale nie pamiętam wszystkich istotnych zachowań i sytuacji. I to ja najlepiej wiem, jak było.

— Panowie, jeżeli obydwa zaraz się nie uciszycie i nie będziecie się stosować do moich wskazówek i precyzyjnie zapamiętywać, co mam wam do powiedzenia, to zrezygnuję z tej sprawy i nie będę jej prowadzić pro publico bono, a jedynie za normalną stawkę! — zagroził Sawczuk-Keller, z trudem zresztą powstrzymując uśmiech.

Wciąż trudno mu było zrozumieć, jak ktoś mógł w ogóle pomyśleć, że przedstawiciel tak renomowanej kancelarii jak on mógłby pracować dla kogoś za darmo. No, ale skoro ci dwaj uwierzyli wcześniej, że ktoś dał im darmowe mieszkanie rzekomo w ramach wsparcia dla związków nieheteronormatywnych, to i teraz mogli uwierzyć w to, że wspiera ich z dobrego serca. Chociaż prawdziwemu zleceniodawcy tak bardzo zależało na tej sprawie, że zapłacił za nią dwa razy więcej niż za zwykłą reprezentację. Ale nie zaszkodziło postraszyć tych dwóch, bo inaczej nie dałoby się z nimi dojść doładu.

— No wie pan, jak pan może, my jesteśmy tacy bezbronni. — Gabrysia był bliski uronienia łezki, jednak Roman zachował więcej instynktu samozachowawczego i ścisnął partnera za kolano. — Aua, co robisz, brutalu? — zdziwił się Gabrysia, ale widząc piorunującą wzrok Romana, zamilkł.

— No dobrze, ustalmy zatem na początek, że mnie kompletnie nie interesuje, jak było naprawdę, ale co możecie obaj panowie powiedzieć na naszą korzyść w taki sposób, żeby druga strona nie mogła zdobyć dowodów temu zaprzeczających. Dlatego na początek musimy ustalić, z jakiego powodu obydwa zegarki panów się popsęły i nie zdawaliście sobie sprawy z tego, że jest osiemnasta i możecie po prostu wszczać waszą zwykłą awanturę...

— My nie wszczynamy awantur, my po prostu żyjemy w szczęśliwym związku, gdzie następuje pomiędzy nami swobodna wymiana myśli, szczerą i nieskrępowaną... Aua, brutalu, mówiłem, że złamiesz mi nogę!

Jednym z obowiązków, który przybył Jackowi ostatnio, było regularne robienie zakupów dla Zygrydy i Teodory. Asortyment ich nie był zbyt bogaty, składał się głównie z kawy i papierosów oraz jednej butelki koniaku tygodniowo. Zwykłe posiłki, o ile same ich nie ugotowały, obie panie zamawiały zwykle z dowozem do domu, bo jak mówiły: „Zawsze to miło popatrzeć na takiego sympatycznego dostawcę, który uroczym sposobem wiebiegnięciu na czwarte piętro”. Same jednak nie miały zamiaru wychodzić na dwór. Uzasadniały to w następujący sposób: „Ciała mamy nieruchawe, za to mózgi jak żylety”.

I właśnie koniecznością podtrzymania kondycji swych umysłów tłumaczyły potrzebę spożywania dużej ilości kawy i wypalania papierosów. Dlatego kiedy podkomisarz Łoś, ubrany w czerwony dres, zobaczył, że Jacek wraca do domu z pełną siatką papierosów w jednej ręce, w drugiej zaś niesie parę kilo kawy, miarka się przebrała. Zastąpił mu drogę i stał tak przed detektywem przez dłuższą chwilę, bo nie wiedział, co powiedzieć.

- Co tam słyhać, panie podkomisarzu? — odezwał się w końcu Przepadek.
- Pan coś kombinuje, prawda?
- Ja? A czy ja kiedykolwiek coś kombinowałem?
- Kombinował pan, że tak powiem, nałogowo. Może podbiegniemy kawałek?
- Nie mam stroju. I zakupy niosę...
- Poczekam tu.
- Na pewno pan zauważył, że już nie biegam.
- No właśnie, dlaczego?! — zapytał rozpaczliwie podkomisarz.
- Zaliczyłem swój maraton, do którego się przygotowywałem.
- Nie zauważyłem, żeby pan gdziekolwiek wystartował.
- A czy ja mówiłem, że gdziekolwiek wystartuję? Przebiegłem tyle, ile potrzeba, i już.
- Kiedy?

— Jak biegłem odebrać Malwinę z Basią z lotniska. Miałem nawet całkiem niezły czas. Może nawet kiedyś zająłbym dobre miejsce w jakimś prawdziwym maratonie? A pan nie powinien rezygnować z biegania, dobrze to panu robiło.

— Sam pan zrezygnował tylko dlatego, że przebiegł jeden maraton. — Łoś patrzył z niedowierzaniem na Jacka. Niby wszystko, co mówił detektyw, było spójne i logiczne, ale policjantowi wciąż się coś tu nie zgadzało.

— Nie tylko. Uznałem, że nawet do klientów lepiej będzie dojeżdżać rowerem.

— Ciągłe pan się wymiguje od odpowiedzi. Zawsze pan tak robi — powiedział z wyrzutem Łoś i dodał dużo ciszej, rozglądając się nieco bojaźliwie na boki: — A ja przyszedłem pana ostrzec. Chcą pana w coś wrobić. Wierzy mi pan?

Jacek w pierwszej chwili zamiast odpowiedzi otworzył drzwi na klatkę schodową do kamienicy i wpuścił tam policjanta.

— Wierzę. Zdaje się, że Klempuch się uaktywnił.

— Klempuch? — zdziwił się podkomisarz. — Przecież po nim ślad zaginął.

— Przesłał mi pozdrowienia w postaci pozwu byłych sąsiadów. Reprezentuje ich kancelaria, która zawsze dbała o jego interesy.

— Może pan mieć rację. Mnie chcą wysłać na emeryturę, żebym panu więcej nie pomagał... Ale po co robi pan zapasy kawy i papierosów? I to od dłuższego czasu?

— Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale to dla moich nowych sąsiadek.

— Przecież one mają chyba po sto lat?!

— Proszę tego nie mówić przy nich, bo naprawdę pan gorzko pożałuje. — Przypadek się uśmiechnął. — Czyli, jak rozumiem, dali panu alternatywę: awans i emerytura albo zajęcie się innymi sprawami?

Łoś kiwnął potakująco głową i dodał:

— Powiedziałem, że się zastanowię. Dlatego wciąż mogę pana obserwować. Raczej nie pozwolą mi na to zbyt długo.

— To może chociaż zakończymy naszą współpracę jakimś efektywnym wspólnym występem?

— Mówi pan o sprawie tych kurierów rowerowych? Przypadek przytaknął. — Ale tam nie ma nikogo ważnego? A w zasadzie co mi teraz szkodzi, może być ktoś ważny — powiedział policjant, ale detektyw wyczuł w jego słowach nutkę niepokoju.

— Tym razem raczej winny nie będzie nikt ważny. Tak myślę, bo potrzebuję jeszcze czegoś do układanki. Najlepiej wyników sekcji.

— Są na moim biurku. Ale tam naprawdę nie ma nic ciekawego. Totalna miazga, facet trup na miejscu. Nie było co zbierać.

— Zginął od razu? — upewnił się Jacek.

— Tak. To co, chce pan zobaczyć wyniki tej sekcji?

— Nie. Wystarczająco mi pan pomógł. I proszę tak na mnie nie patrzeć. To naprawdę był ostatni element brakującej układanki. Zapraszam do mnie, ustalimy scenariusz jutrzejszego przedstawienia.

Rywalizacja była zacięta, ale zwycięzca mógł być tylko jeden. Franek Mazurak. Teraz, gdy wszyscy już ochłonęli i z zadowoleniem sięgali po piwo, bohater dzisiejszego dnia wszedł na murek i wzniośszy nagrodę za zwycięstwo, pomalowaną na złoto kierownicę rowerową, powiedział:

— To powinno trafić w ręce Sebastiana. Był ostatnio naprawdę w świetnej formie, tym razem nie miałbym z nim najmniejszych szans. Niestety los... — Mazurak zawiesił na chwilę głos — ...a może co innego spowodowało, że nie może być tu z nami...

— To zdecydowanie było co innego. — Nieopodal zwycięzcy *alleycata* pojawił się na rowerze Przypadek, a obok niego Pańczak. Odezwał się niezbyt przyjazny pomruk, lecz nikt przecież nie mógł publicznie zarzucić Posępnemu zabójstwa za pomocą czarów voodoo. To można było robić pokątnie, za plecami, mówiąc: „Wiedzie, jak to było?” Dlatego tak bardzo wszystkich zaskoczyły następne słowa detektywa: — A wszystko przez małą poprzekłuwaną szpilkami laleczkę, którą zrobił pan Posępny.

Zapadła absolutna cisza. Kurierzy rowerowi spoglądali ze zdziwieniem na detektywa. Tym bardziej że Pańczak nie spuścił ze wstydu wzroku, ale patrzył na nich ze spokojem i pewnością siebie.

— Czyli to jednak ta lalka go zabiła czy nie? — zapytał nic nierozumiejący Mazurak.

— W pewnym sensie. Ale śmierć i tak była od pewnego czasu przeznaczona Zachciałowi. Bo dużo silniejszą lalkę zrobiła pani Sylwia. Taką z prawdziwymi włosami i innymi rzeczami należącymi do jej chłopaka.

Teraz z kolei wszystkie spojrzenia skierowały się na pannę Stopę. Ta jednak gapiła się na detektywa z niezmaconym spokojem, jakby nie była zdziwiona jego odkryciem i nie czuła wstydu z tego powodu. Zapytała tylko z kpina:

— Zobaczył pan to w kuli Ossowieckiego?

— Zobaczyłem to, gdy dowiedziałem się od pani, że ostrzegła pani Zachciała, że Pańczak przygotowuje swoją laleczkę. Wprawdzie powiedziała mi pani, że to wyszło jej w kartach tarota, ale pani wybaczy, ja w takie bzdury po prostu nie wierzę. Zwyczajnie się pani domyśliła, że on coś takiego może zrobić, chcąc panią odzyskać. Jednak w głębi duszy uważała pani, że robi to po dyletancku bez odpowiedniej wiedzy, dlatego zakładam, że sama pani przyrządziła taką lalkę, która pewnie wciąż leży w pani szufladzie.

— Ja kochałam Sebastiana!

— Kochała pani i jednocześnie nienawidziła. Zdarza się. A zakładam, że pani nieraz zdarzało się dostać od niego mocno w twarz. Stąd to większe zamiłowanie do mocniejszego makijażu, które pewnie wszyscy zauważyli od początku związku z Zachciałem. A od niedawna znów ten makijaż zelżał, co sędzę, także wszyscy zauważyli... — Jacek wyraźnie przesadził z określeniem „wszyscy”, ale wystarczyło, że zgromadzeni mężczyźni spojrzeli na swoje panie, a te potwierdziły tezę Jacka kiwnięciem głowami.

— Wiedziałam, że to ty! — Kaśka wyskoczyła z tłumu kurierów, nomen omen, jak z procy. — Nigdy go nie kochałaś, jęzdo!

— A on nigdy nie kochał ciebie! — odgryzła się Procy Stopa.

— Właśnie, że kochał! — krzyknęła Kaśka. — Ale ty go otumaniałaś tymi swoimi ziółkami. To pewnie przez to był nerwowy i przestał wygrywać w *allegcatach*.

— Przestał wygrywać i zrobił się nerwowy, bo zaczął ćpać! — włączył się w rozmowę Owocki. Jak bardzo było to spontaniczne i nieprzemysłane, można się było zorientować już po chwili, gdy diler miał ochotę się schować w tłumie, bąkając przy tym: — Znaczą... tak mi się wydaje... Bo on...

— Zaczął kupować coś mocniejszego od pana? — zapytał Przepadek.

— Nie mam z jego śmiercią nic wspólnego! — zapewnił Owocki, ale kilka nieżyczliwych spojrzeń innych kurierów sprawiło, że nie mógł mieć wątpliwości, iż nie wszyscy mu wierzą. — No, niech im pan powie! Ja naprawdę się z nim tego dnia pokłóciłem o Kaśkę. On ją tylko bajerował i wykorzystywał.

— Nikt mnie nie bajerował i nie wykorzystywał — oburzyła się Proca. — I sama umiem o sobie zadbać. A jakbym chciała, tobym go pacnęła kamyczkiem, żeby się nawet nie zorientował, że wpada pod jakąś ciężarówkę — zadeklarowała i ona też już po chwili żałowała swoich słów. — No, co się tak gagicie? Przecież tego nie zrobiłam!

— To prawda — potwierdził Pańczak. — To nie ona. To Franek Mazurak.

Ponieważ świeżo upieczony zwycięzca *allegcata* stał wciąż na murku, wszyscy bez trudu mogli na niego spojrzeć. On sam najchętniej ukryłby się w tej chwili, ale miał do dyspozycji jedynie pozłocaną kierownicę roweru — efekt niedawnego sukcesu. Chcąc się bronić, musiał więc atakować.

— Co ty bredzisz, Tomciu? To niby ja sobie zrobiłem jego laleczkę i kłułem ją szpilkami?

— Nie — zaprzeczył za swojego klienta Jacek. — Ale od Zachciała wiedział pan, że pan Pańczak tę laleczkę przygotowuje. Pewnie Zachciał powiedział to nawet kilku osobom. Ktoś się z tego zaśmiał, ktoś nie dał temu wiary. Ale na pewno parę osób w to uwierzyło. Dlatego nawet nie musiał pan nakryć Pańczaka z tym narzędziem zbrodni w rękę. Wystarczyłoby,

gdyby pan powiedział, że widział tę laleczkę bezpośrednio po śmierci Zachciała, a z miejsca trochę osób by w to uwierzyło, pani Stopa mogłaby zaś dodatkowo potwierdzić tę wersję. I nikomu by nie przyszło do głowy się zastanawiać, dlaczego to pan wepchnął go pod tę ciężarówkę.

— Co pan za bzdury opowiada?! Po co bym miał to robić!?

— Żeby wciąż móc wygrywać w kolejnych *alleycat*ach.

— Do tego wystarczy mi mój Pegaz.

— Niestety nie. I Zachciał to wiedział. Pewnie odkrył sposób, w jaki pan oszukiwał. Nie znam się tak dobrze na tych wyścigach, ale po twarzach pana kolegów widzę, że parę osób też pana o to podejrzewało. A Zachciał zdobył jakiś dowód. Zażądał podzielenia się sposobem albo niestartowania w którymś z *alleycat*ów. Na początku się pan zgodził i nie wziął udziału w jednym czy dwóch. Pewnie miał pan ochotę na deal z Zachciałem: raz wygram ja, raz ty. Ale Zachciał nigdy się nie lubił z nikim dzielić. A pan też był uzależniony od adrenaliny towarzyszącej zwycięzcom. Zakładam, że tego dnia rozpędziliście się obydwoj na trasie, a potem pan go pchnął jeszcze mocniej. Nie miał szans się zatrzymać na tym ostrym kole bez hamulców, kierowca ciężarówki tylko widział, jak bezradnie machał rękoma, zanim wpadł mu pod koła.

— A ma pan na to jakieś dowody? — zapytał Mazurak.

— Dowody mam ja! — oświadczył podkomisarz Łoś i z satysfakcją rozejrzał się po zaskoczonych twarzach kurierów rowerowych. „Tak, ten Przypadek wie, jak dobrze rozpisać dramaturgię przedstawienia” — pomyślał. A ponieważ był w mundurze, nie musiał się nawet przedstawiać. Mimo to postanowił to jednak uczynić: — Podkomisarz Łoś, Komenda Stołeczna Policji. Prowadzę obecnie śledztwo w sprawie śmierci pana Zachciała. Przesłuchałem wczoraj pana Tomasza Pańczaka, który powiedział mi, że przybiegł pan do niego po śmierci z rzekomą prośbą o oddanie krwi na rzecz denata. Czy to prawda?

— Prawda. A co w tym złego? — Mazurak wzruszył ramionami. — Tomek i Sebek mieli tę samą grupę, A erha plus.

— Zgadza się. Tylko sęk w tym, że pan Zachciał poniósł błyskawiczną śmierć na miejscu i pan to widział. Nie było mowy o żadnym oddawaniu krwi, bo nie było dla kogo jej oddawać...

ROZDZIAŁ III

O jedno kółko za daleko...

Czesław Tokarek, dyrektor Wyścigu Południowomazowieckiego, patrzył z niezadowoleniem na ciężkie chmury zwisające nad horyzontem. Wprawdzie kolarze nie są z cukru i deszcz nieraz przemoczył ich na trasie różnych etapów, ale teraz rzecz wyglądała szczególnie niepokojąco. Jeszcze pół godziny temu termometr wskazywał trzydzieści dwa stopnie Celsjusza, a prognozy mówiły, że za kolejną godzinę spadnie do piętnastu. Grad, wichury, burza. Mogą być problemy z transmisją. A załatwił przecież, że ostatnią rundę królewskiego etapu pokaże jeden z kanałów sportowych. Po raz pierwszy w krótkiej historii Wyścigu Południowomazowieckiego!

— Natychmiast przerwij ten wyścig! — Do pokoju Tokarka wpadł nagle podenerwowany Stanisław Krulikowski, właściciel grupy kolarskiej Skijumpers.

— Stasiu, ja wiem, że znamy się od lat, ale się puka. — Tokarek nie zareagował nawet na słowa Krulikowskiego, które mogły być przecież tylko głupim żartem. Ten jednak uparcie powtórzył:

— Zakończ wyścig przed ostatnią rundą! Nie widzisz, jaka jest pogoda?!

— Stasiu, ja rozumiem, że ten twój Czerczyński ma teraz dwie minuty przewagi nad peletonem, ale jak jest taki silny, to niech dojedzie jeszcze tę ostatnią rundę do mety. Moim zdaniem nie ma szans, przeszarżował emeryt. Trzeba się było wczoraj nie chwalić w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego”, że wszystkim dzisiaj dokopie i zgarnie wszystkie klasyfikacje.

— Tu nie chodzi o niego, tylko o bezpieczeństwo zawodników! A możesz po prostu anulować wyniki tego etapu i zakończyć go po trzech. Wtedy nie wygramy żadnej klasyfikacji! Przerwij etap!

— Spokojnie, nic im się nie stanie. Niejedną burzę już przeżyli. A to nie jest Mont Ventoux, tylko wjazd na Altanę koło Szydłowca. A ty wyluzuj, Stasiu, i włącz telewizorek, zobaczysz, jaką fajną transmisję załatwiłem. Na dwa motocykle, będzie dobrze widać, jak dochodzą Czerczyńskiego.

— Jak się coś stanie mojemu zawodnikowi, to mnie popamiętasz! — wściekł się Krulikowski, ale wyszedł z pokoju hotelowego Tokarka.

„Oszalał na starość Stasiu — pomyślał dyrektor Wyścigu Południowomazowieckiego. — Co on myślał, że jak weźmie tego emeryta i dołoży młodziaków, którym się znudziło skakanie na nartach, to od razu jakąś potęgę zbuduje? Przerwij etap, akurat, już się

rozpedziłem. Jakbym to zrobił, toby od razu zaczął mówić, że Czerczyński jest moralnym zwycięzcą i takie tam bzdury!”

W tym czasie do Krulikowskiego podszedł na korytarzu mechanik ekipy Skijumpers, filigranowy Zbyszek Najwer, i jedno spojrzenie na szefa powiedziało mu wszystko. Musiał się tylko upewnić co do dalszych działań, dlatego zapytał:

— To co, gonimy go?

— Ile sił w nogach! On nie ma prawa tego wygrać.

Mechanik odszedł, a przy szefie Skijumpers pojawiła się doktor Zofia Zięba-Najwer, lekarz ekipy. W młodości trenowała zapasy i była zawodniczką kategorii ciężkiej. Solidna sylwetka pozostała jej do tej pory i budziła często strach wśród napotkanych osób. Szczególną rezerwą wobec niej zachowywali mężczyźni, którzy dodatkowo bali się z nią zasiadać do stołu, bo krążyły legendy o tym, ile może wlać w siebie alkoholu bez żadnych konsekwencji. Teraz jednak to w jej oczach był strach.

— I jak? — zapytała.

— Nie przerwie.

— Niedobrze.

— Mnie to mówisz?! — wściekł się Krulikowski. — Zobaczysz, jak to się wyda, to cię wywalę na zбитy pysk. Powinnaś go lepiej pilnować.

Podczas gdy szef Skijumpers denerwował się na lekarza ekipy, Tokarek włączył telewizor i przetączył na kanał, gdzie właśnie zaczynała się transmisja jego wyścigu. Kolarze po kilku minutach pojawili się na końcu przedostatniej, czwartej rundy w Szydłowcu, gdzie była usytuowana meta. Jarek Czerczyński miał tam już prawie dwie i pół minuty przewagi nad pozostałymi zawodnikami.

— Przeszarżował — mruknął zdziwiony Tokarek. — Na tym ostatnim podejździe pod Altanę spuchnie jak nic.

Jednak przewidywania dyrektora Wyścigu Południowomazowieckiego się nie sprawdziły. Przewaga Czerczyńskiego nad peletonem rosła z każdym kilometrem podjazdu i wkrótce przekroczyła trzy minuty.

— Kurde, on to wygra — stwierdził z niemałym zdumieniem Tokarek. — Co ten Krulikowski zwariował? Nie wiedział, że jego zawodnik jest w formie? — Transmisja przeniosła się na drugi motocykl pokazujący peleton, lecz zdumienie dyrektora wyścigu nie zmalało, lecz wzrosło. — Czy oni poszaleli? Gonią własnego zawodnika?!

Jego ostatnie słowa utonęły w potężnym grzmocie. Za chwilę w Szydłowcu miały się pojawić potężna burza, wichura i grad. Z zawodników pierwszy miał się z nią zmierzyć Czerczyński, który powoli dojeżdżał do najwyższego momentu podjazdu, usytuowanego jakiś kilometr od faktycznego szczytu wzniesienia zwanego Altaną. Transmisja ponownie wróciła do uciekiniera. Chwilę potem nagle z boku drogi pokazał się mężczyzna ubrany w strój Zeusa, z drewnianą błyskawicą w ręku, biegnący wzdłuż jezdni. Krzyczał coś do Czerczyńskiego, ale ten starał się go nie słuchać i nacisnął mocniej na pedały. A kiedy niesforny kibic zbliżył się do niego, wydawało się nawet, że Czerczyński najchętniej by go dzielił pięścią.

— Jezu, co ten wariat Klekot tam robi?! — Tokarek najwyraźniej znał przebiezańca biegnącego obok Czerczyńskiego.

Potężna błyskawica przeszła nagle niebo i złała się w jedno z grzmotem. Obraz z ekranu telewizora dyrektora wyścigu zniknął na moment. Pojawił się z powrotem dopiero po minucie. Kamera najwyraźniej leżała nieruchomo na asfalcie i pokazywała wywrócony

rower, w którym bez przerwy kręciły się pedały. Ani Czerczyńskiego, ani nikogo więcej nie było widać.

Po kilku sekundach obraz znikł całkowicie.

Gdyby ktoś teraz przechadzał się ulicą Konecką, mógłby odnieść wrażenie, że na czwartym piętrze kamienicy pod numerem czterdziestym wybuchł w tej chwili niewielki pożar. Ogień musiał się tam tlić już co najmniej od godziny, bo tak długo kłęby szarego dymu wydobywały się przez lufcik. Autor śpieszy jednak uspokoić Czytelników, że choć było to mieszkanie niewątpliwie pechowe dla jego lokatorów, to nie trawił go na szczęście czerwony kur. Dym pochodził oczywiście z papierosów Zygrydy i Teodory, które raczyły się już od prawie dwóch godzin swoją ulubioną rozrywką w opuszczonym lokalu.

— No tak, Zyzia, powiem ci, że ja to od początku podejrzewałam tego Mazuraka.

— Tak mówisz? — Teodora uśmiechnęła się krzywo. — To szkoda, że się z tą wiedzą nie ujawniłaś.

— Ty też podejrzewałaś innych — odcięła się Zygryda, zaciągając się pierwszym papierosem z trzeciej tego dnia paczki.

— A w kryminałach to ja zawsze pierwsza wiem, kto zabił.

— Bo zaglądasz na ostatnią stronę. A potem tylko mówisz: „Wiedziałam!”

— Nieprawda. Zaglądam, jak już wiem, kto zabił. I tylko się utwierdzam.

— Akurat — droczyła się z siostrą Teodora. — A jak się pomylisz, to mówisz: „Co za głupota, nie chce mi się dalej czytać”

— No bo jak autor wyciąga mordercę jak magik królika z kapelusza, to tak mówię.

— Skąd możesz wiedzieć, czy go wyciągnął jak królika z kapelusza, skoro przeczytałaś dopiero jedną trzecią książki.

— Bo jak autor na samym początku nie ukrywa wyraźnych śladów, to znaczy, że sam nie ma pojęcia, kto zabił, tylko potem mu to jakoś wychodzi. Wiem, co mówię, bo na morderstwach znam się jak mała kto.

— I tak gorzej ode mnie. Mówię ci, od początku czułam, że coś jest nie tak z tym Mazurakiem. Po cholerę by przylatywał i krzyczał, że krew potrzebna. Mógł obdzwonić znajomych i leżeć przy łóżku tamtego w szpitalu. Ale on potrzebował tego, żeby móc potem rozgłaszać, jak to nakrył Pańczaka z tą lalczką.

— Swoją drogą, to głupio to wymyślił — stwierdziła Zygryda. — Jak wiedział, że tamten trup na miejscu, to nie musiałby z tą krwią wyskakiwać.

— Nie głupio, bo nie podejrzewał, że sprawą lalczki voodoo może się zająć policja lub nawet jakikolwiek detektyw. To musiał być nasz Jacuś, tylko on takie dziwactwa bierze na warsztat. Inaczej ludzie mogliby się dziwić, że poleciał do Pańczaka z wiadomością o tej rzadkiej grupie krwi.

— W sumie masz rację. Ale jak myślisz, ta Proca to się rzeczywiście nie podkochała w tej Stopie?

— No pewnie, że nie. Na początku chciała pewnie tymi załotami namieszać w związku ekschtopaka. A potem pomyślała, że może w ten sposób uda się jej wyciągnąć tajemnicę tego, jak tamta zabiła Zachciała. Bo tego była chyba pewna.

— Też tak myślę. To też nie było mądre, ale jak człowiek jest nieszczęśliwie zakochany, to głównie robi głupoty.

— No właśnie, mam nadzieję, że temu Pańczakowi nie przyjdzie do głowy, żeby się znówu starać o tę Sylwię. Byliby niezłą parą z dwoma laleczkami voodoo tego samego trupa — zaśmiała się chrapliwie Teodora.

— Ty i to twoje poczucie humoru. — Zygryda się skrzywiła.

— A swoją drogą szkoda, że tym razem bez transmisji było.

— Pewnie ten łoś żałuje najbardziej.

— Co ty, on najbardziej zadowolony, że to nikt znany nie został aresztowany i nie pokazywali tego w telewizji.

— Jacuś mówił, że pan podkomisarz się trochę rozochocił i teraz chętnie wystąpiłby już w blasku fleszy.

— Pewnie się rozsmakował w sławie. To uzależnia, wiem coś o tym. — Teodora uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

— Skąd?

— My też byłyśmy znane.

— Ale na szczęście tylko w kręgu ściśle utajemniczonych. Żadne radio, telewizja i gazety o nas nie mówiły — powiedziała Zygryda. — No dobra, kończymy janie i wracamy do domu. Napiłabym się kieliszek koniaku.

— Ja też. Trzeba jakoś skracać czas do następnej sprawy Jacusia.

— Ciekawe, co teraz będzie miał na tapecie.

— Pewnie znów coś z rowerami. On jak już się wgrzyje w jakiś problem, to rozwiązuje go seriami.

— Raczej trójkami.

— No to musimy za to wypić.

— Nie inaczej. *Boh trojcu lubi!*

Detektyw Przypadek był przyzwyczajony do tego, że ludzie niechętnie płacili mu honorarium i chwila ustalania jego wysokości prawie zawsze wzbudzała u nich oburzenie. Jak już autor wcześniej wspomniał, powszechnie znani i lubiani uważali bowiem, że powinien pracować dla nich za darmo. Inni zwykli targować się o każdą złotówkę. Za to Czesław Tokarek, siedzący teraz naprzeciwko Jacka, powiedział na wstępie:

— Zapłacę każde pieniądze, tylko niech pan udowodni, że ja nie jestem temu wszystkiemu winny!

— Niech pan usiądzie i opowiada po kolei — powiedział Przypadek, którego kolarstwo zawsze fascynowało jako sport, dlatego był gotów wziąć tę sprawę nawet po kosztach. Przewornie postanowił się z tym nie zdradzać.

— Kiedyś byłem kolarzem, potem miałem sklep z rowerami, a od piętnastu lat organizuję różne wyścigi. Przez jakiś czas głównie jednodniowe klasyki, znaczy kryteria, a od pięciu lat pierwszą etapówkę, Wyścig Południowomazowiecki. Trochę się rozpycham między Hubalem a Tour de Mazowsze. — Tokarek spojrzął na Przypadka pytającym wzrokiem i z uznaniem przyjął fakt, że nie musi mu tłumaczyć, czym są te wyścigi kolarskie. — W pierwszym roku miałem dwa etapy jednego dnia, a w tym już nawet cztery, chociaż w trzy dni. Na więcej mnie nie stać. Ciężko u nas z tą branżą. Wszystko bierze Czesio Lang. I sponsorów, i telewizję. A dla reszty zostają ochłapy, z których nie ma jak wyżyć...

— Do rzeczy poproszę. — Jacek po pierwsze, wielce sobie cenił postać Czesława Langa i to, co udało mu się zrobić z Tour de Pologne, a po drugie, był chronicznie uczulony na

biznesmenów, którym zawsze jest pod górkę i nic nie zarabiają na swoim interesie, ale z jakimś masochistycznym uporem pozostają przy nim, zamiast rzucić go i zająć się czymś innym, dochodowym.

— No przecież mówię. Ten czwarty etap wymyśliłem sobie jako taki królewski. Pięć rund naokoło Szydłowca, z przejazdem przez Altanę, najwyższy szczyt Mazowsza. Niby tylko czterysta osiem metrów ma, ale ten podjazd to naprawdę miejscami sztywny jest, prawie dziesięć procent, choć takimi schodkami. Na szczęście selektywny jak diabli.

— No i Czerczyński w tym roku uciekł na nim peletonowi. — Jacek postanowił przyspieszyć narrację swojego klienta.

— Oglądał pan transmisję?

— Niestety byłem wtedy zajęty. Ale czytałem potem artykuły, stąd wiem, że na szczycie trafił go piorun.

— Ale to przecież niemożliwe! — oburzył się Tokarek i ponownie spojrzął z uznaniem na Przypadka. — Widzę, że śledzi pan na bieżąco te wydarzenia. Ale niech pan pomyśli, jakby go walnął piorun, toby się nie podniósł. A on tylko ręce ma trochę osmalone, ogłuchł na jakiś czas. No i nic nie pamięta parę kilometrów wstecz. Najgorsze, że się motocyklista z kamerzystą wywrócili chwilę wcześniej, bo się ślisko zrobiło na drodze. Nic nie widzieli, nic nie nagrali.

— I nikogo tam nie było?

— Nikogo poza tym idiotą Klekotem Zeusem. Pan wie, ta Altana to przecież żadna góra, a mój wyścig to nie Tour de France. Na mecie było sporo osób, po miejscowościach po drodze też. Ale tam przed szczytem akurat pusto, bo te burze z gradem zapowiadali, więc nikt się tam nie odważył pójść. No i mnie Krulikowski oskarża o to, że to przeze mnie ten cały wypadek, bo nie chciałem skrócić etapu o jedno kółko. Dlatego Czerczyński cały czas jest w szpitalu i nie może jeździć. Chce milion złotych odszkodowania dla siebie i milion dla Czerczyńskiego!

— Za wypadek?

— Za konsekwencje. Bo niby bez jego gwiazdy nie chcą zapraszać tej jego ekipy Skijumpers na żadne wyścigi. Nic dziwnego, wymyślił sobie, że zbuduje zespół z jedną gwiazdą i nastolatkami, co to nie zrobiły kariery w skokach narciarskich. Że niby tacy szczupli, drobni, silne nogi mają, to się w kolarstwie na górali świetnych nadają. Może to i niezły pomysł, ale na wiele lat. A on by chciał, żeby dzięki Czerczyńskiemu od razu zapraszali go na wyścigi, a te młodziaki, co to ich właściwie za darmo ma, by się przy nim objężdżały.

— A pan go nie z tego powodu zaprosił tutaj?

— Fakt, lubię Jarka. Jak ja kończyłem karierę, to on akurat był juniorkiem i przez rok w jednej ekipie jeździliśmy. Nie zrobił kariery, to był słaby czas dla naszych zawodników, brali nas tylko do czarnej roboty, żebyśmy tym z Zachodu pomagali. Teraz to wiadomo, Majka, Kwiatkowski, pan zobaczy, że oni porobią kariery. A on był pewnie tak dobry jak Baranowski, zresztą parę razy z nim wygrał. No, ale nie poszło mu, bo to rogata dusza i nie zawsze potrafi się podporządkować zespołowi. Parę razy pojechał w ucieczce, choć miał zakaz. A to sport, wbrew pozorom, bardzo zespołowy. Przegapił swój moment, a potem było mu ciężko. Ale go lubiłem, to dałem mu szansę i tylko dlatego tych Skijumpersów zaprosiłem na wyścig. Jakbym wiedział, że Krulikowski będzie chciał wykorzystać ten nieszczęśliwy wypadek.

— Wypadku nie mógł pan przewidzieć. I Krulikowski raczej też nie. No, chyba że uważa pan inaczej?

— Że on to wszystko skombinował? Nie, chyba raczej nie. Po prostu raczej skorzystał z okazji.

— Podejrzewa pan kogoś, że mógł się przyczynić?

— Jak dla mnie Krulikowski coś strasznie kręcił. Poprzedniego dnia chwali się, że jego zawodnik wygra etap, a następnego każe go gonić swojej drużynie i żąda ode mnie, żebym przerwał wyścig.

— No ale on chyba nie mógł być na górze i razić piorunem Czerczyńskiego?

— No nie, ale to mógł zrobić ten idiota Klekot, który leciał obok Czerczyńskiego. To wariat jest kompletny, pewnie pan wie, kiedyś był znanym kibicem, który czekał na przełęczach górskich na kolarzy w całej Europie. Zawsze przebierał się za Zeusa i popędzał ich piorunem. Szczególnie naszych. Kiedyś przewrócił nawet Czerczyńskiego, jak był w ucieczce na Criterium du Dauphiné. To mogła być jego szansa, ale po tej wywrotce Czerczyński się poobijał i spadł w klasyfikacji. A Klekota wszyscy znienawidzili i miał zakaz obecności przy trasie. Nie było go widać na żadnym wyścigu przez kilka lat, pojawił się dopiero teraz na Altanie.

Sprawa przeciwko Jackowi Przypadkowi wzbudziła ogromne zainteresowanie w Warszawie, wykraczające daleko poza kręgi prawnicze. Dlatego też sala rozpraw, w momencie gdy pojawiła się na niej sędzina, cała była kolorowa i bez umiaru rozgadana. Trwało to zresztą dłuższy moment, zanim uciszyło się na tyle, że można było rozpocząć rozprawę.

Po dopełnieniu formalności mecenas Sawczuk-Keller rozpoczął przesłuchanie swoich klientów na okoliczność, która doprowadziła do tego, że jeden z nich został pobity przez drugiego. Wyznania Romana i Gabrysi raz po raz przerywane były głośnymi ochami i achami pochodzącymi ze strony publiczności. Dał się nawet słyszeć głośny szloch jednego z widzów do głębi przejętego faktem, iż nieszczęsna para musiała ograniczać wzajemne kłótnie w godzinach nocnych. Łkającego, ubranego we wspaniałą wzorzystą koszulę, musiał zresztą wyprowadzić z sali jego kolega.

Gdy już Sawczuk-Keller zakończył swoją część przedstawienia, podniósł się Błażej siedzący obok Jacka. Wcześniej zrezygnował z pytań do Romana, uznawszy, że lepiej zacząć swój występ od Gabrysi.

— Mówi pan więc, że doznał wprost niestychanych cierpień przez mojego klienta? — zapytał z niewinną miną Sakowicz junior, zerkając w stronę Przypadka.

— Mam na dowód obdukcję ze szpitala.

— Ale to chyba nie pan Przypadek pana pobił?

— Sprzeciw! — Sawczuk-Keller podniósł się z miejsca. — Pan mecenas zna odpowiedź na to pytanie i dobrze wie, że pobicie było skutkiem prześladowań jego klienta, o które oskarżają go moi klienci.

— Podtrzymuję — powiedziała sędzina i uznała, że powinna od razu wręczyć obu zawodnikom ostrzegawcze żółte kartki. — Proszę jednak, panie mecenasie Sawczuk-Keller, o nieformułowanie wniosku, że pobicie było skutkiem prześladowań, bo to, czy tak istotnie jest, stanowi przedmiot niniejszego postępowania. A pana, panie mecenasie Sakowicz, proszę o nietraktowanie z ironią powodów.

— Będę się starał, wysoki sędzie, choć nie będzie to łatwe w sprawie tak kuriozalnego oskarżenia.

— Panie mecenasie, czy jest ono kuriozalne, zadecyduje wysoki sąd.

— Oczywiście. — Błażej przełknął drobną porażkę, choć zobaczył kątem oka, jak bardzo cieszy się z niej jego przeciwnik. — Proszę zatem powiedzieć wysokiemu sądowi, czy czuł się pan prześladowany wyłącznie przez pana Przypadka czy kogoś jeszcze?

— W zasadzie to nikt nas tam nie lubił. No przecież normalnie, zaraz jak się tam wprowadziliśmy, to wszyscy powinni do nas wpaść z winem i ciastkami, zaproponować jakąś imprezę powitalną, jak to się dzieje w każdym kulturalnym kraju, gdy obok wprowadza się para gejów. A najgorsza oprócz tego detektywa była ta jego sąsiadka, ta stara raszpla Bamber. Ona była niewiele lepsza od niego. Ale z nią jakoś byśmy sobie poradzili, gorzej było z tym detektywem i jego durnym zakazem kłótni!

— Dlaczego go posłuchaliście?

— Sprzeciw! — zaprotestował Sawczuk-Keller. — To nie ma związku ze sprawą.

— Ma i zaraz to udowodnię, o ile wysoki sąd mi na to pozwoli.

— Pozwalam.

— Słucham, panie Gabrielu, dlaczego przystaliście na propozycję pana Przypadka? — zapytał Błażej i znów zauważył, że Sawczuk-Keller się uśmiecha. Czyżby przewidział to jego pytanie? To dlaczego protestował? To szczwany lis jest.

— Pan Przypadek wykorzystał naszą trudną sytuację materialną. — Usta Gabrysi wygięły się w podkówkę, a Błażej nie miał już wątpliwości, że Sawczuk-Keller perfekcyjnie przygotował go do tego przedstawienia. — Otrzymaliśmy wcześniej to mieszkanie od fundacji wspierającej związki nieheteronormatywne, ale zaczęła ona mieć problemy finansowe, które nie pozwoliły jej na kontynuowanie tego wspianego dzieła. No i wtedy pan Przypadek zaproponował, że weźmie na siebie nasz czynsz, pod warunkiem iż będziemy się kłócić o określonych godzinach. Byliśmy w beznadziejnej sytuacji. — Tym razem zaczęły szlochać na widowni trzy osoby, ale żadna z nich nie miała zamiaru wyjść z sali, więc sędzina musiała zwrócić im uwagę:

— Proszę o spokój!

— Wydaje mi się jednak — kontynuował Błażej, gdy zapadła cisza — że nie było poza naszymi możliwościami finansowymi opłacać sobie czynszu za mieszkanie.

— Tak, ale wtedy nie moglibyśmy sobie pozwolić na coroczny wypad do Grecji i na Wyspy Kanaryjskie. A do Chorwacji musielibyśmy jeździć samochodem! — odpowiedział niemal zdziwiony Gabrysia i znów odezwało się kilka krótkich szlochów, które umilkły wszakże pod wpływem wzroku sędziny. — Tak, wiem, dzisiaj, gdybyśmy tylko przypuszczali, do jakiego to nieszczęścia doprowadzi, nie wzięlibyśmy tych przeklętych pieniędzy, ale wtedy wydawało nam się to niegroźne. Nie zналиśmy się aż tak dobrze i nie przypuszczaliśmy, że będzie to stanowić taki problem w naszym związku — deklamował Gabrysia, a w Błażeju rósł podziw dla mecenasa Sawczuka-Kellera i jego sposobu przygotowania klientów do rozprawy. — Ale on to wiedział. On zawsze przecież mówi, że ludzie są banalnie przewidywalni. I pewnie przewidział, że tak zniszczy nasz związek.

— Doprawdy? — Błażej się uśmiechnął, bo wreszcie znalazł punkt zaczepienia, o który mu chodziło. — Z tego, co widzę, siedzieli panowie obok siebie i nie wyglądali na pogniwanym.

— Sprzeciw! — odezwał się Sawczuk-Keller. — To nie ma związku ze sprawą.

— Wprost przeciwnie. Mój klient został pozwany o zniszczenie związku, podczas gdy, jak widzę, związek ten kwitnie, co zapewne mogłoby potwierdzić wielu z tu obecnych. — Błazej wskazał na publiczność, wśród której jego oświadczenie wywołało duże zamieszanie. Mecenasa Sakowicz miał nawet wrażenie, że niektórzy zamierzali rzucić się do ucieczki i zaczęli się przepychać w stronę wyjścia. — Dlatego będę chciał ich powołać na świadków.

Pan Fryderyk odkrył swoją atrakcyjność dla płci przeciwnej już pierwszego dnia szkoły podstawowej, kiedy dwie koleżanki, ku zgorszeniu rodziców i nauczycieli, pobiły się o to, która zajmie miejsce w ławce obok siedmioletniego Przypadka. Wtedy jeszcze nie do końca rozumiał, jak to działa, ale miał przecucie, że ułatwi mu to życie i uczyni je wielce przyjemnym. Miał rację, choć nie podejrzewał, iż także skomplikuje to wiele spraw. Ale te komplikacje dopadły go dopiero ostatnio.

Trzeba jednak przyznać, że jak to nieszczęścia, przyszły w parze. Jednocześnie żona wystawiła mu walizki za drzwi, a aktualna sympatia, co do której był pewien, że przyjmie go z otwartymi ramionami, wyjechała w siną dal bez słowa pożegnania. Dobrze chociaż, że ten jeden raz syn wykazał z nim solidarność i przygarnął go do swojego mieszkania. Dzięki temu wciąż miał klucze...

— Co tak szybko? — zapytała Malwina, słysząc dźwięk otwieranych drzwi. — Skazali cię od razu na dwadzieścia lat ciężkich robót czy czegoś zapomniałeś?

— To raczej ty zapomniałaś się pożegnać. — W głosie pana Fryderyka nie było cienia wyrzutu. Wiedział, że nie ma sensu zwracać głowy kobietom pretensjami czy też próbować brać je na litość dla biednego, skrzywdzonego i porzuconego przez nie misia. Dlatego starał się jak zwykle być maksymalnie czarujący i uśmiechnięty. A jednak słowa mecenasa sprawiły, że Malwina cała zesztyniała i spojrzała niechętnie na Przypadka seniora.

— Nie wiedziałam, że masz klucze do tego mieszkania...

— Posłużyła ci ta podróż w Himalaje. Jesteś jeszcze dużo piękniejsza niż przedtem.

Po tych słowach Malwina nie mogła się nie uśmiechnąć, choć nie był to wyraz zadowolenia z powodu usłyszanych komplementów.

— Frydziu, odpuść sobie. Myślałam, że zrozumiałeś aż za dobrze, że mój wyjazd oznacza definitywny koniec naszego związku.

— Z pewnością oznaczał zamknięcie pewnego etapu. Ale dlaczego nie mielibyśmy zacząć nowego? Ja już teraz jestem po rozwodzie, nie mam zobowiązań i zresztą nie chcę ich mieć. Moglibyśmy przeżyć wspólnie kilka pięknych chwil. — Pan Fryderyk zachowywał wciąż stosowną odległość od byłej dziennikarki, choć zbliżał się do niej milimetr po milimetrze.

Malwina się go nie bała, wiedziała, że ostatnią rzeczą, do jakiej mógłby się uciec mecenas, była przemoc. Rozumiała przy tym, że wciąż wierzył w swoją ogromną atrakcyjność i siłę słownej perswazji. I uznała, że to najlepszy moment, żeby raz na zawsze wyjaśnić pewne nieporozumienia.

— Widzę, że Jacek ci nie powiedział, dlaczego z tobą byłam.

— Jacek? A co on ma do tego? Wiem, podobał ci się, pewnie dlatego, że jest do mnie trochę pod pewnymi względami podobny.

— A nie zauważyłaś, że z nim teraz mieszkam?

— Zakładam, że traktujesz go jako namiastkę mnie. Ale po co zadowalać się erzaczem?

Malwina jeszcze chwilę wcześniej chciała zachować pewną delikatność tłumaczenia, ale słowa mecenasa pozbawiły ją tej ohoty.

— Zrozum, byłam z tobą tylko i wyłącznie dlatego, że chciałam zaskoczyć twojego syna. I jeśli ktoś miał być namiastką, to tylko ty. Zatem, zgodnie z twoją radą, postanowiłam przestać zadawać się erzacem i spróbować sięgnąć po oryginał. Czy wyraziłam się dostatecznie jasno?

Mina pana Fryderyka była ostateczną odpowiedzią na pytanie Malwiny, dlatego jego usta mogły milczeć. Jednak okrutność tej myśli wciąż nie mogła się przebić do świadomości mecenasa. Miał być tylko narzędziem? Zabawką, przy pomocy której ktoś miał dokuczyć jego synowi? Nie, tego nie mógł pojąć. Przecież od niepamiętnych czasów był w centrum zainteresowania kobiet! Licząc od tej przygody w podstawówce, to już było pięćdziesiąt kilka lat!

— Cześć, jeszcze mnie nie zamknęli. Chociaż Błażej chyba nie obrał najlepszej taktyki... — Jacek, który przed chwilą pojawił się w domu, widząc ojca, urwał swoją wypowiedź w pół słowa. — Dzień dobry, tato. Chyba nie byliśmy umówieni?

— Naprawdę muszę się umawiać, jeśli chcę odwiedzić mieszkanie syna?

— Jeśli chcesz to zrobić w trakcie jego nieobecności, to chyba wypadałoby uprzedzić?

— Nie ma sensu spierać się o drobiazgi — powiedziała Malwina. — Twój tata i tak już wychodzi i mam wrażenie, że nie będzie nas więcej odwiedzał.

— Ależ niech odwiedza, zapraszamy, prawda, Malwinko? — Detektyw stanął obok byłej dziennikarki i objął ją ramieniem. Żarska w pierwszej chwili zeszytniała, ale już po kilku sekundach odwzajemniła gest Jacka, obejmując go w pasie. — Tylko jeślibyś mógł, tato, oddać mi w końcu klucze, byłbym wdzięczny. Wyprowadzając się, powiedziałeś, że kładziesz je w przedpokoju, ale chyba jednak przez pomyłkę zostały w twojej kieszeni. Już dawno chciałem cię o to prosić, ale się jakoś nie składało. A teraz potrzebny mi jest drugi komplet dla Malwiny. Nie jest zbyt wygodnie korzystać tylko z jednego, a nie chce mi się dorabiać wszystkich kluczy.

Pan Fryderyk wciąż nie dowierzał w to, co widzi, i co zabawne, miał przecież sporo racji. Jedno było tu niewątpliwie bezsporne: jako mężczyzna poniósł absolutną klęskę i choć przecież nie rywalizował bezpośrednio z synem, to mógł winić właśnie jego za nią.

Stary mecenas sięgnął do kieszeni po klucze. Wyciągnął rękę z nimi w stronę obojga. Przez chwilę ani Jacek, ani Malwina nie kwapili się, by je odebrać, a gdy w końcu się na to zdecydowali, zrobili to jednocześnie. Rozbawiło to ich oboje, ale widząc smutną minę pana Fryderyka, stłumili śmiech.

— Zamknę z tobą drzwi, tato — powiedział Jacek, odbierając klucze od ojca i przekazując je Malwinie.

Stanisław Krulikowski zawsze uważał, że ma misję. Kiedyś sądził, że przejmie pałeczkę po Szurkowskim i Sozdzie i znów uczyni polskie kolarstwo wielkim. Niestety jednak miał pecha i został przyłapany na drobnym przemyśle, jaki wtedy uprawiała większość polskich sportowców wyjeżdżających na zagraniczne zawody. To znaczy może gdyby przemyt był drobny, to by nie wpadł, ale on postanowił hurtowo sprowadzić pewien deficytowy towar, którego brakowało w Polsce. A tego celnicy mimo łagodności, z jaką spoglądali na polskich sportowców, tolerować już nie mogli.

Wyleciał więc z kadry narodowej i po jakimś czasie poczuł, że ma misję budowania fantastycznych rowerów. Pomysł wydawał się niezły, pech chciał, że kończył się system deficytów i braków i wkrótce polski rynek zalała fala tanich importowanych rowerów.

Złośliwcy jednak twierdzili, że jego porażka na tym rynku to efekt tego, że Krulikowski do budowy swoich pojazdów używał tak tanich i wybrakowanych części, że za cud należy uznać, iż rowery nie rozpadały się po drodze z jego fabryczki do sklepu.

Potem miał jeszcze kilka innych misji, które zawsze polegały na tym, żeby jak najmniej zainwestować, a jak najwięcej z tej inwestycji wyciągnąć. Stąd wziął się również pomysł stworzenia grupy kolarskiej Skijumpers. Zrobiło się akurat głośno o tym, że marnują się młode sportowe talenty skoczków narciarskich, którym tak wiele nie trzeba do życia, bo w większości wywodzą się z ubogich góralskich rodzin. Krulikowski uznał więc, że ma szansę zostać jednocześnie zbawcą polskich skoków narciarskich i kolarstwa, tworząc drużynę wybitnych specjalistów od jazdy po górach. Podobno tą samą drogą chcieli podążać słoweńscy skoczkowie, na czele z Primożem Rogličem. Miał nadzieję, że błyskawicznie przyciągnie bogatych sponsorów i znów nie będzie wydawał pieniędzy, a jedynie liczył tylko zyski. Jednak sponsorzy jakoś nie chcieli się ustawiać w kolejkach. Musiał zatrudnić nieco podupadłą gwiazdę — Czerczyńskiego, który wciąż niestety uważał, że powinien dużo zarabiać. Na szczęście kontrakt z nim wywołał zainteresowanie sponsorów i rozmowy szły w dobrym kierunku aż do tego feralnego dnia. Chociaż może teraz ruszy już z kopyta? W dodatku bez konieczności płacenia wysokiej gaży Czerczyńskiemu?

Drzwi gabinetu Krulikowskiego się otworzyły i stanęła w nich doktor Zięba.

— Jak on się czuje? — zapytał szef Skijumpers.

— Dobrze.

— To niedobrze — zafrasował się Krulikowski.

— Mówi, że może już jeździć i nie ma śladu po tym wypadku. Dłonie już w porządku, wyniki wydolnościowe też!

— Nie ma mowy, w moim zespole już nigdy nie pojedzie.

— Ale przecież mówiłeś, że sponsorzy chcą go...

— Sponsorzy chcą rozgłosu, a po tym wypadku rozgłos mają zapewniony.

— Sponsorzy chcą, żeby koszulka pokazywała się gdzieś w transmisjach albo w opisach etapu. Bez tego nie dadzą pieniędzy.

— Dam młodziakom wolną rękę, niech uciekają i się pokazują.

— Nie dadzą rady, to juniorki. Sam wiesz, że w tym sporcie pierwsze prawdziwe wyniki przychodzą po dwudziestym piątym roku życia, a najczęściej koło trzydziestki. Gdzieś tam mogą kawałek pouciekać, ale w wyścigach, gdzie telewizja pokazuje co najwyżej końcówkę. Nic wielkiego nie zwojują. Co innego Czerczyński.

— On już też nic wielkiego nie zwojuje. A już na pewno nie w mojej ekipie. Poradz mi, żeby się nie wyrwał do tego ścigania i czekał spokojnie do końca sezonu, jak dostanie ten milion odszkodowania od Tokarka. I niech nie próbuje się popisywać, jak mu się świetnie jeździ i w jakiej jest formie, bo potem Tokarek powoła świadków i sąd nie wypłaci mu takiej kasy, bo uzna, że ściemniał i mógł jeździć.

— Bo może. — Doktor Zięba kiwnęła głową. — Jest w formie...

— To zaraz przestanie być. Jeszcze ze dwa tygodnie w szpitalu i po formie.

— Obiecałam, że mu Zbyszek podrzuci rowerek treningowy...

— Po co?!

— Lepiej, żeby kręcił kółka we własnym pokoju, niż poszedł na ogólną siłownię w tej klinice i żeby wszyscy zobaczyli, jak potrafi zasuwac przez parę godzin — stwierdziła doktor Zięba, a Krulikowski pokiwał głową.

— W sumie racja. Ale nie prosz mnie o nic więcej dla niego. Pracujesz u mnie parę lat i powinnaś wiedzieć, że ja nie wybaczam żadnych błędów!

— Mogę z nim porozmawiać, żeby tego więcej nie robił. A najdalej za dwa tygodnie powinien być już zupełnie czysty. Zresztą możesz mu zrobić badania.

— Ja nie jestem laboratorium antydopingowe. A on miał być wzorem dla drużyny. Byliśmy o krok od katastrofy! Gdybyś mnie nie uprzedziła w porę, tobym go sam popędzał i kazał chłopakom zwalniać pogoń. A potem on by wygrał i byłaby katastrofa. Jeszcze byśmy musieli zwracać pieniądze graczom, którzy na niego postawili. Ty wiesz, że po tej mojej wypowiedzi bukmacherzy płacili tylko dwa złote za postawioną na jego zwycięstwo złotówkę? Za to za porażkę można było zarobić aż piętnaście. Zbankrutowałbym, jakby mnie pozwali do sądu za tego idiotę Czerczyńskiego. Porozmawiaj z nim i go przekonaj.

— Może ty go przekonasz? — zaproponowała doktor Zięba. — Powiesz mu o tym, że jak nie pojeździ do końca sezonu, to ma gwarantowany milion. Przecież jest chyba realistą, wie, że nie zarobi tyle, nawet jak uda mu się parę rzeczy wygrać.

— Nie obchodzi mnie, czy jest realistą, czy nie. Ja z nim nie będę więcej gadał — oświadczył stanowczo Krulikowski.

— Przecież byłeś u niego w szpitalu po wypadku.

— Przez pięć minut, żeby mi fotografowie dobre zdjęcia zrobili. A gdybym miał z nim porozmawiać, musiałbym powiedzieć mu prawdę, dlaczego nie chcę, żeby jeździł.

— Nie! — krzyknęła przestraszona doktor Zięba.

— Spokojnie, obiecałem ci, że tego nie zrobię i nie wydam cię, że mi wszystko opowiedziałaś.

Franek Klekot smętnie patrzył na swój strój Zeusa. Zjeździł z nim pół Europy. Dzięki niemu stał się sławny. Przez niego rzuciła go żona, która po jednym z występów zapowiedziała, że jak go jeszcze raz zobaczy tak idiotycznie przebranego, to zabiera dzieci i odchodzi. Stał się jego znakiem rozpoznawczym, atrybutem i przekleństwem zarazem. Dlatego uznał, że teraz najwyższy czas wrzucić go do pieca.

Kiedy już jednak podjętą tę decyzję i zdjął fajerki ze swojej kuchni kaflowej, zrobiło mu się go jednak żal. Bez niego przecież właściwie nic nie znaczył. Był tylko zwykłym Frankiem Klekotem, elektrykiem z podwarszawskiej miejscowości. Facetem, który nie dostał się do żadnej edycji Big Brothera ani innego z wielu reality show. Zupełnie nieznanym anonimowym gościem. Kimś, kim nigdy nie chciał być.

Dlatego odwiesił strój Zeusa do szafy i wyszedł na podwórko. Pogoda była ładna, klienci nie dzwoniли, dlatego sięgnął po rower stojący pod daszkiem domu. Wyprowadził go na ulicę, zamknął bramę i ruszył niespiesznie boczną drogą. Kątem oka zauważył, że dogania go jakiś facet. Przyspieszył, ale tamten był młodszy i chyba w lepszej formie, bo zrównał się z nim po kilkuset metrach.

— Widzę, że nasz Zeus w dobrej kondycji. — Goniący Klekota kolarz dostosował do niego tempo.

— Daj mi pan spokój — zachnął się elektryk. — Już nie jestem żadnym Zeusem. A w ogóle kto pan jest?

— Powiedzmy, że kibic kolarstwa. A obecnie rozwiązuję zagadkę wypadku pana Czerczyńskiego.

— Pan z policji?

— Pan z policji jedzie za nami. — Przypadek pokazał ruchem głowy jadącego kilkaset metrów za nimi podkomisarza Łosia.

— To kim pan jest?

— Jasnowidzem, przez którego wizje ludzie trafiają często do więzienia.

— Ja nie zrobiłem nic złego!

— A po co się pan w ogóle pojawił na tej Altanie?

— Jak to po co? Żeby dopingować Czerczyńskiego.

— Nie robił pan tego od wielu lat. W ogóle od wielu lat pan nie kibicował.

— Ale chciałem do tego wrócić. Można powiedzieć, że ciągnie wilka do lasu...

— A elektryka do prądu. Za to Zeusa do burzy. Nie mógł pan wybrać lepszego momentu? Musiał pan zaczynać od dopingowania faceta, któremu może pan popsuł karierę?

— Bez przesady. On wtedy, na Dauphiné, jechał ewidentnie jako stacja przekaznikowa. Pod ostatnią górką musiałyby zaczekać na lidera. A jakby nie zaczął i nawet wygrał, toby z nim nie przedłużyli kontraktu. Ale teraz uznałem, że to się może dobrze sprzedać w gazetach. Że niby ostatni raz dopingowałem go wtedy, gdy sporo przegrał, a teraz wróciłem, żeby go znów dopingować.

Dojechali do przejazdu kolejowego, który zamknął im się tuż przed nosem. Zsiadli z rowerów.

— A skąd pan wiedział, że będzie go można dopingować?

— Panie, przecież w tym wyścigu to same leszcze jechały. A Czerczyński zawsze miał depnięcie pod górkę. Czułem, że przynajmniej spróbuje odjechać, zwłaszcza że zapowiadała to ten Krulikowski. Już przy poprzednim kółku był przed innymi, ale tylko jeszcze niecałe pół minuty. Wtedy się przebrałem za Zeusa i pobiegłem na drogę. Jakby nie ten cholerny deszcz i grad, mogłoby być tak pięknie — westchnął. — Motor się wywalił, myślę nawet, że się po prostu kierowca błyskawicy przestraszył, bo tam jedna za drugą waliły. I sam nie wiem, czy to ta sama trafiła w Czerczyńskiego, czy następna.

— Więc pan też uważa, że jego trafiła błyskawica?

— No a co? Ja biegłem dwa metry od niego, ale mnie też jakoś coś trzepnęło. Ale tak delikatnie, że śladu nie zostawiło. Poza tym ja elektryk jestem. Zwyczajnie takie rzeczy nie robią na mnie wrażenia. Tak że mi nawet żadna pomoc nie była potrzebna. I w ogóle po co pan mnie pyta i co to za sprawa? Przecież tu wszystko jasne.

— Pan Tokarek, dyrektor Wyścigu Południowomazowieckiego, uważa, że nie.

— Pewnie, chce się wyłgać od odpowiedzialności. Widział, co się święci. Ja nawet myślałem, że nie puści wyścigu na ostatnie kółko. A jak zobaczyłem, że jadą dalej, to pomyślałem, że prognozy się zmieniły i nie będzie tej strasznej burzy.

— Więc twierdzi pan, że Czerczyński na pewno został trafiony piorunem? Widział pan to i zezna to w sądzie?

— W jakim sądzie? — Przestraszony Klekot przystanął. — Ja nic nie będę zeznawał.

— Czyli nie widział pan tego pioruna? — Jacek zatrzymał się obok elektryka.

— Panie... Jak właściwie pan się nazywa?

— Przypadek. Jacek Przypadek.

— Ten detektyw? — upewnił się Klekot.

— Tak.

— Panie Przypadek, tam pioruny waliły jeden za drugim. Zresztą jasne, że Czerczyński nie mógł dostać centralnie, bo nie byłoby co z niego zbierać, tylko jakimś rykoszetem. Ale nie

widzę innej opcji, żeby go tak osmaliło. Ma pan jeszcze jakieś pytania, bo spieszę się do klienta?

— To chyba powinien pan wrócić do domu, bo zapomniał pan torby z narzędziami.

— Ja jestem mistrz w swoim fachu, mnie wystarczy śrubokręt. — Klekot wyjął z kieszeni scyzoryk i otworzył. Stojący jakieś sto metrów dalej podkomisarz łoś poruszył się niespokojnie, bo z tej odległości nie był w stanie zobaczyć, jakie ostrze scyzoryka wyprostował elektryk. — Coś jeszcze?

— Nie, to wszystko. Miłej naprawy. — Jacek uśmiechnął się kpiąco. Wsiadł na rower i pojechał. Skinał po drodze głową policjantowi, który jeszcze tylko przez moment patrzył badawczo na Klekota, a potem ruszył za detektywem.

„Że też się ten Przypadek musiał tym zainteresować — pomyślał elektryk. — Słyszałem gdzieś, że on potrafi być bardzo wścibski i odkrywać nie to, co trzeba. Chyba muszę szybciej się upomnieć o moją kasę, bo jak się zrobi afera, to mi może przejść koło nosa?”

Pan Jędrzej Sakowicz nie widział uprzedzie rozprawy, na której jego syn bronił swojego przyjaciela przed zarzutami prześladowania sąsiadów, jednak nie miał wątpliwości, że Błażej nie mógł jej dobrze poprowadzić. Nie miał tych wątpliwości nawet wtedy, gdy młody mecenas nie wszedł jeszcze na salę sądową. Po prostu syn, w sposób dla niego oczywisty, nie był podobny do swego ojca, dlatego nie miał prawa spisać się na miarę Sakowicza seniora w trakcie rozprawy.

Oczywiście pan Jędrzej nigdy w życiu nie chciałby reprezentować tego Przypadka, którego uważał za szatawiłę, utracjusza i z gruntu niepoważną personę, podobną zresztą w tym do swego ojca, a różniącą się jedynie tym, że mimo ogromnych tradycji rodzinnych nie został szanowanym mecenasem. Już samo to wystarczyło, żeby osobnika tego omijać z daleka. I tylko jakiejś wrodzonej przekorze Błażeja przypisywał fakt, że Jacek stał się jego najlepszym przyjacielem.

Niemniej skoro kancelaria Sakowicz & Sakowicz podjęła się obrony owego detektywa, to należało to zrobić w sposób perfekcyjny, aby nie narażać na szwank jej dobrego imienia. A tymczasem, zapoznawszy się pobieżnie z przyjętą przez swego syna linią obrony, pan Jędrzej uznał ją za co najmniej niedopuszczalną i grożącą przegraną. Zwłaszcza że po drugiej stronie stała znana i szanowana kancelaria mecenasza Kellera.

— Co tak ciągle wzdychasz? — zapytała Helena Sakowicz, czytając na fotelu naprzeciwko męża bardzo interesującą autobiografię.

— Doprawdy to robię? Wybacz mi, duszko, to zupełnie nieświadomie. Ale gdy sobie przypomnę, jak Błażej kładzie sprawę tego Przypadka, to nie mogę się opanować. Zepsuje reputację naszej kancelarii.

— To mu coś doradz — powiedziała pani Sakowicz, przekładając kolejną stronę w książce.

— Żartujesz, duszko? Jak mogę mu coś doradzić, skoro on od chwili, kiedy skończył najdalej piętnaście lat, w ogóle przestał się mnie słuchać? Ba, gdybym mu coś doradził, z pewnością zrobiłby na opak, tylko żeby mi dokuczyć. Nie, szkoda mojego czasu i nerwów.

— A kiedy to ostatni raz mu doradzałeś?

— Kiedy? Hmm. No właśnie, kiedy? — Pan Jędrzej zaczął szukać w pamięci owego faktu. Trwało to na tyle długo, że pani Helena zdążyła przeczytać kilka kolejnych stron. — Ale masz na myśli tak życiowo czy zawodowo?

— Życiowo doradzasz mu nieustannie.

— No właśnie — powiedział tryumfalnie pan Jędrzej. — I czy przypominasz sobie, żeby choć raz mnie posłuchał? Nigdy. Zawsze robi na opak. Nawet własną kancelarię założył i gdyby nie to, że szło mu kiepsko, pewnie nadal by ją prowadził.

— Szło mu coraz lepiej — zauważyła pani Helena, ale jej mąż zdawał się ignorować jej uwagę.

— Nawet jego współpraczka wolała wyjść za mąż i wyjechać z Polski, zamiast z nim prowadzić dalej tę kancelarię.

— Jego współpraczka po prostu się zakochała i poszła za głosem serca. Dlatego wtedy uznałam, że najwyższy czas skończyć wasze fochy i wrócić do wspólnej kancelarii. — Pani Helena rzadko dawała mężowi do zrozumienia wprost, jaką ma nad nim władzę. Zresztą pan Jędrzej i tak zwykle tego nie dostrzegał, bo uważał się za głowę rodziny. I jak to z głowami bywa, taki szczegół, że kręci nim szyja, uchodził jego uwadze.

— Ależ duszko, co ty mówisz? To znaczy to prawda, Błażej często stroi fochy, na szczęście jestem na tyle wyrozumiała, żeby przejść nad nimi do porządku dziennego, i dlatego zgodziłem się na ponowną współpracę. Zresztą przede wszystkim dla dobra tradycji rodzinnych, które jak wiesz, wielce sobie cenię.

— Mniejsza o szczegóły. Ale skoro już z powrotem macie wspólną kancelarię, to może byłoby właściwe, gdybyś spróbował mu doradzić. No, chyba że sam nie masz koncepcji, jak poprowadzić tę sprawę. — Pani Helena uznała, że już czas skorzystać z maksymy detektywa Przypadka. I naturalnie broń ta okazała się skuteczna.

— Ależ co ty mówisz, że nie mam koncepcji?! Naturalnie, że mam koncepcję! Jakżebym mógł nie mieć koncepcji?! Jestem adwokatem z ponad trzydziestoletnim doświadczeniem w zawodzie.

— W byciu ojcem też masz ponad trzydziestoletnie doświadczenie, a wciąż nie możesz dogadać się ze swoim synem. Może najwyższy czas zacząć to robić.

— O nie, ja nie mam z tym problemu. To on ma problem z przyjęciem moich uwag.

— Coś czuję, że jednak nie masz tej koncepcji.

— Ależ duszko, naprawdę, jak możesz tak sądzić? — Widać było, że uwaga żony sprawiła panu Jędrzejowi niemal osobisty ból.

— To zróbmy taki mały eksperyment: ty powiesz Błażejowi, jaką masz koncepcję prowadzenia tej sprawy, a jeśli on się nie zgodzi, to ja już nigdy nie powiem, że jesteście identyczni.

— No bo nie jesteśmy. Różnimy się w sposób absolutnie maksymalny. Bardziej w zasadzie się nie da. Czy uważasz, że ja bym się zgodził, abyś nazwała syna Volcan? No, proszę cię bardzo.

— Na temat naszego wnuka na razie nie dyskutujemy. I bądź spokojny, że będziesz kontent z jego imienia.

Jarek Czerczyński z zadowoleniem spojrzął na swoje dłonie. Wygoiły się znakomicie i właściwie nie zostały już żadne ślady po oparzeniach. Już wkrótce będzie mógł chwycić pewnie kierownicę i ruszyć na kolejny wyścig. Czuł, że jest w znakomitej formie. Nawet śmiał się w duchu, że ten piorun musiał naładować go jakąś dodatkową energią. Energią, która teraz potrzebowała ujścia. Najchętniej zaraz by wyszedł, żeby pojeździć, ale szef Skijumpers, za pośrednictwem lekarza ekipy, zabronił mu tego. Niby że jeszcze zdrowie mu

nie pozwala. Ale Czerczyński domyślał się, że szefowi Skijumpers chodzi tylko o odszkodowanie od Tokarka.

Jemu samemu na tym nie zależało. Prawda, pieniądze by się przydały, ale to mógł być już ostatni sezon, w którym miał szansę coś jeszcze wygrać. W październiku kończył trzydzieści sześć lat. Wiedział, że Tour de France od dawna jest poza jego zasięgiem, choć piętnaście lat temu niektórzy dziennikarze twierdzili, że mógłby pokusić się o jakiś etapowy sukces i w trakcie Wielkiej Pętli. Teraz miał ochotę wygrać jeszcze tylko kilka wyścigów niższej kategorii. A może przy odrobinie szczęścia nabiera dla drużyny tyle punktów, że w przyszłym roku Czesiek Lang zaprosi ich ekipę na Tour de Pologne? Albo przynajmniej włączą go do reprezentacji Polski na nasz narodowy wyścig, zrobi odjazd w swoim stylu i tam wygra etap? Tak, to byłoby piękne ukoronowanie jego kariery. Może nawet na dzień założy żółtą koszulkę lidera? Na więcej mu nie pozwolą, ale ta koszulka już na zawsze pozostanie wśród jego trofeów. Tylko musi już ostro trenować, bo inaczej nic z tego.

Usłyszał pukanie do drzwi swojego pokoju w prywatnej klinice. To pewnie Zbyszek Najwer, mechanik Skijumpers, który obiecał mu przywieźć specjalny rowerek treningowy będący na stanie ich ekipy.

— Proszę.

Zamiast sympatycznego mechanika pojawił się ktoś, kogo twarz Czerczyński skądś kojarzył, ale nie mógł sobie dokładnie przypomnieć skąd.

— Dzień dobry — przywitał się gość.

— Dzień dobry. Nie wygląda pan na lekarza.

— Nie. Jestem pana fanem i przyszedłem po autograf — oświadczył beczelnie nowo przybyły, patrząc przy tym na kolarza w sposób dobrotliwo-ironicznie-pobłaźliwy, który nieco przestraszył Czerczyńskiego.

„Jakiś wariat czy co?” — pomyślał kolarz, a głośno zapytał:

— Kto pana tu wpuścił?

— Powiedzmy, że kiedyś pewnej lekarce wróżyłem z ręki. A ponieważ zobaczyłem dobrze płatną pracę w prywatnej klinice, to teraz mi się odwzięczyła.

— Zaraz, pan jest tym jasnowidzem detektywem — odetchnął z ulgą Czerczyński, który przez chwilę obawiał się, że rzeczywiście ma do czynienia z jakimś zwariowanym fanem kolarstwa. Nieraz się na takich natykał i musiał wysłuchiwać ich długich tyrad, jak powinien jeździć, by wygrywać.

— Zgadł pan.

— Ale po co pan tu przyszedł?

— Na zlecenie pana Tokarka staram się udowodnić, że jednak nie trafił w pana żaden piorun.

— No to ja panu nie pomogę. — Czerczyński wzruszył ramionami. — Ostatnie, co pamiętam, to jak wyjeżdżam z Szydłowca i faktycznie widzę tę burzową chmurę przed sobą. Nawet tego pseudo-Zeusa, jak mnie zaczął dopingować, kompletnie nie pamiętam.

— Ale chce pan milion złotych odszkodowania od Tokarka.

— To nie ja, to Krulikowski. A ja, wie pan, nie mogę mu się sprzeciwiać. Mnie te pieniądze średnio interesują, ja chcę jeździć. Jasne, nie pogniewam się, jak bańka wpadnie na konto, ale myślę, że wątpię. Ten milion to chyba tak dla picu, żeby media zainteresować. Zdziwię się, jak stówę wyciągniemy. — Ktoś znów zapukał. — To pewnie mój mechanik. Proszę.

Do pokoju wszedł uśmiechnięty Zbyszek Najwer, niosąc specjalny rower treningowy. Skinął głową Jackowi, biorąc go pewnie za lekarza albo rehabilitanta, i podszedł do Czerczyńskiego.

— No, mistrzu, może mistrz trenować.

— Dzięki! — Kolarz usiadł na rowerku i zakręcił pedałami z takim wyrazem satysfakcji na twarzy jak palacz, który musiał odstawić swój ulubiony nałóg na kilka dni. — No wreszcie wiem, że żyję.

— Tylko powolutku. Zośka mówi, że jeszcze mistrzowi nie wolno za dużo kręcić. — Mechanik spojrzął z uśmiechem na pedałowującego Czerczyńskiego.

— Powiedz ZetZet, że te jej badania są do kitu. Czuję, że wjechałbym na Tourmalet!

— Założę się, że najwyżej do połowy góry — wyzłosił się mechanik.

— Ty się tak nie zakładaj, bo znowu stracisz kasę jak na swoich konikach — odciął się z uśmiechem kolarz.

— Spokojnie, moje koniki ganiają zgodnie z przewidywaniami. Gdyby tak jeszcze kolarze chcieli dojeżdżać zgodnie z planem do mety, byłbym bogatym człowiekiem.

— A kogo pan obstawia na najbliższe Tour de France? — zapytał Jacek.

— Nigdy nie zdradzam swoich typów. — Mechanik się uśmiechnął. — Chyba że żonie.

— Że ci jeszcze Zośka nie wybiła tego z głowy — powiedział Czerczyński, zsiadając z roweru. — Pan jest jasnowidzem, panie Przypadek, pan mu powie, ile straci w najbliższym roku na tych swoich zakładach...

— Pan jest tym detektywem?! — Mechanik spojrzął na Przypadka z przerażeniem, a Jacek kiwnął głową. Wtedy Najwer zerknął na rower treningowy, który przyniósł. — Wiesz co, Jareczku, chyba przyniosłem ci nie ten rower, co trzeba. Zabiorę ci i przyniosę inny.

— Zwariowałeś!? — Czerczyński chciał zabrać sprzęt Najwerowi, ale ten mocno go trzymał. — Jest świetny.

— Wiem. Ale go potrzebujemy. Wpadnę jutro z nowym. Do widzenia! — Mechanik niemal wybiegł z pokoju kolarza z rowerem w rękę.

— Kompletnie nie wiem, co mu się stało — powiedział zdumiony Czerczyński.

— On się zajmuje też pańskimi rowerami na wyścig?

— Nie. Mam specjalne rowery od polskiego producenta. Sam nadzoruję ich wykończenie i serwisuję. No chyba że się coś zdarzy na trasie, to jakiś drobiazg mi Zbyszek poprawi. Ale generalnie zajmuję się nimi sam.

Krulikowski wracał właśnie ze spotkania ze swoim adwokatem w znakomitym humorze. Mecenaz zapewniał go, że jego zdaniem sprawa jest do wygrania, choć uprzedzał, że łącznie z apelacjami może potrwać kilka lat, i doradzał ugodę z Tokarkiem. Krulikowski odpowiedział, że jemu się nie spieszy i sprawa może się ciągnąć, byle była głośna, bo to się przyda jego rozwijającej się grupie kolarskiej. Pośmiali się wspólnie z wynajęcia detektywa Przypadka, bo mimo najszerszych chęci nie byli w stanie uwierzyć, że nawet taki geniusz dedukcji będzie w stanie udowodnić brak kontaktu Czerczyńskiego z piorunem.

Ledwie jednak zasiadł za swoim prezesowskim biurkiem, sekretarka poinformowała go, że przyszedł pan, który twierdzi, że może mu pomóc w walce o odszkodowanie. Krulikowski się zdziwił. Po chwili w jego gabinecie pojawił się mężczyzna, którego wygląd nic nie mówił prezesowi Skijumpers. Ukłonił się jednak Krulikowskiemu grzecznie i się przywitał:

— Dzień dobry, panie prezesie.

— My się znamy?

— A racja, pewnie mnie pan prezes zawsze widział w stroju Zeusa.

— Klekot? — zdziwił się niemile gospodarz, ale jego gość wydawał się tym wcale nie przejmować.

— We własnej osobie — skłonił się elektryk.

— Co pan tu robi?

— Przyszedłem porozmawiać o interesach.

— Nas nie łączą żadne interesy.

— A powinny. Obaj świetnie się znamy na kolarstwie.

Krulikowskiego w pierwszej chwili zatkało, ale potem pomyślał, że to być może jedyna okazja, żeby powiedzieć wprost takiemu wariatowi, co o nim sądzi.

— Pan się nie zna na kolarstwie, pan jest jego zakałą! Takich jak pan powinno się izolować od kolarstwa. Biegają jak wariaci przy trasie i w dupie mają zawodników. Chcą tylko, żeby ich kamera objęła, żeby mieli swoje pięć sekund sławy! A kolarze mają w nosie taki doping. Muszą się rozpychać przez szpaler idiotów, którzy blokują im drogę, zapalają jakieś dymiące race, tak że ledwo mogą oddychać. Ja bym was wszystkich do więzienia powsadzał. Rozumie pan?!

— Skończył już pan? — zapytał spokojnie Klekot.

— Skończyłem. I nie mam ochoty z panem gadać!

— To ja może dodam, że znam się na kolarstwie i na elektryce.

Gość Krulikowskiego, kończąc swoje słowa, zaczął kręcić palcem wskazującym prawej ręki kółka w powietrzu. I choć nie robił tego w okolicach własnej głowy, szef Skijumpers uznał, że ma do czynienia z pospolitym wariatem. To go nieco zdumiało, bo choć nazywał swego gościa idiotą, to jednak był przekonany, że tacy jak on i jemu podobni nie są niespełna rozumu, a jedynie ogarnęła ich obsesja sławy. Dlatego spojrzął zdziwiony na Klekota, który nie przestawał kręcić palcem w powietrzu.

— A co w tym dziwnego, że pan się zna? Przecież pan jest elektrykiem, to musi się pan znać na elektryce. I na dodatek jest pan Zeusem, to i na błyskawicach się pan zna — dodał sarkastycznie.

— To jeszcze dodam, że może bym się i wzruszył tą pana gadką o tym, jak to my przeszkadzamy kolarzom, gdyby nie to, że w peletonie też są tacy, co to dla sławy zrobią wszystko. I zamiast dopingu prawdziwych kibiców wołają inny. — Klekot uśmiechnął się i nie bez satysfakcji stwierdził, że tym razem Krulikowski całą zeszywniał, ale nie wyglądał już na tak oburzonego jego wizytą.

— O co panu chodzi?

— Ja tam przecież byłem i wszystko widziałem. Może jakby kamera się nie popsowała, to inni też by więcej zobaczyli, a tak tylko kawałek było widać.

— Zupełnie nie rozumiem — powiedział szef Skijumpers i trudno mu było nie uwierzyć, tak szczerzy wydawał się w swoim braku zrozumienia.

— To ja postaram się lepiej wytłumaczyć. Jak pan już dostanie tę kasę od Tokarka, to pół od pana i pół od Czerczyńskiego pójdzie na moje konto.

— Chce pan milion złotych?! Za co?!

— Za to, żeby nie przypominać, co ja tam widziałem na górze. Bo wtedy to będą nicy z tego odszkodowania. Czyli albo pan się podziąkuje, ale sam zostanie bez grosza, a drużyna się rozleci.

— Pan zupełnie oszalał! Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— To pan sobie przemyśli i najdalej za tydzień zadzwoni. A jak pan zapomni, to ja sobie przypomnę. I gwarantuję panu, że to zainteresuje dziennikarzy.

Krulikowski był tak zdenerwowany, że najchętniej wyrzuciłby Klekota za drzwi, ale nie zdążył, bo ten sam wyszedł. Zastanawiał się przez moment, czy nie pobiec za nim, żeby chociaż wypędzić go z budynku, gdzie znajdowało się jego biuro. Jednak ochłonął i pomyślał, że zanim zrobi coś głupiego, musi przeanalizować sprawę na chłodno.

„Co ten idiota Klekot zobaczył?! Przecież Czerczyński nie mógł tego mieć przy sobie! A może jakiś ślad po ukłuciu... Ale to za małe, nie mógł tego zauważyć, zwłaszcza że go świeżo też przecież popieścił prąd. To musiało być coś większego. Ale co?! Cholera, muszę sam obejrzeć to nagranie i sprawdzić, czy tam się nie da czegoś zauważyć”

Zbyszek Najwer mógłby teraz, wzorem Maksa Paradysa z Seksmisji, zapłakać i powiedzieć: „Kobieta mnie bijeeee”. Ale on był do tego na tyle przyzwyczajony, że tylko przygryzał wargi i próbował się tłumaczyć. Zwłaszcza że policzki wymierzone przez doktor Ziębę nie były nigdy przesadnie mocne. Miały być tylko wyrazem dyscyplinowania i pokazywania, kto w tym tandemie rządzi. A mechanik po prostu nie miał argumentów, którymi dysponowała ona.

— Kochanie, po prostu spanikowałem!

— Ty zawsze tylko panikujesz — stwierdziła stanowczo doktor Zięba. — Trzeba było zostawić ten cholerny rowerek, niech sobie jeździ.

— Ale jakby ten detektyw zobaczył, jak Czerczyński tak pomyka cały czas na rowerku, toby skumał, że on może spokojnie startować w wyścigach.

— Tak? Stałby przy Czerczyńskim pięć godzin i patrzył, jakie czasy na nim wykręca, gamoniuu?! Zobaczyłby, że trochę macha pedałami i tyle. A teraz mógł się zorientować, że coś kombinujemy.

— Bo już lepiej byłoby nic nie kombinować — zaproponował nieśmiało mechanik i od razu się uchylił, widząc zamach, który brała żona.

— Moglibyśmy nie kombinować, jakbyś nie spanikował i zrobił wtedy, co miałeś zrobić. A tak taka kasa nam przeszła koło nosa!

— Naprawdę nic nie mogłem zrobić. Czerczyński strasznie pilnuje tego swojego roweru.

— Ale przecież nie śpi na nim!

— No prawie, na wyścigach trzyma go w swoim pokoju i nie pozwala mi się do niego zbliżać.

— Mogłeś to zrobić, jak go wzięłam na badania.

— To było za mało czasu, kochanie. Przecież nie mogłem mu tak po prostu czegoś zepsuć. To musiało być coś, co padnie mu później, w drugiej części etapu, żeby odpadł z peletonu i nawet z pomocą chłopaków nie mógł do niego dojść. A on ma ten rower nietypowy, taki dziwny naprawdę.

— Dziwny to ty jesteś! A o tym detektywie na razie nic nie mów Krulikowskiemu.

— To znaczy... e... tego... myślałem... — Mechanik tym razem nawet nie próbował się uchylić przed policzkiem.

— Ty idioto! Przecież wiesz, że od myślenia jestem ja. Dlaczego poleciałeś od razu do niego z jęzorem?!

— Spotkał mnie, jak wracałem z tym rowerkiem, i pytał się, dlaczego nie zaniósłem go Czerczyńskiemu. To mu powiedziałem. A potem się pytał jeszcze o te pigułki.

— EPO?

— Tak.

— Co się pytał?

— No, czy sprzątnęliśmy wszystkie opakowania i czy nie ma śladu.

— Co powiedziałeś?

— Że oczywiście tak. Ale on mówi, że musi jeszcze z tobą pogadać i musisz z nim obejrzeć tę transmisję, czy tam nie widać czegoś podejrzanego.

— O co mu może chodzić? — zdziwiła się doktor Zięba.

— Nie wiem. Ale chwilę wcześniej wychodził od niego ten Klekot, wiesz, niby-Zeus. A jak Krulikowski się dowiedział, że Przypadek był u Czerczyńskiego, to stwierdził, że musi sobie z nim porozmawiać.

— Następny idiota. Czy wszyscy mężczyźni muszą być takimi idiotami? Przecież od tego Przypadka trzeba się trzymać jak najdalej. A już parę razy słyszałam, że wszyscy faceci chcą być od niego sprytniejsi i dlatego skończyli w pudle albo jako bankruci.

— Ja słyszałem, że on taki raczej łasy na kobietki.

— No to jakbym była podlotkiem mrugającym powiekami, tobym może uwierzyła, że na mnie poleci i będzie mi jałd z ręki. Ale nie jestem i dlatego wiem, że trzeba go trzymać jak najdalej! Muszę pogadać z Krulikowskim i wybić mu to z głowy. A ty się idź umyj.

— No co ty? — obruszył się Najwer. — W robocie jestem, smarami muszę trochę pachnąć.

— To nie smar śmierdzi, tylko twój brud. Jakbyś się tydzień nie mył.

— Zwariowałaś? Przecież wiesz, że biorę co drugi dzień prysznic.

— To co tu tak śmierdzi?

— Ostatnio się tu pełno kręci tych bezdomnych. W bazie i koło bazy. Muszę ich przeganiać co i raz albo wołać gościa z ochrony... Co się tak dziwnie patrzysz?

— Nie... nic... — wyszeptła ze zgrozą doktor Zięba i dużo głośniejszym głosem powiedziała. — Ten Przypadek to mądry człowiek. On na pewno wyjaśni, co się tam stało!

— Zośka, czyś ty... — Zbyszek Najwer był bliski wypowiedzenia słów, które mogły się dla niego skończyć bardzo niedobrze. Zauważył nawet, że była zapaśniczka bierze już zamach, ale tym razem jej dłoń nie spoczęła na jego policzku. Jej ręka najpierw owinęła się wokół jego szyi, a następnie palce zakneblowały usta mechanika, który mógł już tylko bełkotać.

— Zamknij się — szepnęła groźnie doktor Zięba. — Pisali w gazetach, że ten Przypadek od jakiegoś czasu posługuje się bezdomnymi do śledzenia podejrzanych. Rozumiesz? — przerażony Najwer kiwnął potakująco głową. — Następnym razem, jak zobaczysz tu jakiegoś bezdomnego, to go nie przeganiaj, tylko powiedz o tym mnie.

— Co chcesz zrobić? — zapytał przestraszony mężczyzna, którego usta w międzyczasie zostały uwolnione.

— Ugościć go. Bardzo serdecznie — powiedziała doktor Zięba, dodając do słów jeden z najbardziej przerażających uśmiechów, jakie kiedykolwiek widział jej mąż.

Jacek Przypadek przez wiele lat biegał do osób, które musiał przesłuchać w prowadzonych przez siebie sprawach. Od niedawna wprawdzie zaczął do nich jeździć rowerem, ale z radością przyjął telefon od szefa grupy kolarskiej, że ten koniecznie musi z nim porozmawiać

i w związku z tym osobiście się do niego pofatyguje. Dlatego teraz witał go u siebie, zapraszając, żeby usiadł.

— Ja tylko na chwilę — powiedział Krulikowski. — Żądam, stanowczo żądam, żeby pan nie nachodził moich zawodników.

— Jak na razie byłem tylko u jednego.

— To wystarczy. Nie życzę sobie, żeby pan z nimi rozmawiał.

— Zostałem wynajęty przez pana Tokarka. A pańscy zawodnicy to są wolni ludzie, mogą rozmawiać, z kim chcą.

— I tu się pan myli. Już im tego stanowczo zabroniłem.

— Tak się pan mnie przestraszył?

— Ja się nikogo nie boję! — obruszył się Krulikowski. — Pan wie, kogo ja znam?!

— Tak, wiem. Na pewno samych bardzo ważnych ludzi na stanowiskach w ministerstwach, gazetach i tym podobnych. Ale wie pan, ja się już do tego przyzwyczaiłem i w zasadzie tylko takie osoby denerwuję.

— Niech się pan lepiej zastanowi, czy i mnie warto denerwować.

— Pan się mnie naprawdę przestraszył. — Jacek się uśmiechnął. — A jeszcze niedawno śmiał się pan, że wzięłem tę sprawę.

— Skąd pan wie? — Krulikowskiemu nieco zrzędała mina. — Rozmawiał pan z moim adwokatem?

— Nie musiałem. Domyśliłem się. Tylko błagam, niech pan nie patrzy na moją kulę. Ostatnio wszyscy się na nią gapią, wierząc, że mogłem tam naprawdę coś zobaczyć.

— No to skąd pan to wie?!

— To bardzo proste. Pan Tokarek zadbał o to, żeby wszyscy szybko się dowiedzieli, kogo wynajął. Więc wie pan o tym od jakiegoś tygodnia. Do tej pory nie spędzało to panu snu z powiek. Dopiero dziś zadzwonił pan do mnie i zażądał natychmiastowego spotkania. Czyli otrzymał pan jakąś informację, po której śmiech zamarł panu na ustach w jednej chwili. Nie wiem jedynie, czy dotyczyła mnie ona bezpośrednio, czy tylko pośrednio. W każdym razie pańskie rozbawienie biorące się zapewne z tego, że ciężko udowodnić nieuderzenie pioruna w pana Czerczyńskiego, zmieniło się w strach, że do udowodnienia jest coś dużo łatwiejszego.

Krulikowski, który do tej pory, zgodnie ze swoją zapowiedzią o wpadnięciu tylko na chwilę, wciąż stał, usiadł na wskazanym mu uprzednio przez Jacka krześle i zastanawiał się przez moment, jak to się stało, że z myśliwego, który ostrzeliwuje bezbronną zwierzynę, sam stał się tarczą strzelniczą.

— Pan się myli. — Tylko na tyle było w tej chwili stać szefa Skijumpers i on sam musiał przyznać, że nie zabrzmiało to autentycznie.

— To skoro obaj już wiemy, że się nie mylę, zadam panu kilka pytań.

— Nie mam zamiaru odpowiadać na żadne z nich!

— Szkoda, żeby później zadał je publicznie pan Tokarek. On też zauważył, że pana grupa zaczęła gonić Czerczyńskiego, co jeszcze nigdy się chyba w kolarstwie nie zdarzyło, ale nie pomyślał, że w tej pogoni może się kryć zagadka pioruna. Zresztą wszyscy zajęli się tylko wypadkiem pana kolarza i nie pomyśleli, że może on mieć jakikolwiek związek z tą dziwną pogonią.

— Bo i nie ma.

— To jak pan ją wytłumaczy?

— Nic nie muszę tłumaczyć. — Krulikowski podniósł się i chciał ruszyć do wyjścia, ale nagle zatrzymał się i uśmiechnął. — Ale jak chce pan koniecznie wiedzieć, to powiem. Ten etap miał wygrać inny kolarz z mojej grupy. A Czerczyński nigdy nie słuchał poleceń przełożonych. Dla niego kolarstwo to wciąż sport indywidualny. A to jest sport zespołowy, w którym nawet najlepsi nic nie osiągną, jak szef drużyny nie powie, że dziś mają wygrać oni, a nie kto inny. A tego dnia miał wygrać kto inny. Czerczyński powinien tylko na tym przedostatnim podejździe rozerwać peleton, żeby przygotować grunt dla kolegi. A tymczasem poszedł na całość sam. Musiałem podjąć taką decyzję. Nie mogę tolerować nieposłuszeństwa.

— Bystry z pana gość. W jednej chwili wymyślić taką bajeczkę. — Detektyw patrzył z rozbawieniem, jak szef Skijumpers się zapowietrza z oburzenia. — Panie Krulikowski, gdyby odpowiedź na moje pytanie była tak łatwa i oczywista, po prostu albo przekazałby mi ją pan bez chwili zastanowienia, albo przemilczał. Skoro zdecydował się pan nagle, po upływie jakichś dwóch sekund, jej udzielić, to znaczy, że właśnie ją pan sobie wymyślił.

— Nie interesuje mnie, czy mi pan wierzy, czy nie.

— A powinno. A nie wierzę, bo lubię kolarstwo i śledzę jego wyniki. Żaden z tych pana młodziaków nie byłby w stanie samodzielnie odjechać. Nie byli w takiej formie. No, chyba że nagle pan im czymś tę formę podrasował.

— Co pan opowiada?! Nigdy nie miałem nic wspólnego z dopingiem, i nie chcę mieć!

— To się panu chwali. Ale jeśli tak, to znaczy, że żaden z pana orłów nie miał szansy na skuteczną akcję. Tę mógł przeprowadzić tylko Czerczyński. A jego zwycięstwa z jakichś powodów pan nie chciał.

Wzburzony Krulikowski zrobił kilka kroków w kierunku Przygadka i powiedział:

— Proszę zostawić tę sprawę. Jeśli pan naprawdę lubi ten sport, to proszę zrozumieć, że moja grupa to naprawdę ogromna szansa dla polskiego kolarstwa. I dla polskich skoków. A ja nie zrobiłem nic złego!

To powiedziałwszy, odwrócił się i wyszedł. Na korytarzu zakaszał, bo miał wrażenie, że choć nie widzi nikogo palącego ani nawet niedopałka, to cała przestrzeń na klatce schodowej jest wypełniona dymem papierosowym.

„Cholera, Zośka miała rację, że nie powinienem tutaj przychodzić — pomyślał, schodząc. — Muszę wymyślić coś innego, bo ten gnój gotów coś odkryć. Ale najpierw pogadam z tym idiotą Czerczyńskim!”

Jędrzej Sakowicz stanął pod drzwiami gabinetu syna już po raz czwarty tego dnia. Na szczęście dopiero instalowali się w nowym biurze i wszyscy pracownicy zajęci byli przeprowadzką. Inaczej stary mecenas czułby się nieco głupio, wycofując się po raz kolejny spod drzwi Błażeja, nawet nie zapukałszy. Musiałby chyba bez przerwy udawać, że tą krętą drogą postanowił dotrzeć do toalety.

„Nie, to zupełnie bez sensu — powtarzał sobie wciąż w myślach. — Przecież to jasne, że ten młokos mnie nie posłucha. Pewnie jeszcze zacznie się ze mną kłócić i udowadniać mi, że nie mam racji. Żeby to wiedzieć, nawet nie muszę do niego wchodzić. Powiem Helenie, że mnie po prostu nie posłuchał, i już nie będę się niepotrzebnie denerwował!”

Ale za każdym razem, gdy to postanawiał i wracał do własnego gabinetu, od razu nachodziła go myśl, że żona z pewnością spyta syna, czy rozmawiał z ojcem na temat prowadzenia sprawy tego nieszczęsnego detektywa. A wtedy będzie klops całkowity, bo

Helena będzie mu to wypominać długimi miesiącami. Zresztą sam Błażej, po niechybnej przegranej, na pewno powie, że gdyby tylko dostał dobrą radę od ojca, to z pewnością by z niej skorzystał. A tak nie miał na to szansy i dlatego poległ. Bo że jego syn przegra w pojedynku ze szcwanym mecenasem Sawczukiem-Kellerem, pan Jędrzej nie miał wątpliwości.

Dlatego Sakowicz senior wracał wciąż pod gabinet Sakowicza juniora i wciąż nie mógł zapukać do środka. I kto wie, może by tego nigdy nie zrobił, bo właśnie wpadła mu do głowy świetna wymówka. Powie po prostu Helenie, że uznał, po głębokim zastanowieniu, iż jego linia obrony nie jest specjalnie dobra i dlatego nie przekazał jej Błażejowi.

Hm, tylko wtedy straci możliwość wypominania synowi, że nie okazał się do niego podobny i nie posłuchał jego rady. Ha, trudno, nie można mieć wszystkiego.

— Chciałeś do mnie wpaść, tato?

Pan Jędrzej podskoczył ze strachu, bo drzwi gabinetu syna otworzyły się bezszelestnie i nie zauważył nawet, jak on sam stanął przed nim.

— Co? Ja? Dlaczego tak pomyślałeś?

— Stoisz przed drzwiami mojego gabinetu.

— Zatrzymałem się tu niechcący w... drodze do toalety!

— Mój gabinet nie jest po drodze z twojego do toalety.

— Nie będziesz mi mówić, którądy mam chodzić do ubikacji! — uniósł się pan Jędrzej.

— Jasne, tato. Ale odniosłem wrażenie, że stawałeś tutaj wcześniej już trzy razy.

— Zdawało ci się. Masz jakieś omamy słuchowe. To pewnie przez to biuro. Jeszcze tu na razie pusto i akustyka taka dziwna, że dźwięk się nie wiadomo, jak niesie.

— Skoro tak mówisz. Ale jakbyś chciał o czymś pogadać...

— O czym?

— Nie wiem. W końcu jednak prowadzimy wspólną kancelarię i zawsze możesz mi coś chcieć doradzić. Bo też się tym różnię od ciebie, że potrafię słuchać dobrych rad. — Błażej uśmiechnął się z wyższością.

— Akurat potrafisz — prychnął pan Jędrzej. — Tylko pewnie nigdy nie uznajesz, że rada jest dobra, i dlatego jej nie słuchasz.

— Jeśli jest dobra, chętnie słucham. Szczególnie gdy mam z czymś problem. A teraz akurat mam. Moja linia obrony Jacka wydaje się nieskuteczna.

— No to przecież oczywiste. Sprawa jest o rzekomy mobbing, a ty chcesz udowodnić, że związek tych dwóch panów nie ucierpiał i nadal są szczęśliwą parą! Przecież to absurd. Szczęście to tak subiektywna sprawa, że wystarczy, iż wszyscy ich znajomi powiedzą, że nie są tak szczęśliwi jak przedtem, i jak im udowodnisz, że są?

— Z tym właśnie mam kłopot.

— Dla mnie to było oczywiste od początku. A przecież wystarczyło pójść po rozum do głowy i sprawdzić, jak ich związek wyglądał w innych lokalizacjach. Ich poprzedni sąsiedzi też pewnie nie wspominają dobrze tych ciągłych kłótni. A i jest nadzieja, że dochodziło tam do rękoczynów, co w sposób oczywisty udowodniałoby, że twój nieszczęsny przyjaciel nie jest winny ich pobicia.

— Ciekawa koncepcja — powiedział Błażej w zamyśleniu.

— Ciekawa? — Pan Jędrzej nie wiedział, czy ma być rozczarowany faktem, że syn nie uznał jego pomysłu za genialny, czy raczej zdziwiony tym, że nie odrzucił go na wstępie. — A masz jakąś inną?

— Chyba spróbuję ją zastosować. To może być to. Dzięki, tato. — Błażej odwrócił się i chciał wrócić do gabinetu, ale zatrzymał go głos zdumionego pana Jędrzeja:

— Momencik. Chcesz powiedzieć, że posłuchasz mojej rady?!

— Taki mam właśnie zamiar. Przecież mówiłem ci, że w przeciwieństwie do ciebie potrafię słuchać dobrych rad.

Błażej zamknął za sobą drzwi, zostawiając pana Jędrzeja w całkowitym stuporze. Sakowicz senior wciąż nie był w stanie uwierzyć, że jego syn zdecydował się go posłuchać. Przecież to niemożliwe! Nie, on to pewnie robi po to, żeby udowodnić, że czasem słucha jego rad. Ale może kiedy zobaczy, jaki odniesie sukces, to wreszcie zrozumie, kto tu jest prawdziwym adwokatem!

W trakcie gdy stary mecenas trawił swój nie do końca dla niego zrozumiały sukces, autor podśmuchał myśli jego syna:

„Bankowo nie wszedłby do mojego gabinetu. Jest uparty jak osioł i nigdy nikogo nie słucha. Gdybym nie wyszedł i nie zmusił go do dania tej rady, w życiu by jej z siebie nie wydusił. Wprawdzie na pewno poradziłbym sobie przy dotychczasowej linii, ale ta jego koncepcja... trzeba przyznać, jest całkiem niezła. Tak, w ten sposób może być łatwiej. Zresztą, nie ma co się zastanawiać. Jak się nie posłucham ojca, to inaczej mama nie przekona Anki, żeby nie upierała się przy tym idiotycznym imieniu dla naszego syna. Paryż wart jest mszy!”

Największy problem z uwierzeniem w uczciwość innych osób mają ci, którzy sami nie są uczciwi. Uczciwość bowiem wydaje im się stanem tak nienaturalnym, że nie ma prawa występować w przyrodzie. Dlatego Stanisław Krulikowski patrzył w tej chwili na swojego zawodnika bez cienia wiary w prawdziwość jego słów.

— Łesz. Łesz jak pies!

— No, no, prezesie, niech sobie prezes nie pozwala. Jak powiedziałem, że nic nie brałem, to znaczy nic nie brałem. Ja po prostu nie robię takich rzeczy!

— Sam pamiętam, że jako juniorka zawiesili cię na kilka miesięcy.

— Ale niczego mi nie udowodnili.

— I tak wszyscy wiedzieli, że coś musiałeś łyknać.

— Wtedy, fakt, zrobiłem to — przyznał z rozbrajającą szczerością Czerczyński. — Miałem takiego idiotę, kierownika drużyny.

— Tak, pamiętam gościa. Jeździł ze mną i też wiedziałem, że coś bierze. Tylko gównu mu to pomagało.

— I mnie tak samo. Na dodatek czułem się tak, że się mało nie przekręciłem. Od tej pory sobie powiedziałem, że w życiu już nie wezmę żadnego gówna, najwyżej trudno, nie zrobię wyniku. I tego się trzymam. Swoje zarobiłem, nie narzekam. Ale życia nie będę narażał.

— Może bym ci i uwierzył, gdyby ktoś nie znalazł tego w twoim pokoju. — Krulikowski rzucił w stronę Czerczyńskiego plaster z tabletkami. Ten przyglądał im się w zdumieniu.

— EPO?! Ale... To nie moje! To niemożliwe. Ktoś mnie chciał zrobić!

— Jakby ktoś cię chciał zrobić, toby zaniósł to na policję albo do POLADY, a nie do mnie!

— Daję słowo honoru, że nic nie brałem.

— Jareczku, tak się broni każdy, kogo złapali. Ja wiem, że brałeś to gówno...

— Możesz mi zrobić badania.

— Teraz to nic nie mogę. Pewnie wzięłeś coś na ostonę, co? Koniecznie chciałeś wygrać ten wyścig?! Przecież najdalej za parę lat by się i tak wydało, znaleźliby sposób na wykrycie, czym ten szajs maskowałeś. A ja nie mogę sobie pozwolić na to, żeby na mojej grupie był chociaż cień podejrzenia. Rozumiesz?

— Rozumiem. I jeszcze raz daję ci słowo, że nie widziałem na oczy tych tabletek. I nie świeć mi tu tą uczciwością, bo sam masz na sumieniu parę rzeczy.

— Nie mówię, że nie. Ale jak robiłem sobie biznesplan tej grupy, to wyszło mi, że najbardziej opłaca się być uczciwym. Wiem, to nie jest normalne, ale tak to oceniłem. Dlatego teraz muszę być całkiem czysty. Nawet jak nie będzie sukcesów sportowych, to zaraz zdobędę dla grupy trochę sponsorów. Idea ze skoczkami chwytą.

— Sponsorów zyskasz dzięki mnie.

— Ty już nie jesteś częścią grupy. Jak będziesz siedział cicho i się nie wrywał do startów, będę ci płacił do końca sezonu i pomogę zdobyć odszkodowanie.

— Nie zgadzam się!

— Ja cię już nigdy nie wystawię. A jak będziesz kłapał buzią dziennikarzom, że niby jesteś w formie i nie wiesz, dlaczego nie jeździsz, to ja sobie te tabletki zachowam na pamiątkę. Jak cię wywalę z grupy przed jakąkolwiek kontrolą, nikt nie będzie mógł mieć do mnie pretensji i ja, i Skijumpers będziemy czysti. Tak że nie mów, że się nie zgadzasz, bo nie ma takiej opcji. Koniec dyskusji.

Czerczyński przygryzł bezsilnie wargi. Był wściekły, nic nie mógł zrobić, jakiś drań wpuścił go w ten kanał, a kolarz nie miał się jak z niego wyrwać. Szlag by to trafił. Kopnął ze złości w łóżko, ale zrobił to na tyle mocno i niefortunnie, że zasyczał z bólu.

— No i świetnie — ucieszył się Krulikowski.

— O co ci chodzi?! — wściekał się Czerczyński, trzymając się za nogę.

— Może coś sobie uszkodziłeś, zrobimy prześwietlenie... Czekaj, nie, bo jak doznasz kontuzji teraz, to będzie ciężiej o odszkodowanie, bo Tokarek będzie się bronił, że to przez to nie startujesz, a nie przez ten piorun. Bardzo cię boli?

— Dziękuję za troskę — syknął ironicznie kolarz i dodał zaraz: — Bardzo dziękuję.

— A nie, mam już pomysł, może cię boleć. Powiemy, że to zawroty głowy po tym uderzeniu pioruna spowodowały, że się walnąłeś.

— Prawdziwy z ciebie ojciec dla kolarzy. — Czerczyński ruszył się i jęknął z bólu.

— No już, nie płacz. Teraz mamy gorszy problem z jednym gościem.

— Mówisz o tym detektywie?

— O niego mnie na razie nie boli głowa. Gorzej z Klekotem.

— Co znowu z tym wariatem?

— Przyszedł do mnie i zażądał kasy. Że niby coś widział na tej górze, jak upadłeś. Byłeś na tyle głupi, że zabrałeś to gównno ze sobą?

— Klekot mówi, że coś widział na górze?

— No przecież już powiedziałem. I nie rób takiej zdziwionej miny.

— Wiesz co... — Na twarzy Czerczyńskiego widać było wielki wysiłek. — Jak o nim powiedziałeś, to mi się chyba coś przypomniało z tamtego dnia.

— Jezu, miałeś coś przy sobie?!

— Ile razy mam ci powtarzać, że jestem czysty?! — wściekał się Czerczyński. — Przypomniało mi się coś z góry. Tak, pamiętam coraz lepiej. Jak ten motocyklista upadł

z kamerzystą, to był huk i odruchowo się odwróciłem i obejrzałem. I wtedy poczułem klepięcie Klekota.

— I co z tego?

— To było takie klepięcie, jakby mnie piorun strzelił.

— Czyli to... Klekot?

— Tego nie wiem. Ale jak sobie o tym pomyślę...

— To nie myśl za dużo. W ogóle zapomnij. Jeśli to on jest winny, to leżymy. — Krulikowski wyglądał na całkowicie spanikowanego. Nagle jego twarz wygładził uśmiech. — Albo i nie. To może być naprawdę dobre, gdyby to przez niego. Mam chyba niezły pomysł na całość...

Mechanik Zbyszek Najwer z coraz większym zaniepokojeniem obserwował swoją żonę. Początkowo bał się, że kazała mu zaprosić tego bezdomnego, żeby ukręcić mu głowę, używając swojego ulubionego chwytu zapaśniczego. Potem, gdy zobaczył suto zastawiony stół w jej gabinecie, zaczął przypuszczać, że zechce go otruć. Uspokoił się nieco, gdy naląła wódki z tej samej butelki sobie i gościowi o wybitnie siwych włosach. Zrozumiał, że chce go tylko upić, by wyciągnąć z niego potrzebne informacje, a tego, że ma mocniejszą głowę od bezdomnego, był pewny.

Lecz jego spokój nie trwał długo, bo po pierwszej pół godzinie butelka była już pusta i pani doktor otworzyła kolejną. Jak długo trwał jej opróżnianie, mechanik już nie widział, bo Zięba wysłała go po większą ilość zakąski do hipermarketu. Gdy wrócił po godzinie, na dnie trzeciej butelki była już tylko niewielka ilość wódki. A ponieważ była to ostatnia z przygotowanych przez lekarkę, został wysłany po kolejne.

— No i królowo, puściutko już jest we flaszcze — stwierdził nie bez żalu Siwowłosy. — Coś się mężuś nie spieszy z dostawą.

— Już ja mu dam, jak wróci! — zdenerwowała się doktor Zięba, ściskając w dłoni kieliszek, który rozpadł się w drobny mak.

— Królowo, po co te nerwy, pokaleczy się królowa. — Bezdomny z niepokojem zaczął oglądać rękę gospodyni i pokręcił z podziwem głową. — Ale skórę to ma królowa fest, że ho, ho. Ani śladu skaleczenia.

— Ja nawet szklanki potrafię gryźć.

— Niesamowite. Kiedyś znajomy robił taki numer, ale mu na żołądek zaszkodziło.

— Mnie nie zaszkodzi. — Na dowód swoich słów doktor Zięba ugryzła kawałek szklanki, do której do tej pory nalewano popitkę.

— Rany boskie, królowo, ale z pani jest kobita, tylko się zakochać, jak Boga kocham. — Siwowłosy wpatrywał się w przełykającą szkło Ziębę z niekłamanym podziwem. — Normalnie wszyscy to się od takich jak ja z dala trzymają, a mnie królowa najpierw na taką ucztę zaprosiła, potem wódeczki regularnie się napiła, a teraz jeszcze taki występ. Nie wiem, jak ja się królowej odwzięczę.

— O właśnie. — Lekarka przypomniła sobie prawdziwy powód zaproszenia bezdomnego. — Znaczy ja żadnej wdzięczności nie potrzebuję. Tylko że ten... chciałam... — Zięba pamiętała, że miała jakiś sprytny plan wypytania bezdomnego o jego misję i wciśnięcia mu zawczasu przygotowanych wiadomości, ale teraz nie mogła sobie za nic ich przypomnieć.

— Jak królowa chciała, to ja jestem do dyspozycji — oświadczył Siwowłósy. — Tylko drzwi by trzeba na kluczyk zamknąć, żeby szanowny mąż nam w tym tête-à-tête nie przeszkodził. — Bezdomny przysunął się do lekarki.

— Ale co pan...

— Możemy przejść na ty. Tylko walniemy brudzia. — Siwowłósy chwycił pustą butelkę wódki i od razu zmarkotniał. — Nie ma, cholera, czym. No nic, mów mi po prostu Siwowłósy, wszyscy tak na mnie wołają.

— A na mnie wołali Imadło. Jak jeszcze trenowałam zapasy.

— To stąd u ciebie taka solidna budowa, rozumiem. To co, Imadełko, zamykamy drzwi na klucz?

— Nie... Może innym razem... — oświadczyła resztką przytomności umysłu. Choć z drugiej strony ten bezdomny zbieracz złomu, jak na swój fach, był taki niczego sobie. I nawet teraz odnosiła wrażenie, że już tak nie śmierdzi jak na początku.

— Nie ma się co certolić. W końcu znamy się już od trzech flaszek.

— Ja wiem. Ale Zbyszek zacznie się dobijać, narobi rabanu. — Doktor Zięba patrzyła na Siwowłósego łakomym okiem, co ten wyczuwał. Zresztą był w tym nieco podobny do Błażeja Sakowicza i nawet wtedy, gdy kobieta nie była nim zainteresowana, miał wrażenie, że jest wprost przeciwnie.

— To ja tak na wszelki wypadek przekręcę ten kluczyk i w razie co będziemy udawać, że poszliśmy na spacer.

— Ale... co to ja tego... kurde... — Lekarka za wszelką cenę usiłowała sobie przypomnieć cel swojej misji. — Znaczy się pan Przypadek...

— Co pan Przypadek? — Siwowłósy nieco zbystrzał.

— No po co on... tu tego... i co on wie...

— Ja nie wiem, co on tu ten tego...

— Nie udawaj, Siwowłósy. Wiem, że dla niego pracujesz...

— Zdarza się. Ale chwilowo nie ma od niego zlecenia.

— To po co się tu kręcicie?

— Jak po co? Co i raz tu ktoś jakiś fajny metal wyrzuci, kółko zepsute, przerzutkę albo coś. Są na to klienci.

— Dobra, dobra, nie ściemniaj — bełkotała coraz mniej wyraźnie doktor Zięba. Najwyraźniej do jej głowy docierała na dobre trzecia wypita butelka. — Ja wiem, że mnie tu szpiegujesz... Ale to nie moja wina... Wszystko przez tego durnego Zbynia... Jakby on dobrze ten rower popsuł, toby nie było kłopotu i byśmy się odkuli.

— Przestań gadać o rowerach — powiedział Siwowłósy, chwycił rękę doktor Zięby i podniósł ją czy raczej wyrwał jak sztangę. — Chodź, potańczymy. No przytul się.

Z na pół zamkniętymi oczami doktor Zięba przytuliła się do Siwowłósego. Jej twarz tylko delikatnie zmarszczyła się z powodu zapachów wydzielanych przez bezdomnego. Zresztą w tej chwili już niewiele czuła, o czym świadczyły jej głośne chrapnięcia.

— Co tam mruyczysz? — spytał Siwowłósy, ale zanim usłyszał odpowiedź, ktoś szarpnął za kłamekę. — Nie ma nas, poszliśmy na spacer!

— Zośka, co się dzieje?! — Zza drzwi dał się słyszeć zaniepokojony głos.

— Powiedziałem, poszliśmy na spacer! — Rozzłoszczony Siwowłósy odwrócił się w stronę wejścia. W tej chwili puścił śpiącą doktor Ziębę, która osunęła się na podłogę i wydała z siebie chrapnięcie na miarę króla afrykańskich sawann.

— Zośka, wszystko w porządku?! — Przestraszony Najwer szarpał energicznie za klamkę. W końcu, mimo drobnej postury, postanowił wyważyć ramieniem drzwi. Wziął odpowiedni rozpęd i być może nawet odniósłby sukces, ale w tej samej chwili Siwowłosy przekręcił klucz w zamku i nacisnął klamkę. Mechanik wpadł do pokoju na pełnej prędkości i potknął się dopiero o ciało żony. Upadł jak długi, zerwał się i spojrzał pełen niepokoju na lekarkę. — Co jej się stało?

— Nic. — Siwowłosy wzruszył ramionami i dodał nie bez żalu: — Spacer ją zmęczył i poszła w kimono.

Czesław Tokarek przechadzał się nerwowo po gabinecie. Rozmawiał niedawno ze swoim adwokatem, który po lekturze pozwu Krulikowskiego nie miał dla niego dobrych wiadomości. Jak twierdził, może spróbować sprawę przeciągać różnymi sztuczkami, ale ostatecznie raczej trzeba będzie zapłacić jakieś pieniądze szefowi Skijumpers i Jarkowi Czerczyńskiemu. A to zupełnie nie interesowało Tokarka. Nie chodziło nawet tylko o pieniądze, choć o nie również, ale o złą sławę, która nie pozwoliłaby mu organizować kolejnych wyścigów. Dlatego kiedy zobaczył w drzwiach swojego gabinetu Przypadka, ruszył ku niemu z nadzieją.

— No i co? Dowiedział się pan czegoś?

— Pewnie nawet więcej, niż się spodziewałem. Ale chciałem zapytać jeszcze o parę rzeczy.

— Proszę, niech pan pyta.

— Wie pan coś o mechaniku Skijumpers i lekarce grupy? — zapytał detektyw, siadając w fotelu wskazanym przez gospodarza.

— A oni mają z tym coś wspólnego?

— Podejrzewam, że gdyby nie oni, ta historia mogłaby się w ogóle nie wydarzyć.

— Nie słyszałem, żeby zajmowali się ściąganiem piorunów — zaśmiał się nerwowo Tokarek.

— To co pan o nich słyszał?

— Ta Zięba była świetną zapaśniczką. Równocześnie robiła studia medyczne, chociaż złośliwi mówili, że na egzaminach musiała zakładać podwójnego Nelsona, żeby profesorowie wpisywali jej z łaski trójkę do indeksu. Ktoś mi kiedyś mówił, że ma mocną głowę i niejeden męczyzna spadł przy niej pod stół. Ale nie sprawdzałem tego.

— A jej mąż?

— O, to jest świetny fachowiec. Ale siedzi kompletnie u niej pod pantoflem. Wręcz panicznie się jej boi. Nie robi nic bez jej pozwolenia. W sumie tworzą taką śmieszna parę, no bo ona taka potężna, a on wprost przeciwnie, mikro...

Tokarek urwał, bo od strony pokoju sekretarki zaczęły dobiegać odgłosy jej kłótni z jakimś natrętnym petentem. Dyrektor Wyścigu Południowomazowieckiego chciał pójść wyjaśnić, o co chodzi, ale zanim zdążył dojść do drzwi, te otworzyły się same i stanął w nich Krulikowski. W pierwszej chwili uśmiechnął się szeroko, ale gdy zobaczył Przypadka, uśmiech zamarł na jego twarzy.

— Może ja nie w porę? — zapytał lekko speszony szef Skijumpers.

— Ty zawsze jesteś nie w porę.

— Oj, Czesiu, nie przesadzaj. To, żeśmy się trochę pokłócili, nie znaczy jeszcze, że na zawsze mamy być wrogami. — Krulikowski zdawał się odzykiwać rezon.

— To ty sobie dużo liczysz za te krótkie kłótnie.

— Przyszedłem zakopać topór wojenny.

Tokarek spojrzął pytająco na Przypadka, jakby chciał się od niego dowiedzieć, czy coś z tego rozumie, ale ten tylko wzruszył ramionami. Dlatego dyrektor Wyścigu Południowomazowieckiego zapytał wprost szefa Skijumpers:

— Wycofasz pozwy?

— Mógłbym o tym pomyśleć. Ale najpierw trzeba by było ustalić parę rzeczy. — Krulikowski spojrzął znacząco na Jacka.

— Jakich rzeczy? — zapytał chłodno Tokarek.

— No... Wyobraź sobie, że Jarek sobie przypomniał, że coś jednak pamięta, co się wtedy wydarzyło na tym podejździe pod Altanę. I ewentualnie to mogłoby spowodować, że moglibyśmy się dogadać. Dla dobra kolarstwa. I naszego zresztą też. Wyjaśnij ci, jak będziemy sami. — Mrugnął znów w stronę Jacka.

— Proszę wyjaśniać. — Detektywa podniósł się z miejsca. — Ja już i tak wszystko chyba rozumiem. Prześle panu fakturę za dotychczasowe usługi — powiedział do Tokarka.

— Ale czy ja powiedziałem, że z pana rezygnuję?! Przecież jeszcze nic pan nie wyjaśnił! Miał pan dowieść, że Czerczyńskiego nie trafił piorun!

— Dowodów dostarczy panu zapewne pana gość.

— Niech pan przesyła tę fakturę — powiedział zadowolony Krulikowski. — Zapłacimy ją wspólnie z Czesiem. — Właściciel grupy Skijumpers niemal wypchnął detektywa za drzwi. Zamknął je, ale po kilku sekundach otworzył, żeby sprawdzić, czy Jacek nie podsłuchuje. Zadowolony, ponownie zamknął drzwi i zwrócił się do Tokarka: — Czas zakończyć niepotrzebne spory.

— Ja ich nie zaczynałem.

— O, już nie ma co wracać do przeszłości. Trzeba pomyśleć o przyszłości. Co byś powiedział na założenie stowarzyszenia Stop Idiotom na Wyścigach?

— Stowarzyszenia?

— Oj, może być fundacja. — Znicierpliwiony Krulikowski machnął ręką. — Nie sprzeczkajmy się teraz o szczegóły.

— Ale po co mielibyśmy to robić? — zapytał zdezorientowany Tokarek.

— A lubisz tych idiotów, którzy stoją i wrzeszczą tylko po to, żeby się pokazać w kadrze? Ja wiem, to niby są kibice i niby dla nich ten cały show, ale przez takich wariatów jak Klekot zmieniają się wyniki wyścigów...

Pani Helena zdawała sobie sprawę, że stworzyła potwora. Tak zawsze się dzieje, gdy osoba niedoświadczona i nieprzyzwyczajona do potęgi mocy otrzyma tajny szyfr do korzystania z niej. Zaczyna to robić bez umiaru, nie licząc się zupełnie z tymi, wobec których używa swojej siły. Wpada przy tym na najidiotyczniejsze pomysły po to tylko, żeby sprawdzić, jaka jest jej moc.

Ale też pani Helena działała w sytuacji podbramkowej. Wiedziała, że sama pozwoliła na zbyt dużą swobodę swoim mężczyznom, a oni, jak to wieczne dzieci, zaczęli się niebezpiecznie bawić. Gdyby robili to dłużej, skutków ich nieodpowiedzialności mogłoby się nie dać cofnąć. Dlatego należało działać błyskawicznie.

Tak zresztą jak teraz. Dała trochę pohasać potworowi, ale nadszedł najwyższy czas, aby wyciągnąć pilota i odpowiednio nim posterować. Dla jego własnego dobra, żeby wyszedł na

ludzi. A dokładnie na kobietę, która naprawdę rozumie, o co w kobiecości chodzi.

Ania była przygotowana na to, że teściowa będzie próbowała ją przekonać do zmiany imienia Volcana. Czuła, że w ten sposób pani Helena chce jej odebrać magiczną moc zarządzania Sakowiczami, którą dopiero co posiadała. I nie miała zamiaru się poddawać bez walki. Dlatego nie dała się nabrać na to, że mama Błażeja, gdy odwiedziła ją dzisiaj, ani słowem nie zająknęła się o imieniu wnuka, tylko wypytywała o inne sprawy, i twardo jej oświadczyła:

— Nie ma mowy, żebym się zgodziła na zmianę imienia Volcana!

— A czy ja o tym cokolwiek mówiłam? — zdziwiła się rozbawiona pani Helena.

— Nie musiała mama. Dobrze wiem, że Błażej napuścił na mnie mamę.

— Wydawało mi się, że wytłumaczyłam ci dość dobrze, że w tej rodzinie to mężczyźni wykonują polecenia kobiet, a nie odwrotnie.

— No dobrze, to jeśli nawet nie Błażej prosił o to mamę, to czuję, że i tak chce to mama na mnie wymóc.

— Doprawdy nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. Imię jak imię, choć faktycznie nie wszyscy są nim zachwyceni.

— Wiem, pewnie Błażej się mamie cały czas żali. No i tata nie jest zbyt zadowolony.

— A twoim rodzicom się to imię podoba?

— No... — Ania się zawahała, co wystarczyło pani Helenie za całą odpowiedź.

— Sama widzisz, że nie wszystkim się podoba. A mężczyznami to ja się nie przejmuję. Gorzej, że inne ważne osoby nie są nim zachwycone.

— Jakies ważne osoby interesują się imieniem mojego syna? — zdziwiła się była dziennikarka.

— Niestety. Zarekomendowałam cię wstępnie do pewnego stowarzyszenia kobiecego, które ma duże wpływy...

— Jakiego?

— Nie słyszałaś nigdy o nim. To nie jest stowarzyszenie formalne, ale zapewniam cię, że kobiety do niego należące decydują bezpośrednio o wielu bardzo ważnych rzeczach w tym mieście. A pośrednio w kraju i na świecie.

— To jakaś loża masońska?! — Oczy Ani zapłonęły pożądliwie. Zawsze marzyła o tym, żeby należeć do takiej tajnej organizacji. Nieformalnie i zakulisowo wpływać na losy świata. Wiedzieć to, czego nie wiedzą maluczcy, i decydować za nich, co jest dla nich dobre.

— Łoże masońskie to zabawy dla chłopców, którzy potrzebują jakichś dziwaczkich rytuałów i zwyczajów. Nam wystarczy tylko świadomość, że to my o wszystkim decydujemy.

— Kto tam należy?

— Same ważne kobiety.

— Pewnie singielki, która mają czas na karierę — rzuciła gorzko była dziennikarka.

— A czy ja wyglądam na singielkę? — Pani Sakowicz uśmiechnęła się pobłażliwie. — Tam są prawdziwe kobiety, które mają mężów i dzieci. Cóż bowiem warta jest kobieta bez mężczyzny, którym może kierować jak rowerem? Owszem, może się realizować i spełniać, mieć złudne poczucie, że coś od niej zależy, choć tak naprawdę bez posłusznego jej mężczyzny niewiele może...

— No a... taka królowa Kleopatra?

— Byłaby mało ważną figurą, gdyby nie mogła kierować rzymskimi wodzami.

— W sumie fakt. Nigdy tak na to nie patrzyłam — przyznała zdziwiona Ania i od razu się zreflektowała. — Ale ja też mam męża i dziecko.

— No właśnie — przytaknęła smutno pani Helena. — Tylko ono ma takie imię, że jak o nim wspominałam, to od razu usłyszałam pytanie, czy z tą rekomendacją dla ciebie to jakiś żart.

— Co za głupie babska! Co im się nie podoba w tym imieniu?

— Wiesz, one są strażniczkami pewnych tradycji i dobrych obyczajów.

Ania, słysząc te słowa, skrzywiła się jak diabeł, który właśnie się dowiedział, że został zaproszony do stowarzyszenia, gdzie do dobrego tonu należy polewanie się święconą wodą.

— To chyba nie dla mnie — stwierdziła była dziennikarka.

— W tej chwili na pewno nie — potwierdziła bezlistośnie pani Helena. — Powiedziały, że jak następane dziecko nazwiesz jakoś tak normalniej...

— Nie chcę mieć więcej dzieci! — krzyknęła histerycznie kobieta.

— Doskonale cię rozumiem. Mnie też Błazej wystarczył aż nadto. Ale niestety, bezpowrotnie tracisz tym samym szansę dostania się tam — stwierdziła z niekłamana przykrością pani Helena.

— No ale co im przeszkadza to imię?

— Uważają, że to świadczy o tym, że źle zarządzasz swoim mężczyzną.

— Dlaczego źle?!

— Zbyt wprost. Żadna z nich nie uwierzyłaby, że takie imię dla syna wyszło od mężczyzny, a jeśli się na nie zgodził, to tylko dlatego, że z jakichś powodów nie dałaś mu wyjścia. Natomiast mężczyzna powinien zawsze mieć wrażenie, że to on dokonuje wyborów, choć tak naprawdę jest posłuszny kobiecie. — Pani Helena uśmiechnęła się z lekkim poczuciem wyższości i podniosła się. — No nic, nie będę ci zabierać czasu, lecę już. Nie musisz mnie odprowadzać.

Po wyjściu teściowej Ania spojrzała na dziecięce łóżeczko, w którym spał słodko mały Volcanik. I zaczęła się zastanawiać, czy to imię rzeczywiście do niego pasuje. Właściwie nie wrzeszczał, nie złościł się, nie płakał. Ciche, spokojne dziecko. Jak jakiś Antoś, Stasiak albo Jasiek. Mógłby tak mieć na imię. No a ona wtedy mogłaby się stać członkiem tajnego stowarzyszenia decydującego o losach świata...

Pani Łosiowa ganiła się w tym momencie za to, że miała chwilę słabości i jeszcze nie tak dawno żałowała swojego męża. Gdyby wtedy była twarda i zażądała od niego przyjęcia awansu i przejścia na emeryturę, już być może cieszyłaby się z apanaży komisarszowej, które w znaczący sposób uzupełniłyby jej skromną nauczycielską pensję. A tak musiała znosić to, że policjant stał się nazbyt pewny siebie i wydawał się nic nie robić z grożącego mu niebezpieczeństwa degradacji za niewykonywanie rozkazów. Zamiast tego musiała znosić jego chwalenie się, że wkrótce dokona kolejnego spektakularnego aresztowania.

— Żeby ci tylko najpierw nie aresztowali tego twojego detektywa — odpaliła mu w końcu ze złością.

— To akurat faktycznie jest możliwe — zmartwił się Łoś. — Zauważyłem, że niektórzy na komendzie zaczęli mnie unikać. A już jak wspomnę coś o Przypadku, to mają takie ponure miny, jakby już go widzieli w więzieniu.

— Żeby ciebie nie posadzili w końcu za współpracę z nim.

— Spokojnie, moje akcje idą w górę. Pomogła mi ta rozwiązana sprawa z tym kurierem rowerowym. Nawet niektóre gazety o mnie pisały — dodał z dumą. — A Zasada nawet już nie wspomina o tej emeryturze czy o odebraniu mi nadzoru nad Przypadkiem.

— Tylko jak teraz aresztujecie kogoś ważnego z tych wyścigów kolarskich, to karta się może odwrócić.

— No to jak go zamkną, to pójdę na emeryturę — oświadczył beztrzesko. — Podkomisarz też ma dobrą emeryturę, nie ma co żałować tego awansu. Przynajmniej mogą jeszcze aresztować tych co trzeba, a nie tych, co to nie mają dobrych adwokatów i kontaktów.

— A o sprawie tej Marcakowej nic nie wiesz?

— Nie. Od chwili, jak Smańko poszedł na urlop, to nic a nic. Jak wróci, to się pewnie czegoś dowiem.

— No to ja ci chyba mogę powiedzieć, kogo podejrzewają.

— Ty? A skąd to możesz wiedzieć?

— Rozmawiałam z Kolasińską z parteru. Ona, wiesz, czasem sprzątała u Marcakowej. No i ten twój Dynda pokazywał jej zdjęcie Przypadka i pytał się, czy on tam nie bywał u niej.

— Przypadek?! Jakim cudem?! Przecież bym coś o tym wiedział.

— Może i tak. Ale jak on wiedział, że tu mieszkasz, to mógł cię specjalnie unikać.

— Ale po co on by u niej bywał? — dziwił się podkomisarz Łoś.

— Sam mówiłeś, że to pies na baby.

— Kiedyś tak. Ale od dłuższego czasu wyraźnie się ustatkował pod tym względem.

— Widać pociągnęło wilka do lasu.

— Co ty gadasz? Przecież on nawet nie lubił tych nowoczesnych artystów. On pod tym względem konserwatysta.

— Za to Marcakowa była niczego sobie kobitką. Nie musiał oglądać jej obrazów.

— Ale ona raczej nie była w jego typie. Egzaltowana strasznie i chyba głupia.

— Skąd ty ją tak dobrze znasz, Łosiu? — zapytała podejrzliwie podkomisarzowa.

— No przecież to sąsiadka była.

— Ale ja myślałam, że ty z nią tak tylko „dzień dobry”, „dziękuję” i „proszę bardzo”, jak ją w drzwiach przepuszczałeś.

— Dobremu policjantowi wiele nie potrzeba, żeby rozgryźć człowieka. Chyba muszę zapytać Dyndę, po co on o tego Przypadka pytał.

— Ty się lepiej do tego nie mieszaj, Łosiu!

— No jak, sama chciałaś, żebyś się tą sprawą zainteresowała.

— Ale teraz nie chcę — stwierdziła stanowczo żona policjanta. — Jak oni tą Marcakową szyją mu buty, to się trzymaj od tego z daleka.

— Nie, nie wierzę, że on tu był choć raz. — Podkomisarz Łoś jak zwykle w chwili wielkiego natężenia umysłowego podkręcał wąsa. — I Dynda zapytał tak wprost o Przypadka?

— Nie. Pokazał jej tylko zdjęcie Przypadka i zapytał, czy go tu widziała. A ona go znała, bo widziała parę razy w telewizji, jak rozwiązywał sprawę.

— Czyli Dynda od niej nic nie uzyskał — stwierdził uspokojony Łoś.

— Tego nie powiedziałam. Kolasińskiej się wydaje, że go chyba widziała.

— No w telewizji widziała, a nie tutaj.

— No jej się właśnie wydaje, że może tutaj.

— Co ta głupia baba gada? — powiedział wyraźnie poirytowany komisarz Łoś. — Przypadka tu nie było!

— Skąd wiesz? Nie jesteś tu dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Za to że Śmańką obserwujemy go cały dzień.

— Jak miał coś do Marczakowej, to przychodził do niej raczej w nocy — zauważyła przytomnie Genowefa Łoś.

— Coś ty się uparła, że Przypadek ma coś wspólnego z tym morderstwem?!

— No bo mnie się wydaje, że go tutaj widziałam. Raz. Albo nawet dwa razy.

— I nic mi o tym nie mówiłaś?

— Oj, no bo nie byłam pewna — odpowiedziało wymijająco pani Łosiowa.

— Za to ja jestem pewien, że ci się przywidziało.

— Bo ty za bardzo wierzysz, że ten Przypadek nie może być winny.

Podkomisarz Łoś miał już na ustach odpowiednio celną ripostę, ale zatrzymał ją tylko dla siebie. Doświadczenie nauczyło go, że choćby nie wiem jak bardzo racjonalnie umotywował swój punkt widzenia i był do niego przekonany, i nawet czuł, że jego żona w gruncie rzeczy podziela jego opinię, to i tak by się do tego przyznała. A ponieważ ciśnienie już i tak się mu bardzo podniosło, uznał, że nie ma chęci na dalszą kłótnie, tylko sięgnął po smycz wiszącą na fotelu.

— Wiesz co? Pójdę wyprowadzić Cywila.

Agnieszka Storczyk z każdym dniem odbywanej aplikacji czuła coraz bardziej, jak ją to nudzi. Nie sprawiało jej radości wymyślanie przeróżnych kruczków prawnych, szukanie wybiegów w sprawach, gdzie wina leżała w sposób oczywisty po stronie ich klienta, a jej zadaniem było jedynie uniemożliwić wymiarowi sprawiedliwości wydanie werdyktu zgodnego z faktami. Owszem, jako zabawa w omijanie prawa z ustami pełnymi słów o praworządności miało to swój niewątpliwym makiaweliczny urok. Ale ileż razy można się cieszyć z wystrychnięcia na dudka systemu. Dziesięć? Pięćdziesiąt? Na pewno nie więcej niż sto, a ona dobijała właśnie do tej liczby.

A najśmieszniejsze w tym wszystkim było to, że nawet idąc na studia prawnicze, nie miała ona cienia wątpliwości, że będzie to okres niewiarygodnie nudny. I jeśli się na niego zdecydowała, to tylko i wyłącznie dlatego, że miała swój cel. Tego celu zaś nie dało się nijak osiągnąć bez zdobycia dyplomu magistra prawa. Bo jak inaczej mogłaby udowodnić swojemu ojcu, że jest lepszym potomkiem i kandydatem na przejęcie kancelarii niż jej starszy, przyrodni brat? Może wtedy zrozumiałby, jak wielki błąd popełnił, nie wiążąc się na stałe z jej matką, tylko wracając do żony i wychowując nadal tego bezczelnego typka, Jacka?

Teraz zaś, gdy właściwie była już krok od osiągnięcia swojego celu, przestało jej to dawać satysfakcję. Zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej było poświęcić się chemii, do której miała nadzwyczajne zdolności i która sprawiała jej radość. Dzięki niej mogła przecież zrobić coś pożytecznego dla ludzkości, jakkolwiek by to patetycznie brzmiało. Bycie zbawcą nie leżało wprawdzie w kręgu jej zainteresowań, za to bycie podziwianą za swoje osiągnięcia — jak najbardziej. Pod warunkiem, że byłyby to prawdziwe osiągnięcia, a nie oszukanie systemu dla dobra własnej kieszeni.

I tylko tak naprawdę jedna rzecz trzymała ją przy tej aplikacji...

— Agnieszko, pozwól do mnie na chwilę — usłyszała głos pana Fryderyka, nadzwyczaj skupiony i poważny. Mecenas Przypadek nigdy nie był wesołkiem, ale usposobienie miał

raczej pogodne, a smutek i melancholia, które rysowały się w tej chwili na jego twarzy, nie były dla niego czymś zwyczajnym. Tak jak użycie jej imienia. Zwykle zwracał się do niej bezosobowo, a przy obcych używał nawet formy: „pani Agnieszko” czy wręcz „pani Storczyk”.

Pan Fryderyk zamknął za nią drzwi, gdy tylko weszła do jego gabinetu. Usiadł naprzeciwko i przez chwilę milczał, co wprawiło ją w pewne zakłopotanie, a nawet zaniepokoiło. Czyżby się czegoś domyślił? Nie, niemożliwe. Ale zawsze jej upierdliwy braciszek mógł mu coś powiedzieć. Jakiś tydzień temu mecenas Przypadek pytał przecież panią Lidię, czy nie pamięta, gdzie odłożył klucze do mieszkania syna. Może odwiedził go i czegoś się dowiedział? Musiała przyznać, że Jacek jest niewiele mniej przenikliwy niż ona sama. Choć gdyby to ona decydowała się na karierę detektywa, na pewno miałaby dużo lepsze rezultaty finansowe niż on.

— Coś się stało? — zapytała.

— Nie, tak tylko się zamysliłem. Chciałem z tobą omówić trochę bieżących spraw.

— Ale na pewno uszysztko w porządku? — dociekała.

Pan Fryderyk spojrział na nią zdziwiony. Jego córka nie wykazywała do tej pory najmniejszej troski o niego. Czasami bywała nawet równie upierdliwa i złośliwa jak Jacek. Była od niego tylko lepsza w tym, że skończyła studia i postanowiła robić karierę adwokacką, kontynuując tradycje rodzinne. A tu nagle troska na jej twarzy. Może ją jednak źle oceniał?

— W zasadzie dawno się nikomu nie zwierzałem, ale skoro pytasz... Wiesz, zawsze chciałem mieć syna, żeby mu przekazać kancelarię razem z nazwiskiem. Wiem, córka też mogła zachować nazwisko, ale nie gniewaj się, po dziś dzień nie jestem przekonany, czy kobiety, generalnie rzecz ujmując, nadają się do tego fachu. Ale mimo to teraz wiem, że wolałbym mieć córkę niż syna.

Storczyk drgnęła, słysząc to wyznanie.

— Przynajmniej nie musiałbym z nią rywalizować o tę samą kobietę — wyznał z rozbijającą szczerością i pewnie jedynie dlatego Agnieszka nie fuknęła obrażona, tylko odpowiedziała łagodnie:

— Z córką miałbyś za to inne problemy.

— Zapewne. Ale chyba naprawdę wolałbym je mieć. Szczególnie po doświadczeniach z moim synem. Mam wrażenie, że on mnie nic a nic nie docenia i nie jest mi wdzięczny również za nic. Ba, raczej ma pretensje i obwinia mnie za swoje wady, a zalety sądzi, że odziedziczył wyłącznie po matce. A przecież chciałem zawsze, żeby był szczęśliwy. Oferowałem mu dobry zawód, który daje pewną, stabilną pracę z solidnymi zarobkami. Fakt, naciskałem na niego, żeby skończył studia i zaczął robić w życiu coś konkretnego, ale taki był przecież mój ojcowski obowiązek. A on tylko wiecznie by mnie karał za to, co zrobiłem jego matce. Jakby sam był lepszy.

— To może czas odpłacić mu pięknym za nadobne — rzuciła niby to od niechcenia Storczyk.

— Co powiedziałaś? — zapytał nieco zdziwiony pan Fryderyk.

— Tylko to, że się całkowicie z tobą zgadzam. Też odniosłem wrażenie, że on w ogóle nie docenia tego, co dostał od ciebie. Sądzi, że to było dla niego niepotrzebne obciążenie. Gardzi tym, o czym wiele innych osób marzyło.

— Dokładnie tak. Cieszę się, że mnie rozumiesz.

— A nie myślałaś, żeby pokazać mu, jak wiele ci zawdzięcza?

— Pokazać? Jak?

— Tak na szybko nie jestem w stanie nic wymyślić. Ale jestem pewna, że znalazłby się na to jakiś sposób.

— To jeśli go tylko znajdziesz, daj mi natychmiast znać — powiedział bez wiary pan Fryderyk.

— Dobrze... tato — powiedziała i zauważyła, jak mecenas Przypadek uśmiechnął się z zadowolenia. — Ale nie mówmy już o nim, szkoda czasu. Omówmy lepiej bieżące sprawy.

— Masz rację, szkoda czasu na gadanie o nim.

Tego dnia Storczyk już nie wracała do tego tematu. Wiedziała, że kropla zaczęła drażnić skałę. Teraz wystarczyło trochę odczekać i...

Wieczorem zadzwoniła do kogoś, kto być może tak mocno jak ona nie lubił Jacka.

— Cześć... Tak, wszystko zmierza w dobrym kierunku... Spokojnie, to nie może być szybko... Dam sobie radę... Czemu jestem smutna? A ty byś się cieszył, gdyby się okazało, że twój ojciec jest prawdopodobnie największym durniem świata?

Podkomisarz Łoś z wściekłością kopnął w oponę stojącego obok niego roweru. Gdyby tylko mógł, wrzuciłby go do pierwszego lepszego rowu. Ale niestety był to sprzęt służbowy, który w końcu musiał wrócić do magazynu.

— Co za grat! Samochody to potrafią dobre kupić, a porządnego roweru już nie!

— Jakaś awaria, panie podkomisarzu? — zapytał Jacek, zatrzymując się kilka metrów dalej.

— No takie gównu mi dali! — denerwował się policjant. — Już trzeci raz mi spadł łańcuch.

— To już niedaleko. Podprowadzimy kawałek na piechotę.

— Ale co ja potem zrobię z tym złomem?

— Nasz gospodarz chyba trochę zna się na rowerach. Pomoże panu naprawić.

Przypadek i Łoś szli przez chwilę w milczeniu. Detektyw z ciekawością rozglądał się po podwarszawskiej architekturze, która umknęła mu podczas poprzedniej wizyty w tym miejscu, gdy jechał rowerem. Za to podkomisarz patrzył pod nogi i minę miał raczej posępną.

— Coś pana gryzie, panie podkomisarzu? — zapytał Jacek.

— Nie — zaprzeczył policjant. — Tylko ten rower...

— Jak pan chce, mogę panu na jakiś czas pożyczyć swój. Mam teraz dwa. Ten, który kupiłem przy pomocy Makuszewskiego, i ten, który zrobił mi Pańczak.

— Pan mu naprawdę pomógł za złożenie tej kupy złomu? — Podkomisarz spojrzał sceptycznie na pojazd detektywa.

— Myli się pan. To fenomenalny rower wart każde pieniądze. Jedzie właściwie sam, a prowadzi się jak mercedes. Widzę, że pan mi nie wierzy, ale ja panu proponuję ten zakupiony rower, bo tego od Pańczaka już bym się nie pozbył za żadne pieniądze świata.

— Ale... On drogi jest... Ten rower...

— Dlatego nie daję go panu na własność, bo wtedy zamknęliby pana za przyjęcie łapówki. — Jacek uśmiechnął się bez troski. — Pożyczam go, żeby mógł pan mnie obserwować. Ale jakby co, nie musi mi go pan zwracać.

— Naprawdę mi go pan... daje? — zapytał z niedowierzaniem jakby lekko wzruszony podkomisarz Łoś.

— No pewnie. W końcu należy się panu coś ode mnie. Nie dość, że wiele razy pomógł mi pan w śledztwach, to jeszcze miał pan przeze mnie sporo kłopotów.

Podkomisarz Łoś stanął w miejscu. Detektyw, choć nie miał zamiaru tego robić, również się zatrzymał.

— Ja... ja muszę panu coś powiedzieć — oświadczył policjant.

— O ile nie chce mi pan wyznaczyć miłości, to słucham z ciekawością.

— Co? No co pan. Ja zawodowo. Dowiedziałem się, że chcą pana najprawdopodobniej urobić w morderstwo.

— Pana sąsiadki?

— Zna ją pan? — zapytał podejrzliwie Łoś.

— Nic a nic. Ale czytałem o tym i skojarzyłem adres. No cóż, nie będzie im łatwo, biorąc pod uwagę, że nigdy w życiu jej na oczy nie widziałem. Ale nie takie numery przechodziły. I to chciał mi pan powiedzieć?

— Nie. Chciałem, żeby pan wiedział, że w razie co może pan na mnie liczyć — oświadczył mężnie Łoś i teraz Jacek poczuł lekkie wzruszenie. Naprawdę lubił podkomisarza i uważał, że ten jest dobrym policjantem, który bez biurokratycznych i towarzyskich ograniczeń mógłby rozwiązać wiele spraw. Może nie tak dziwacznym jak ich wspólne śledztwa, ale z pewnością trudnym i skomplikowanym.

— Dziękuję, panie podkomisarzu. Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymali się przed domkiem, na którego podwórku panował bałagan. Walało się na nim trochę starych sprzętów elektrycznych, jakaś popsuta pralka, ekspres do kawy, toster. Jacek nacisnął dzwonek przy furtce. W drzwiach domku pojawił się po chwili Klekot, który skrzywił się na widok Przypadka.

— Po co pan tu przyłazł? Powiedziałem już wszystko.

— Chyba jednak nie, panie Klekot. — Podkomisarz Łoś był uczulony na podejrzanych, którzy już wszystko powiedzieli i nic nie pamiętają. — Proszę mi pokazać ten swój strój Zeusa.

— Co? Ma pan nakaz?

— Proszę to zrobić dla własnego dobra, bo inaczej grozi panu parę lat odsiadki i sława, której, zapewniam pana, nie życzyłby pan sobie — poradził mu Jacek.

Klekot spojrzął niechętnie na intruzów. Przez chwilę się zastanawiał, co ma robić, ale w końcu uznał, że przecież nie ma nic do ukrycia. A tak przynajmniej mu się zdawało. Otworzył furtkę, machnął ręką na przybyszy i zaprosił ich do środka. Tam wyjął z wielkiego pudła tunikę i grom Zeusa i podał je podkomisarzowi, który dokładnie je obejrzał. Nawet nieco zbyt dokładnie jak na gust Klekota, który z niepokojem patrzył na swój Zeusowy grom, bojąc się, że zostanie bezpowrotnie zepsuty.

— Sam pan widzi, panie podkomisarzu — powiedział Przypadek.

— Co widzi, co widzi?! — zdenerwował się Klekot. — Ja nic nie zrobiłem!

— No, chyba że uznamy szantaż za nic. — Policjant dotknął oskarżycielsko piersi Zeusa jego gromem.

— Krulikowski się poskarżył, tak?! — zdenerwował się Klekot. — To ja też coś mogę powiedzieć!

— Nic pan nie musi mówić — powiedział Jacek. — My też obejrzelśmy sobie z panem podkomisarzem film z tego wypadku i wiemy już, co pan zobaczył na tym podjeździe.

Lokal numer 13 przy ulicy Koneckiej 40 powoli już przyzwyczajał się do swoich dzikich lokatorek. Jego do niedawna intensywnie białe, żółte i seledynowe ściany pokrywały się powoli szarością, upodabniając się do siebie. Teraz oprócz ścian i kilku szaf był tam również stoliczek, na którym stała głęboka miska pełniąca obecnie funkcję popielniczki. Obok stoliczka stały dwa składane krzeselka, na których siedziały Zygryda i Teodora, wydychające kłęby dymu i wspominające stare, dobre czasy.

— A pamiętasz, Zyzia, Wyścig Pokoju?

— No pewnie, Dorka, że pamiętam. Przecież Królak się we mnie kochał.

— Tego nie pamiętam.

— Bo ty wtedy jeszcze za młoda byłaś.

— Jak to za młoda? Królaka pamiętam świetnie, tylko nie pamiętam, żeby się w tobie kochał. Za to Szurkowski... Pamiętasz, jak mnie podrywał?

— Nic a nic — oświadczyła twardo Zygryda.

— Mówisz mi tak tylko na złość.

— Nie. Bo jeśli ty tak dobrze niby pamiętasz Królaka, to Szurkowski nie miał prawa się w tobie kochać.

— Zapominasz, że jestem od ciebie młodsza o dwa lata.

— Za to on od ciebie ze dwadzieścia.

— No wiesz co?! — obruszyła się Teodora. — Ty chyba liczyć nie umiesz!

— Wystarczy, że pamiętam, ile miałś lat, jak wygrywał Szurkowski.

— Ale pięknie wygrywał, co? — powiedziała ugodowo młodsza z sióstr.

— No. Polska szkoła rozprowadzenia — zauważyła rozmarzona Zygryda.

— Udawany atak jedną stroną, zwolnienie, a wtedy hyc, drugą stroną zwycięzca.

— Fakt. Nie to, co dzisiaj. Ustawiają te swoje drużynowe pociągi i się mało nie pozabijają na tej mecie.

— A pamiętasz, jak Królak lał Ruskich pompką?

— To bajka. Sam Królak mi mówił, że tego nie było — oświadczyła stanowczo Zygryda i dodała szybko: — Oczywiście w tajemnicy i wieczorem.

— Daj już spokój tym bajkom. Pomóżmy lepiej Jacusiowi rozwiązać tę jego zagadkę.

— Po co? Przecież on ją już rozwiązał. I nawet nam powiedział, o co w tym wszystkim chodziło.

— Ano tak, zapomniałam — stropiła się Teodora, ale tylko na chwilę. — Gorzej, że on nas nic a nic nie chce słuchać w tej najważniejszej kwestii.

— Może on jednak nie jest taki bystry? Co i raz mu podpowiadamy, że niejedno mogłybyśmy opowiedzieć, a on nic. Jakby głuchy był.

— Wiesz co, mam wrażenie, że on nas nie traktuje poważnie. Nie wierzy w nasze umiejętności.

— Chyba masz rację, Dorka. — Zygryda pokiwała smutno głową. — Ale to też świadczy, że jednak nie jest przesadnie bystry i Minka go zdecydowanie przeceniała.

— No chyba że... — Teodora zawiesiła głos.

— Chyba że co?

— Chyba że on już to wie, tylko nie chce nam się do tego przyznać.

— Wie wszystko o starym Klempuchu? — zdziwiła się Zygryda. — Nie, to niemożliwe.

— Jeśli Minka go jednak nie przeceniała, to jest możliwe.

— Powtarzam, to niemożliwe. Gdyby o nim wiedział, próbowaliby coś zrobić, zapobiec, a nie lecieć jak ćma do światła.

— Przecież wiesz, co mówiła o nim Minka. On nie zważa na takie rzeczy. Ma w nosie, że się komuś narazi albo że go ktoś nie polubi.

— No ale tu może chodzić o jego życie — upierała się Zygryda.

— A może on już nie chce żyć? Z matką się pokłócił, z ojcem od dawna ma ciężkie stosunki. Tę Malwinę, co z nim mieszka, to chyba nawet lubi, ale nic więcej. A najpierw jedna miłość zginęła mu w górach, a potem ta druga, chyba większa, też umarła. To po co ma żyć? Żeby na ich groby chodzić? Przecież biegać już nawet przestał. Może on się na śmierć szkuje?

— Możesz mieć rację, Dorka. — Zygryda pokiwała głową, po czym wstała i wyprostowała się mężnie. — Ale my nie możemy na to pozwolić. Przecież obiecałyśmy Mince, że się będziemy nim zajmować.

— Zostaw. Jak człowiek chce sobie strzelić samobója, to mu tego nie zabronisz. A przecież starego Klempucha teraz nie damy rady już pokonać.

— Że też takiego ziemia nosi. On już chyba musi mieć ze sto lat.

— E nie, on najwyżej kilka lat starszy od nas — zaprzeczyła Teodora. — Tylko się dorobił więcej od nas i dlatego możemy mu nie dać rady.

— My też mamy sporo kontaktów.

— Nasze kontakty wążają kwiatki od spodu.

— No co ty? A Gburek?

— Dziesięć lat temu. Na zawal.

— A Szmajdzewski?

— Pięć lat temu. Prostata.

— A Konopka? On chyba żyje? — zapytała z nadzieją Zygryda.

— Tak. Tylko że rok temu miał drugi udar. Nic nie kontaktuje — stwierdziła ponuro Teodora.

— Ktoś znajomy musi być na chodzie!

— Daj spokój, Zyzia, nic nie poradzimy. Chodź, zobaczymy, jak go aresztują. Jacuś obiecał, że będzie transmisja w telewizji.

— Czyli nijak mu już nie pomożemy?

— Obawiam się, że nie. To tylko kwestia czasu, jak go stary Klempuch dopadnie z zemstą za syna. Może dzisiaj, może za rok, ale nic się na to nie poradzi — stwierdziła smutno Teodora.

Detektyw Przypadek usiadł dyskretnie z tyłu sali w ostatnim rzędzie i rozejrzał się po salce konferencyjnej z ogromnym zaciekawieniem. To była dla niego zupełnie nowa publiczność. Do tej pory na rozwiązaniu spraw pojawiali się dziennikarze zupełnie niezwiązani ze sportem. Tym razem widział żurnalistów, z których każdy lepiej wiedział, jaki skład wystawić w meczu reprezentacji polskiej w dowolnym sporcie. Tacy, którzy po sukcesie zawsze powtarzali: „Wygraliśmy!”, a po klęsce: „Przegrali”. Bo wciąż czują się współtwórcami wszelkich sukcesów polskiego sportu, podkreślając, że trener posłuchał ich rady i stąd to wszystko. A ewentualne porażki to wina trenera lub zawodnika, którzy nie chcieli zaufać ich inteligencji i genialnej znajomości absolutnie każdej dyscypliny sportu.

Teraz wszyscy oni dopytywali się nawzajem, czy ktoś nie ma pewnych informacji na temat tego, o czym dokładnie będzie ta konferencja i po co właściwie dyrektor Wyścigu Południowomazowieckiego i szef grupy Skijumpers ich tu ściągnęli. Oczywiście, domyślali się, że rzecz musi się wiązać ze sporem o wypadek Czerczyńskiego na Altanie, ale gospodarze zapowiadali jakieś sensacyjne informacje. I tylko to, oprócz, rzecz jasna, suto zastawionego stołu, który czekał na żurnalistów po zakończeniu konferencji, ściągnęło ich tak licznie. Ten stół właśnie dawał im asumpt do myślenia, że wiadomości rzeczywiście będą sensacyjne, bo skoro gospodarze szarpnęli się na coś takiego, to pewnie nie mają byle czego do powiedzenia.

Kiedy dziennikarze zajęli już swoje miejsca, do sali weszła silna delegacja organizatorów konferencji. Na jej czele kroczył Czesław Tokarek, tuż za nim Stanisław Krulikowski, a trzeci Jarek Czerczyński. Pochód zamykała potężna Zofia Zięba, która jednak nie była chyba w zbyt dobrej formie, bo błysk fleszy ją raził. Może dlatego na podium weszła podtrzymywana przez swojego męża, Zbyszka Najwera.

— Proszę państwa o uwagę — odezwał się Krulikowski, gdy wszyscy już usiedli na swoich miejscach. — Dzisiaj będziemy mówić o bardzo ważnej sprawie dla naszej dyscypliny. O prawdziwej pladze, która ją nęka już od wielu lat, od kiedy pojawiły się transmisje telewizyjne umożliwiające różnym wariatom pokazanie się milionom widzów. Takiego wariata mieliśmy zresztą ostatnio na trasie Wyścigu Południowomazowieckiego.

— Mówi pan o mnie?! — Ni stąd, ni zowąd nieopodal podium znalazł się Franciszek Klekot w stroju Zeusa z gromem w ręku. Jego pojawienie się wywołało gromki śmiech wśród dziennikarzy, za to gospodarze konferencji patrzyli na niego skonsternowani.

— Co pan tu robi?! — zdenerwował się Tokarek. — Nikt tu pana nie zapraszał.

— Zaprosił mnie pan Przypadek, który powiedział, że na tej konferencji będzie mowa o mnie. — Zeus wskazał swym gromem w kierunku siedzącego z tyłu detektywa, który po jego słowach wstał i uklonił się obecnym.

— A pan co tu robi?! — zirytował się Krulikowski. — Przecież już panu zapłaciliśmy i podziękowaliśmy za usługi.

— To prawda. Ale pomyślałem, że przydam się panu Klekotowi, którego zapewne macie ochotę oskarżyć o to, że poraził prądem pana Czerczyńskiego, doprowadzając do wypadku.

— Ale co... jak to... skąd pan to wie? — wybełkotał zdumiony Krulikowski.

— Chętnie to wyjaśnię. Ale po kolei...

— To może kiedy indziej — przerwał mu Krulikowski. — To nie jest pańska konferencja prasowa...

— O tyle moja, że dotyczy mojego klienta, pana Klekota. Tak, teraz on właśnie mnie wynajął. Proszę obejrzyć go dokładnie, właśnie w tym stroju występował w owym feralnym dniu. Panie Zeusie, proszę podać swój piorun dziennikarzom. — Klekot wręczył swój atrybut najbliższemu żurnaliście. — Jak panowie widzą, nie ma tam żadnego kabla, a i w tunice nie ma ukrytego akumulatora. Gdybyście się o tym nie przekonali naocznie, pewnie byście uwierzyli w to, że było tam coś ukryte, i rozgnietlibyście go w swoich gazetach, portalach, telewizjach. W sumie słusznie, bo ja też jestem przeciwny wariatom przeszkadzającym kolarzom w ich pracy. Ale akurat temu wypadkowi nie pan Klekot jest winien.

— Jak nie ten Zeus, to kto inny? — powiedział jeden z rozbawionych dziennikarzy oglądających akurat piorun.

— Występuje tu dość długi ciąg przyczynowo-skutkowy, na początku którego jest pan Krulikowski — wyjaśnił Jacek.

- Pan chyba oszalał! — oburzył się szef Skijumpers.
- W jaki sposób? — dopytywał się jeden z dziennikarzy.

— Bardzo prosty. To właśnie on zapowiadał głośno atak pana Czerczyńskiego na Altanie i to, że wygra on etap. Wszyscy widzieli, że noga pana Czerczyńskiego świetnie kręci, i gotowi byli w to uwierzyć. Za jego zwycięstwo płacono tylko dwa do jednego. Za przegraną piętnaście do jednego. Praktycznie nikt nie wierzył, że wypadnie z pierwszej dziesiątki klasyfikacji generalnej. Za to bukmacherzy dawali trzydzieści pięć złotych za każdą postawioną złotówkę. Ile pani postawiła, pani doktor? Zakładam, że nie mniej niż pięćdziesiąt tysięcy. A może nawet sto tysięcy? Piękna byłaby wygrana. Trzy i pół miliona złotych.

- Nie wiem, o czym pan mówi — zaprotestowała zboląłym głosem Zięba.

— Wie pani. W trakcie odwiedzin u pana Czerczyńskiego dowiedziałem się, że pan i pani mąż, mechanik grupy, mieliście hazardową żyłkę. I zrozumiałem, że uznaliście, iż to może być unikalna szansa na wygraną. Wystarczy, że rower pana Czerczyńskiego popsuje się na trasie. Trzeba go było tylko odpowiednio uszkodzić, żeby nie miał defektu zbyt wcześnie, ale pod koniec. Tak żeby nawet z pomocą kolegów z grupy Czerczyński nie był w stanie nadrobić straty. A to krótki wyścig, różnice między zawodnikami minimalne. Wystarczyłoby, aby dojechał pół minuty za peletonem, a już wypadłby z pierwszej dziesiątki i pieniądze trafiłyby do waszej kieszeni.

- Ja nic nie zrobiłem z rowerem pana Czerczyńskiego! — oburzył się Najwer.

— I to może być prawda. Pan Czerczyński znany jest z tego, że dba o swój rower, sam go właściwie serwisuje i niemal z nim śpi. Pewnie nie udało się panu wiele zdziałać, ale to wystarczyło.

- Do czego? — zdziwił się Krulikowski.

— Do katastrofy. Najpierw jednak katastrofy zaczęła się obawiać doktor Zięba. Rower jechał Czerczyńskiemu jak marzenie, a pani Zięba i pan Najwer mogli nie tylko nie zarobić, ale też dużo stracić. I wtedy pani doktor wymyśliła tabletki z dopingiem. Pokazała je Krulikowskiemu, powiedziała, że znalazła w pokoju Czerczyńskiego. Chciała pani, żeby zabronił swojemu zawodnikowi wygrać albo przerwać wyścig. Gdyby Czerczyński był pierwszy, musiałyby przejść kontrolę antydopingową. Gdyby był na dalszych miejscach, już niekoniecznie. Dlatego pan Krulikowski żądał od pana Tokarka przerwania wyścigu. A gdy to nie dało efektu, kazał swoim kolarzom za wszelką cenę dogonić Czerczyńskiego, bo wiadomo, że nie dałby rady dobrze zafiniszować z grupy, był zawsze typowym góralem bez umiejętności sprinterskich.

— To kłamstwo! — krzyknęła doktor Zięba i zaraz skrzywiła się z bólu, bo hałas, który sama wywołała, źle podziałał na jej migrenę. Na dodatek nikogo nie przekonała, bo dziennikarzom wszystko zaczęło się układać w sensowną całość. Nie tylko zresztą im.

— Oż ty babo! — zdenerwował się Krulikowski. — To ty mi takie numery wykręcasz?!
Przepraszam, Jarek, że ci nie wierzyłem.

- Masz za co przepraszać — burknął Czerczyński.

— A to akurat nie wiadomo — skontrował go Przepadek.

— Jak to nie wiadomo? — zdziwił się Krulikowski. — Przecież sam pan powiedział...

— Wróćmy do tych okropnych chwil. Przewraca się motocykl, następuje przerwa w transmisji. A po minucie widać, jak pedały w rowerze pana Czerczyńskiego wciąż się kręcą. Ponad minutę po upadku. Nawet gdyby zjeżdżał, nie byłoby to możliwe. A on podjeżdżał

pod górę. Pedałły powinny się przestać kręcić prawie od razu — wszyscy zgromadzeni popatrzeli na Czerczyńskiego, bo jako świetni fachowcy od kolarstwa i jego współczesnych bolączek zaczęli powoli domyślać się prawdy.

— Skąd pan wie, że minęła minuta?! Może to było po chwili. I niech pan nie mówi, że Klekot panu powiedział, że cały czas się kręciły. Chyba jestem bardziej wiarygodny niż on.

— Niestety, panie Jarku. Musiał pan upaść ułamek sekundy po motorze z kamerą. Oni po upadku tkwili w miejscu. Jeśli więc leżąca na boku kamera uchwyciła kręcące się pedały, to była nieruchoma od minuty tak jak pana rower. Bardzo pan o niego dbał i nie pozwalał go nikomu dotykać, bo wiedział pan, że jest w nim miniaturowy silnik elektryczny. Pan Najwer, psując pana rower, pewnie coś uszkodził w jego konstrukcji, choć samego silnika nie zauważył. Ale gdy gnał pan na najwyższych obrotach pod górę, nastąpiło zwarcie i stąd ten niby piorun, który w pana strzelił.

Zza kotary wyłonił się z ponurą miną podkomisarz Łoś i podszedł do detektywa Przypadka.

— Czyli co, mam aresztować Najwera, Ziębę i Czerczyńskiego czy kogoś jeszcze? — zapytał zrezygnowany policjant.

— Chyba nie tym razem — powiedział Przypadek, patrząc ponad ramieniem Łośia. Podkomisarz odwrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn, którzy się do niego zbliżali.

— Dynda, co tu robisz? — zapytał zdziwiony Łoś.

— Podkomisarzu Łoś, jest pan aresztowany w związku z podejrzeniem o zabójstwo pani Eweliny Marczakowej.



O Autorze

Jacek Getner

Wicehrabia polskiej komedii kryminalnej. Autor m.in. książek o genialnym detektywie Jacku Przypadku, pomysłodawca i fundator corocznej nagrody „Zbrodnia z przymrużeniem”, laureat nagród dramaturgicznych, w tym Nagrody im. Rolanda Topora. Wyznaje zasadę, że o wszystkim, nawet o morderstwie, najlepiej opowiadać od tej śmieszniejszej strony. Swoją przygodę z pisaniem zaczynał od tworzenia zabawnych reklam, by potem stać się współscenarzystą serialu „Daleko od noszy”.